



**Książnica Zamojska**



**10236262**

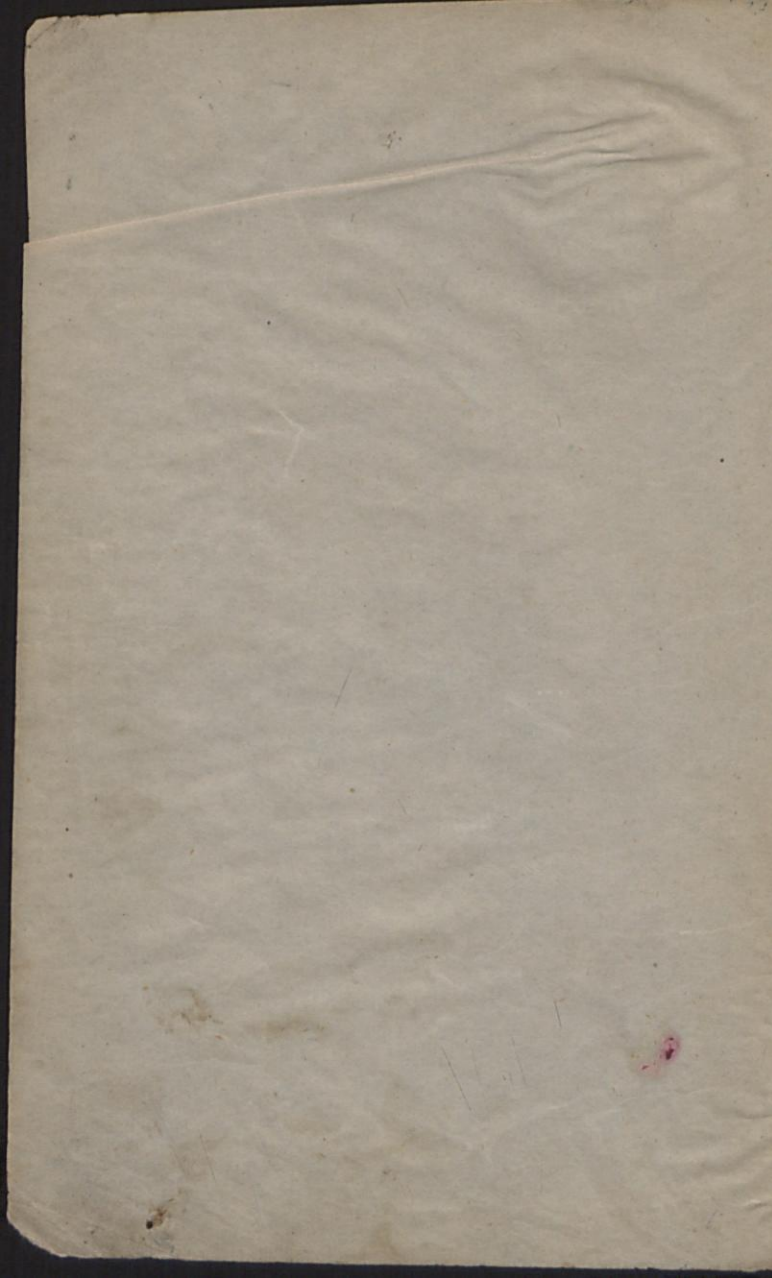
**ul. Kamienna 20**

**22 - 400 Zamość**



ad Julia Bismarck  
Buchanan per postumum  
moyes Wanda

n' oubliez pas  
Léon à la  
2. George Vanda



**PISMA GABRYELLI.**



LIBRARY CARBON

PISMA  
GABRYELLI.

---

TOM TRZECI.

---

*Handy & Hayniewicki*  
*Niedzielski*

WARSZAWA.

NAKŁADEM I DRUKIEM JANA JAWORSKIEGO.

Krakowskie - Przedmieście Nr 415.

—  
1861.



K MB

351

821.162.1-3

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury,  
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa d. 23 Grudnia (4 Stycznia) 18<sup>89</sup>/90 r.

Starszy Cenzor, Assessor Kollegialny,

T. HERTZ.

## IX.

Nazajutrz po południu siedziałem sobie przed stolikiem i z roztworzonego woluminu, w którym były nadzwyczajnie ważne, dzieje naszego sądownictwa rozświecające akta, czytałem pilnie... teraźniejszą i przyszłą życia mojego historję. — Pokoik taki był cichy, jasny i biały. — Zapach akacyi przez roztworzone okno bił takim świeżem, mocnem i upajającym powietrzem, że na żółkłym pargaminie gotyckie litery zaczęły dziwaczyć, tańczyć, migać się — aż przybrały postaci moich własnych myśli i wypisały mi cuda niestworzone — o tém wczorajszem spojrzeniu Maryi-Reginy, o tém jej ręki ściśnięciu — o tych słowach: — „Tyś wiesz”... i o tych drugich: — „ja kocham ciebie”... których mi nigdy jeszcze nikt w życiu nie powiedział, a które Bóg wie jakim cudem czytałem wyrażnie na spleśniałej księdze, i słyszałem jak gdzieś w dziesiątém niebie anioł aniołowi powtarzał... To też trzeba przyznać, że po godzinie takiej nauki, zrobiłem ogromny postęp w mądrości życia i w architekturze pysznych zamków na lodzie. Marya-Regina nie kocha mnie jeszcze-syllabizowałem z początku bardzo wolno na dekrete trybunału Piotrkowskiego, Anno Domini \*\*\*\*; lecz kiedyś będzie kochała! — składałem coraz prędzej — za kilka słów pocziwych, z głębi serca wypowiedzianych — ona tak wielkiem, tak świętem słowem czoło moje namaściła. — Za to, co ja kiedyś zrobię w życiu mojem, ona mię kochać musi. — Oh! bo ja czuję wiele dobrego w przyszłości, wiele



pięknego w mocy mojej. — Nie dla niej, boć się w średnie wieki rycerstwa już duch mój nie cofnie, lecz z nią i przy niej, ja wiem, że pójdę daleko, że wzleczę wysoko — że zaświecę jasno między poświęconymi braćmi. — Oh! miłość kobiety — miłość Maryi-Reginy, — to objaw szczęścia, to wsparcie, to rozbłysk tajemniczego przeczucia bóstwa! to apoteoza życia!... to... to... i odmówilem całą zakochanych litanję — a na ostatnie: Amen, ledwo mi serce piersi nie rozbilo, bo wyraźnie usłyszałem jej głos jak z tchnieniem akacyi przez okno wionął i dwa razy imię moje powtórzył....

Z całej fantasmagoryi owe zawołanie jednak najprawdziwszem było. — W istocie Marya-Regina przyszła Helusie odwiedzić — podobala jej się ta dziewczynka, a Maryi-Reginie gdy się co podobalo, to brała na własność do chwil życia swojego i nie psuła sobie, jako mówiła, przyszłych wspomnień — grzechem zaniedbanej przyjemności. — Pani Agnieszka naumyślnie gości swoich po cichu do ogródka wprowadziła, żeby mi niespodzianką tém większą sprawić radość!... udało jej się — bo gdy szedłem, to mię aż Romuald wyśmiał, że ich tak witam, jak po dwuletniem rozstaniu...

— Cóż to, czy pana dziwi moje przyjście? — rzekła Marya-Regina wesoło — może to niegrzecznie w początkach znajomości zaraz kogoś na drugi dzień odwiedzać — prawda, że hrabinie Teodorze nie zrobiłam tak wielkiego uchybienia — przez cały rok ze czcią i uszanowaniem zbierałam się na oddanie wizyty — ale Helusia nie wzbudza we mnie tak wielkiej nieśmiałości, nawet pani Agnieszki bardzo się nie boję — i pocałowała ją w ramię z takim jakimś pocziwem uczuciem, z takim składnym wdziękiem, że ją dobra żona ślusarza jak swoją starszą córkę szcze-

rze uścisnęła — a z jej strony ten uścisk, to już bardzo wiele znaczył — to jak gdyby ona, zwykle trwożna i nieufająca, zaświadczyła nim kilkoletnią przyjaźni zażyłość. — Jedną tą chwilą, prostej a serdecznej uprzejmości dla matki, Marya-Regina więcej sobie zjednała Helusię, niż całą poprzedzającą grzecznością swoją.

— Piękna i dobra — rzekła za rękę ją biorąc...

— Helusia? — dopowiedziała z uśmiechem Marya-Regina.

— Nie! ty piękna i ty dobra — a głos dziewczynki pełnym znaczenia dźwiękiem nad słowem „ty“ — po dwukroć się zatrzymał. — Od tej chwili zniknął wszelki przytępienie, wszelka narzucona przesadność. Drobiazgowo towarzyskie względy ustąpiły szczerocie rodzinnego pożycia. — Każdy się czuł między swojemi — każdy życzliwym wśród życzliwych — a kiedy nas ślusarz zszedł wieczorem, to już tak w całe gronko nasze wniknęła ta pocziwa obcowania prostota i przyjacielskość, że on nawet niespostrzegł się iż w dom jego dwie, zupełnie jemu samemu nieznajome, przybyły osoby. — Póki widno było, pani Agnieszka szyla, Helusia jakiś haft trzymała w ręku, Marya-Regina także naparła się, by jej co do roboty dano, a my oba z Romualdem i Karolek trzeci próżnując, innym w pracy przeszkadzaliśmy jak mogli. Wątpię też czy haftu Helusi i obróbka Maryi-Reginie bardzo wiele przez ten czas przybyło. — Rozmowa za to płynęła nie z ust do ust, ale z duszy do duszy — o książkach, o ludziach, o świecie — o Bogu. — Teraz nie lubię tak rozmawiać — w rozmowie za prędko się żyje...

Lecz wtedy mimowolnie, im bardziej zmrok ciemniał im więcej gwiazd na niebo występowało, tem cichszym głosem uroczystsze wymawialiśmy słowa — nareszcie przy-

szła chwila iż wszyscy zamilkli. — Romuald pierwszy ogólną przerwął cichość.

— Według przysłowia anioł między nami przeleciał — czyście go widzieli?

— Ja widziałam, — odpowiedziała Helusia, i głos jej lekko zadrżał.

— Jakiż jest ten pani anioł? — zapytał powtórnie.

— Na ziemi trup, na niebie ona.

— I w tobie dusza twoja, co tak pamiętać umie — przydała Marya-Regina tuląc do siebie objęciem ramienia drobniutką, wątłą i niby ciężarem tęsknej myśli przychyłoną nieco dziewczynkę.

— Oh! jaką ty wielką prawdę powiedziałas wczoraj Maryo-Regino! — rzekła ta ostatnia przyciskając się do jej boku jak ptaszyna maleńka — są w życiu chwile smutnej wesołości. — Mnie teraz na przykład, tak dziwnie jest w sercu, jak gdybym śpiewać, albo płakać miała.

— To już śpiewajże lepiej — odezwał się ojciec, dawno cię nie słyszałem — czegoś mi brakuje na świecie. — Za jedną z tych piosneczek, co to ci się roily na ustach — pamiętasz Helusiu? dwa lata temu będzie — oh! doprawdy, oddałbym zdaje mi się, wszystko co człowiekowi przeznaczonem jest dobrego usłyszyć jeszcze.

— Karolku i ty poproś — rzekł Romuald do chłopczyka, którego na kolanach trzymałem.

Helusia usunęła się z pod ramienia Maryi-Reginy.

— Już wczoraj pan słyszałeś — rzekła z lekką wymówką, i odemnie i od siostry swojej, że na żadne prośby nie śpiewam, — ja śpiewam — oh! ja nie wiem dla czego śpiewam czasem — a dla czego czasem znowu śpiewać nie mogę i nie umiem — lecz wiem, że piosnka gdy przyleci, to ją muszę zanucić — a gdy odleci, to jej żadną siłą nie przy-



wołam... Teraz naprzykład dawno, bardzo dawno moją myślą, moimi słowami nie śpiewałam już—choć chociaż boleść to pieśń—wspomnienie, to pieśń—grób to pieśń,—ja byłam niemą; — i wstała i zaczęła zwolna przechodzić się po ogródku, jak gdybyśmy jej wszyscy z oczu zniknęli—jak gdyby sama tylko z Panem Bogiem była.—Nareszcie w ustroniu na zielonej trawce, niby słowiczek mały w gniazdeczku przysiadła sobie; z początku próbowała nuty wielu różnych piosnek, a każdą przygiąć chciała do tych trzech wyrazów, które jak trzy zaklęcia na usta jej ciągle wracały; oh! wysoko, oh! daleko, oh! głęboko.—Zdaje się jednak, że wśród znajomych melodyj żadna nie miała dźwięku jej własnej myśli, bo na chwilę ucichła, a potem nie śpiewała już, lecz mowę urywaną, bezładną rozmarzyła się—roztkliwiła. Słowo za słowem konało jej na ustach, a znaczenie tych słów ginęło w piersi tajemnicą. „Bóg, oh! Bóg wysoko — i moje pieśni wysoko. Ale żaloba w sercu—nad grobem zapłakałam—wszystkie marzenia daleko, daleko!—Póki kochać można, żyć warto. — Lepiej z nią razem! oh! głęboko, głęboko!”

I nagle głos jej przepłynął w ton dziwny, nierówny — lecz taki rzewny, taki szklisty... że go dziś jeszcze pamiętam — i słowa pamiętam także, bo to była sobie dziecienna jeszcze, choć smutna gra obrazków łatwych, najbliższej do koła siebie uzbieranych — bo to był ten prawdziwy śpiew natury,—ten śpiew, którym ludy w zaraniu życia swego nuca.

Gwiazdeczko najpiękniejsza

Gdzie ty świecisz?

Oh! wysoko, wysoko!

Wietrzyku najwonnieszy

Gdzie ty lecisz?

Oh! daleko, daleko!



Rzeczko moja srebrzysta.  
Gdzie ty płyniesz?  
Oh! daleko, daleko!...

Rzeczko moja najczystsza  
Gdzie ty zginiesz?  
Oh! głęboko, głęboko!

Widziałam jak się orzeł  
W niebo raz wzniosł  
Oh! wysoko, wysoko!

Słyszałam, że niezwiędły  
Kwiat kędyś rósł,  
Oh! daleko, daleko!

Patrzyłam jak to łódka  
Po falach mknie,  
Oh! daleko, daleko!

Mówiono mi że perły  
Na morza dnie...  
Oh! głęboko, głęboko!

Wielka mądrość, myśl wielka  
W gorze świeci  
Oh! wysoko, wysoko!

Nadzieja niespokojna  
Przez świat leci,  
Oh! daleko, daleko!

Młodość śmiała, zuchwała,  
W szczęście wierzy  
Oh! daleko, daleko!

Na dnie serca jak perła  
Miłość leży  
Oh! głęboko, głęboko!

Gdzie są myśli, gdzie orły,  
 Gdzie gwiazdeczki?  
 Oh! wysoko, wysoko!

Gdzie sny moje, niezwiędłe  
 Gdzie kwiateczki?  
 Oh! daleko, daleko!

Gdzie dni młodych szczęśliwość  
 Gdzie spłynęła?  
 Oh! daleko, daleko

Gdzież młoda ukochana,  
 Gdzie zasnęła?  
 Oh! głęboko, głęboko!

Wiem, że to były ostatnie wyrazy Helusinej piosnki, ale wtedy nie wiedziałem kiedy się ona skończyła. — Śpiewanie cichło powoli, stopniowo, i umilkło jakoby z wyczerpnionem tchnieniem śpiewającej... a Marya-Regina siedziała przy mnie tak blisko, że czułem dotknięcie jej muslinowej sukienki — a niebo gwiazdami świeciło już tak jasno, że je nieledwie nawskróś przejrzeć można było, a listki drzew tak radośnie drżały w chłodzie wieczornym, po całodziennym upale, że tylko ucho nakłonić, to już wszystkie ich tajemnice słyhać — a biała akacya tak woniała, upajała, że w skroniach żyły pędzsem biciem drgały, że pierś byłaby całe powietrze i całą przestrzeń wypila.. Ach! wspomnieć sobie dzisiaj taką chwilę! Widzieć jak na dłoni, że to było, — że to jest w możności ludzkiej — że to przystępne każdemu, tylko z serca iskrę wydobyć, a znów będzie... bo wszystko, wszystko w naturze zostało — niebo, gwiazdy, wonne drzewa — i pomyśleć sobie potem, że tylko serc kochających braknie, — że niech nawet zmarli wrócą, to uczucie nie powróci... że niechaj

cała przyszłość spodniebieje, to my na wieki odmienni.... I pomyśleć sobie jeszcze, że mogło być inaczej... że człowiek stwarza swoje przeznaczenie... Oh! doprawdy, z takiej myśli na pociechę zrobię—poemat o piekle.

Tymczasem przedłużała się chwila ogólnego milczenia—każdemu było dobrze w głębi jego własnego ducha, lecz wywiódł nas z jego przybytku, słaby i przytłumiony głos Helusi, która ojca do siebie wołała. Ślusarz zerwał się predko.

— Mój Boże! cóż ci to jest Helusiu? — pytał z najwyższą niespokojnością, widząc, że dziewczynka drżącymi rękoma jego rąk się ujęła i pomimo kilku daremnych wysiłen z miejsca powstać nie mogła.

— Nic, nic mój ojcie, — uspakajała go niby wesołym ze śmiechu, a jednak znać było, że przerywanym z bezsilności głosem — a i mama niepotrzebnie tak się zaraz lęka! dodała widząc nadbiegającą ku sobie, — mnie nic nie boli... nawet mi tak jakoś błogo i przyjemnie... tylko wstać nie mogę... żadnej mocy nie mam. I w istocie Helusia zesłabła jak dziecię małeńkie. Otoczyliśmy ją troskliwie, ślusarz podniósł z ziemi, matka, na kolana wzięła, Marya-Regina roztarła jej dłonie, ja wody świeżej przyniosłem, i na koniec powoli zaczęła przychodzić do siebie.

— Moi biedni rodzice! — rzekła już trochę orzeźwiona, — ja też bez przyczyny was nastraszyłam. Marya-Regina śmiać się ze mnie będzie, że tak pod byle wrażeniem jako trzcinka się łamię.

— Oh! nie—ja śmiać się nie będę, ale ci zawsze rękę podam.

Helusi zdawało się zapewne, że poruszenie mówiącej zgodne było z jej obietnicą, bo sama także wyciągnęła



dłoń swoją, lecz ta dłoń, nie Maryi-Reginy spotkała uścisk.

Był to uścisk Romualda, — młody artysta w milczeniu słuchał całej piosenki, w milczeniu potem patrzył na osłabłą, jak gdyby niechciał, lub nie śmiał zbliżyć się do niej, aż dopiero kiedy ją ujrzał tak swobodnie odżywającą i tak dziecinnie u matki na łonie złożoną, kiedy go w pobliżu siedzącego lekko po włosach musnęło wyciągnięte do Maryi-Reginy ramię, nie wiem co mu przez tę jego pełną dziwactw i pełną fantazyi przeleciało głowę, ale on dłoń Helusi pochwycił gwałtownie, trzymał ją chwilę tylko, chwilę krótką jak na jedno serca uderzenie — a przecież dziewczynka krzyknęła i mocniej się do matczynej piersi przytuliła...

— Miałeś słuszość panie Ludwiku, — mówiła do mnie Marya-Regina, gdy ją odchodzącą z bratem na pół drogi przeprowadzałem, to jakieś niezwykajne, zadziwiające stworzenie ta Helusia, ale jój trzeba starań prawdziwie oględnej przyjaźni — jej wiek jest chwilą stanowiącą w życiu, a jój życie zbyt już rozbudzone w tym wieku — jeśli zewsząd wydobywające się uczucia i myśli nie znajdują właściwego sobie żywiołu, to albo same na siebie oddziaływając zatrują się, i byłaby szkoda wielka — albo oddziałując na ciało, zatrują jego organizm, i byłby żal wielki..

Ucałowałem obie ręce Maryi-Reginy za to spostrzeżenie, które mi dla córki ślusarza zwiastowało tak szczere chęci i tak troskliwą opiekę. Dyament serca zaskrzył jak widać w promienne dobroci usposobienie...

Romuald, (rzecz u niego osobliwsza) nic nie mówił, ale nazajutrz zrana przyniósł do mnie swoje skrzypce i grał na nich długo, długo — a najdłużej nutą Helusi piosenek. — To też schodząc obadwa razem, ujrzelśmy ją przez



zielone sztachety ogródka siedzącą w ubocznem zaciemieniu na darniowej ławeczce. — Bledszą była niż zwykle i tak zadumaną, że choć patrzyła na nas, żadnem skinieniem jednak nie odpowiedziała na pozdrawiający ją ukłon.

Od tego czasu, jeśli kiedy Romuald mnie samego przyszedł odwiedzić, a skrzypców nie wziął z sobą, to się zawsze tak skarżył na nudy, tak mi w książkach niepotrzebnie przewracał, że domyśliwszy się przyczyny całego niesmaku, raz mu niby przymusowym sposobem skrzypce zatrzymałem, i trzeba wyznać, że jego sztuka nie na tém nie straciła. Zrobił się zadziwiająco pilnym, po całych godzinach grywał dzień w dzień prawie... a zawsze okno było otwarte. — Małgosia nie mogła się wydziwić, że ów pan, co wtedy w nocy tak stukał okropnie, i skrzypić, jak mówiła, tak cudnie potrafi... a Helusia?.. jej oczy złościły coraz żywszym blaskiem, jej twarz nabiegała coraz częstszym rumieńcem — i zdawało się, że widomie rośnie, silnieje.... wypięknia.

Jakże bo też silnieć i pięknieć nie miała, kiedy się dla niej zaczęło takie nowe! takie pełne życie. — Marya-Regina otoczyła ją całym zbytkiem umysłowego świata, a ja na wyścigi dostarczałem naukowych książek i objaśnień. — Wykształcenie dotychczasowe Helusi ograniczało się zaszobami rodzimych zdolności i tém co od zmarłej przyjaciółki nabyła — dość gruntowną znajomością dziejów krajowych — i arecydziel wszystkich poetów naszych. Nieraz wprawdzie żartowaliśmy z tak bogatego ubóstwa, a Marya-Regina mówiła czasem, iż nie śmie podawać choćby i najzdrowszego pokarmu tej szczęśliwej istocie, co niby zaczarowana arabskich powieści księżniczka, perlami tylko dotąd i brylantami żyła, lecz ta zaczarowana miała kiedyś sama czarnoksiężniczką zostać, trzeba jej było

w najgłębsze tajniki sił uroku wnikać — z uniesieniem też, z namietnością rzuciła się do pracy.

Pani Agnieszka widząc córkę zajętą, — jeśli nie wesołą, to szczęśliwszą może, — a bezwątpienia spokojniejszą w tym ruchu życia, niż pierwej w osłupieniu jej niemej boleści — pani Agnieszka, zwyczajnie jako matka nie pytała o więcej. Lecz poczciwy ślusarz coraz to bardziej głową kręcił — bo miał on pewne, sobie właściwe pojęcia i wyobrażenia, do których pragnął bardzo szczęście swego dziecka zastosować. — Prawda, że to była jeszcze wybrana i wśród wszystkich innych błogosławiona ojcowska natura, prawda że jednak on kochał Helusię, więcej nawet niż wszystkie swoje przywidzenia, że nie byłby się jej nigdy i w niczem sprzeciwił, ale w gruncie serca, bolała go ta wysoka mądrość, zakradająca się w niskie progi jego domku, i raz już nie mogąc wytrzymać, gdyśmy z Helusią nad kartami schyleni dalekie, niezliczone przebiegali światy.

— Ej dalibóg — odezwał się po trzykrotném zakrzyszeniu, mnie się widzi, że wszystko co wy tam moi państwo gadacie, to się na nic, a na nic biednej pannie ślusarzównie nie przyda.

Helusia nagle jakby elektryczną iskrą uderzona, zwróciła się ku ojcu, i patrzyła na niego z zadziwienia pytającym wzrokiem.

— A juścić że się nie przyda, — ciągnął dalej rzecz swoje odważnie a prędko, jak gdyby chciał się pozbyć od razu długim czasem nazbieranego ciężaru — proszę pana, co ona z tem wszystkim zrobi, jeśli da Bóg, za mąż pójdzie, a będzie trzeba i mężowi w robocie dopomódz, i dom zagospodarzyć i dziatwę ochludzić?....

Zdawało się że krew tryśnie policzkami Helusi, lub że przez szkło czerwono malowane, promień światła padł na nią całą, taki mocny rumieniec oblał jej czoło, jej twarz, jej ramiona nawet.

— Jedno drugiemu się nie sprzeciwia — odpowiedziałem z uśmiechem. — Czyż to pan myśli, że same tylko zakonnice do nauk się przykładają?

— Jeśli nie zakonnice, to przynajmniej bogate wielkie panie — rzekł znowu ślusarz, — ubogiem licho zawsze było jak po to sięgnęły. Na co później spojrzeć do koła, to nudne, — czego się tknąć a nie przez rękawiczkę, to brudne. Tak, mój dobry panie, mierznie rodzinna zagroda, drażni nieokrzeseane towarzystwo, całe życie na piersiach coś cięży iw rękę sztywnieje.

— Ale gdzież znowu? — odparłem ciągle żartując, słowo daję najpocziwszego człowieka, panie ślusarzu, że w tej książce ani literki nie wypisano o tem, by się kiedy nudzić w domu, lub od mniej oświeconych ludzi unikać. — Roztwórz ją pan w którym chcesz miejscu — i sam otworzywszy przeczytałem: — „długie noce pod biegunem rozświeca tak zwana zorza borealna północna:” a tu... „świat cały obraca się od zachodu ku wschodowi;” a tu... „Pustynię Sahary spiekłą i mało znaną przebywają karawanami na wielbłądach...” No i proszę, w jakim to wszystko jest związku z rodzinną zagrodą, czy tam z ubóstwem lub gospodarstwa zaniedbaniem?...

— Śmieję się pan, śmieję jak chcesz, — odpowiedział może trochę rozdrażniony ślusarz: młody pan jesteś, to i nie dziwota, że ci do śmiechu większa ochota, ale ja człowiek stary, różne już na świecie widziałem zdarzenia, lecz nie widziałem nigdy żeby ślimak po powietrzu latał,



i żeby był szczęśliwym człowiek, co się nad stan swój wynosi.

— Gdyby tak był myślał każdy, panie ślusarzu! toby dotychczas wszyscy ludzie po lasach dziko żyli, bo przecież musiał być jakiś pierwszy, co się nad stan swój wyniósł i od innych mędrszym być zaczął.

— Co mi do tego mój panie! dano, komu dano; są bogaci i są ubodzy—ja tam nie wiem, jak było przy początku, ale wiem, że teraz niewygodnie jest do izby salonowe meble wnosić.

— Wielka, bardzo wielka prawda, lecz ja też nie wiem dla czego, jeśli kto ma już takie meble, nie miałby i o salon do nich się postarać?

— Zaraz powiem panu dla czego — oto: bo wystarać się salonu, to zupełnie tak samo jak wielki los na loteryi wygrać, — zdarzać się to zapewne, ale jeszcze moje oczy tak szczęśliwego nie widziały człowieka.

— A ja teraz spytam się pana o jedną rzecz tylko: czy pan wierzysz w Boga?..

— Wierzę mój dobry panie i zgaduję zawczasu, co mi tam będziesz powiedział, że Bóg nad wszystkimi jednaki, że przed nim wszyscy jednacy, więc do wszystkiego równe mają prawo — bo to dziś w młode głowy jakaś ossa wleciała i po mózgach kręci. — Niech mię Bóg skarże jeśli nawet już moich czeladników bąkających o tém nie słyszałem, a ja właśnie powiadam: Wierzę w Boga, więc wierzę iż z jego dopuszczenia jest na świecie majster i czeladnik, bogaty i biedny, mądry i prostaczek, a w to wierzę najwięcej, iż oni wszyscy razem żyć mogą, każdy przy swoim, spokojnie i uczciwie na coraz większą chwałę Bożą, i na zbawienie własnej duszy.

— Nie, panie ślusarzu, wcale nie zgadłeś mojej myśli



i odpowiedział sam sobie, a nie mnie. — Ja pytałem czy wierzysz w Boga? dla tego jedynie, bom chciał zapytać później w jakiego to Boga wierzysz?

— W dobrego, mądrego i wszechmocnego — a z tej wiary mojej wprost wypływa — że kiedy Bóg jest dobry, to mi pewnie na dobre stan mój obmyślił, a kiedy jest mądry, to wie najlepiej dla czego, a kiedy jest wszechmocny, to ja temu nie poradzę. — Nic nie poradzę mój panie, ino mogę zgodzić się z wolą jego przenaświętszą, co będzie cnotą moją, lub też sarkać na nią i wywijać się, co będzie grzechem moim — a grzech czy cnota, mnie to znaczy nie Jemu, bo mnie piekło lub niebo, a On wiekuisty i wola Jego będzie zawsze jako w niebie tak i na ziemi.

— My zaś będziemy w niebie, tylko zgadzając się z tą wolą Jego przenaświętszą?.. Wszakże sam powiedziałeś panie ślusarzu. — Otóż wola Jego od początku była, a wiemy to dobrze obadwa, — była mówię, żeby stworzyć człowieka na obraz i podobieństwo Swoje. — Jakim jest Bóg jego, takim człowiek być się stara. — Nasz chrześcijański Bóg jest dobry, bo miłuje — mądry, bo wszystko wie i wszystko zna, — wszechmocny, bo wszystko zrobił. — My więc powinniśmy być dobrymi, kochać jako On kocha — kochać coraz więcej, od téj piersi, która nas nagiem dziecięciem przytuliła, aż do tej ziemi, w której nas trupem kiedyś złożą. — Miłość nasza ma coraz wyżej sięgać i coraz niżej zstępować, póki nie obejmie i nie przeniknie wszystkości swojej, jako miłość Boża wszystkość świata całego przenika i obejmie. — To jest jedno podobieństwo..

— A chociaż je pan piękniej niby wygadać potrafiłeś — przerwał ślusarz, — ja dawniej znałem już dobrze, do tego ksiąg niepotrzeba — dla tego to mówiłem, że każdy w każdym stanie uczciwie żyć może, bo w każdym może

kochać bliźnich, być użytecznym, sprawiedliwym, ręki dołożyć i głowę nadłożyć przy wydarzonej sposobności. — I może wtedy z Bogiem żyć wiecznie.

— Oh! niezawodnie może, ten co kocha. — Bo niebo jest nieskończonością miłości. — Ale będąc z Bogiem, trzeba być jako Bóg — a Bóg jest mądry — Bóg jest wszechwiedzą i wszechpoznaniem, to też w człowieku nie samo serce bije — nad sercem jego mózg jest pod czaszką, a w mózgu ta niewyczerpana chęć wiedzenia i poznawania, która mu prawem najwyraźniejszym dowiadywać się i poznawać każe. — Ma człowiek oczy by patrzył, a światłość dla wzroku jego w powietrzu rozlana, — ma ucho, żeby słyszał, a dźwięki odzywają się dookoła, — ma pragnienie, żeby pił, a płyną po wszystkiej ziemi strumienie wody rzeźwiącej — ma wszelkie potrzeby, żeby je zaspakajał, a na zaspokojenie natura wszelkie złożyła żywioły. — Cóżbyś rzekł panie ślusarzu o tym, któryby dobrowolnie się oślepił, lub o tym, któryby słuchu się pozbawił, lub o tym któryby choć spragniony, pić nie chciał? — Cobyś ty rzekł o nim, to ja powiadam o wszystkich którzy usuwają, lub dają z przed siebie usuwać naukę i poznawanie. — Poznawanie to coraz jaśniejsze, coraz bliższe zachwycenie w mądrości Pańskiej, to powtórne wniebowzięcie nasze. — Świadełstwo człowieczeństwa naszego, drugie podobieństwo z Bóstwem. — Nie przeczysz pan, że ręce są do pracy, a chcesz przeczyć, że rozum w człowieku do kształcenia i użytku jego dany mu jest — nie przeczysz, że oko widzi, ucho słyszy, język smakuje — a zdaje ci się, że pamięć, wyobraźnia, pojętność, są bezcelne i przypadkowe władze, które zaniechać można bez grzechu. Samobójstwa na ciele masz bezwątpienia za wielką zbrodnię — a samobójstwo na rozumie zdaje ci się

jakimś rozsądkowym obowiązkiem... jak gdyby nie było starciem i zatraceniem części ducha naszego, wyparciem się drugiej osoby z przenajświętszej Trójcy.

— O Jezu Chryste! co też to pan mówi? — a przecież gdyby tak było koniecznem uczenie się, jak życie pocziwe i miłość bliźniego, toby Pan Bóg dał wszystkim równe zdolności, jak dał wszystkim możność kochania równą?

— Lecz jako wszyscy sercem ku jednemuż niezwracają się przedmiotowi, tak i zdolności każdego inny biorą kierunek. W miłości ogółu, świętej jak Bóg i wielkiej jak Bóg, ileż to jest miłości jednostkowych, drobnych, rozprysniętych niby promyki słońca po rosy kropelkach — a wszystkie święte i boskie, gdyż wszystkie z jednego Boga jak promyki z jednego słońca — tak téż we wszechwiedzy ogółu leży drobiazgowa i rozmaicie stopniowana wiedza pojedynczych ludzi. — Ten kieruje dziejami narodów, ten gwiazdy liczy po niebie, ten ziarnka żyta na ziemi — a dla żadnego nie idzie o to, by stanął u wyznaczonego innym kresu — by umiał *tyle a tyle* — by znał to i tamto; lecz by z tych, które w nim są zdolności, wzbił się na najwyższość swoje, by był najświadomszym, nauczeńszym, najmędrszym, najpodobniejszym do Boga, nie z pomiędzy innych ludzi, ale w stosunku do samego siebie, o ile tém wszystkim najwięcej być może. — Do tego najwięcej dążyć on powinien wszelkimi siłami, i wszelką sposobnością, bo mu nic w naturze rzeczy na przeszkodzie nie stoi — to co stoi czasem, to jest śmiertelne jak on, błędne jak on, lecz nie wszechmocne jak Bóg. — Oh! nie — Bóg nasz nie jest wszechmocnym, dla tego byśmy w martwej pokorze głowy nachylili i rzekli sobie: — „My nic nie poradzimy — tak jest — to wola Jego przenajświętsza.” — Nie, o ile z wniosków ludzkich wypływa, że coś by mogło nie być,



o tyle to co jest, jest samowolą ludzką, nie prawem Bożem — prawo Boże i wola Boża nie zmienia się z lada chwilką małego. — Że człowiek ma serce i rozum, że oboje kształcić i rozwijać powinien — to prawem i wolą Bożą jest — gdyż tak było na początku i tak będzie w nieskończoność. — A nikt sobie wyobrazić nie może nawet istoty ludzkiej, bez serca i rozumu. — Lecz że ty dzisiaj panie ubogim jesteś ślusarzem, to jest przypadkowością tylko, bo wszakże możesz sam siebie pojąć zamożnym, zbytkującym; przy innem wychowaniu możesz przypuścić że byłbyś urzędnikiem, ministrem, generałem, i jako urzędnik, jako wódz, nie zmienilbyś przecie twojej człowieczej natury, byłbyś zawsze człowiekiem, a bez rozumu i serca, chyba musisz przypuścić żebyś zmienił gatunek swego istnienia, lub żebyś nie był wcale. — A i to, że dzieciom twoim może być spokojniej jeśli za szybko tego dworku nie przejrzą, to zbieg okoliczności jedynie, bo mogłyby i tutaj cierpieć — tak, jak mając wiele dobrego uczucia w piersi, wiele silnego przekonania w umyśle, wiele wytrwałości w postępowaniu, mogłyby i najdalej i w dniach największej zawieruchy przez świat szczęśliwie wędrować sobie — wszystko to zawisło od nich i od drugich — wszystko to jest więc ludzkim nie boskim. — A czy wiesz panie, dla czegośmy to zupełnie na obraz Boga stworzeni? — Oto dla tego, żebyśmy wszechmocą naszą nad ludzkiemi zapanowali rzeczami, żeby tak jak chcemy według skłonności, tak jak potrzebujemy według zdolności, urządzili wszystko na około siebie, nie zaś nas samych, prawdę Bożą w nas urządzali i stosowali do wszystkiego co na okół jest. — My wszechmocni, więc my powinni to co miłość poczęła, to co mądrość rozświeciła w rozumie

stwarzać, jako Bóg stwarza wszechmocnością swoją.—My wszechmocni, więc my powinni ze złem, z przypadkiem i okolicznościami, z losem, z tém wszystkiem co nam ku dobremu przeszkoda, my powinni silnie ująć się w zapasy jako Izrael z niewidzialnym aniołem przeciwnikiem swoim, i powinniśmy kruszyć, łamać, targać, byśmy w niebo wstąpili jako Chrystus, wzór nasz i Zbawca nasz.

Po tych słowach, milczenia chwilka przeplęła.—Ślusarz nie nie mówił, rozważał, aż nakoniec kiedy zbliżył się do mnie z wyciągniętą ręką, jakieś pocziwe rozrzewnienie na twarzy jego widać było.

— Mówisz jak z książki, jak z książki mój dobry panie, rzekł opierając się przyjacielsko na mojem ramieniu.

— Jak z przekonania raczej,—podchwycilem z uśmiechem.

— No, to pan masz święte jakieś przekonanie, — odrzekł mi znowu....ale....ale nie dziw się staremu—ja ojcem i mnie zawsze o to najwięcej chodzi, czy córka szczęśliwą będzie.

— Mnie się zdaje, że będzie przy naukach,—odezwała się Helusia swoim cichym a pewnym i stanowczym głosem, będzie mój ojciec przy naukach, bo nią bez nauk nie była...

I szły dalej nauki.

## X.

W pierwszych chwilach nie mogłem się dość nacieszyć moją uczennicą: pojętna i przenikliwa, zgadywała prawie ogólne udzielonych jej nauk zasady; lecz zwolna gdyśmy kolejno do szczegółów zstąpili, gdy nam przyszło pracować nad tém, co w nauce raczej sposób jej nabywania niż treść właściwą stanowi, zdawało mi się, że zapal Helusi ostygła i uwaga przedź się męczyła. — Nie było to wcale z jej strony dziecinném roztargnieniem, brakiem silnej woli lub rozumowego zastanowienia, ale raczej zdawało mi się niezwykłą jakąś niecierpliwością i nadmiarem rozkołysanej wyobraźni. — Nieraz gdy ja wszelkimi siłami starałem się systematycznie ułożyć podrzędnych zdarzeń dziejowych wątek, — Helusia pochwyciła z nich obrazek tylko jaki, z obrazka wysnuła legendę, z legendy tysiączone następstwa, o których pewno ani się nawet śniło historykom, a potem łączyła je z teraźniejszości wypadkiem i przerzucała znowu w tak daleką przyszłość, żeby jej chyba aż po-za nadzieją — aż po-za marzeniem szukać było trzeba. — Nieraz gdy jej mówiłem o naukach przyrodzonych lub jeografii, ona przerywała i gmatwała wszystko najdziwaczniejszém przypuszczeniem, najmnij spodziewanym wnioskiem, i ciągnęła mnie za sobą, daleko z nadzwyczajności w niepodobieństwo, z niepodobieństw w swoje własne roidła. — Czasem bawiły mnie jej umysłowe zachwalstwa, ale czasem odzywała się we mnie jakaś peda-



gogiczna sumienność i cierpiałem na tem, że ich nie mogłem powściągnąć lub właściwiej skierować. Jednego dnia szczególnie, owe rzuty jej niespokojnej myśli, owa jej ciągła dążność ku ostatecznościom, aż zastraszyły mnie prawie. — Wykładałem jej jak najpoważniej obroty ziemi i księżyca. — Słuchała mnie bardzo pilnie, a ja zawierzyłem wyrazowi jej twarzy pełnemu głębokiej uwagi, zawierzyłem jej spojrzeniu, którem bardziej niż uchem zdawała się słuchać wyrazów moich, zawierzyłem nakoniec ważności samego przedmiotu i rozgadałem się o zwrotnikach, przesileniach, kwadrach, pełniach, kołach takich, kołach owakich i kreśliłem figura po figurze, i kiedy pewny byłem że Helusia wszystko w najlepsze pojmuje i wszystkiem najbardziej jest zajęta, ona właśnie wpół słowa przerwała mi najuczeńsze dowodzenie, i rzekła zwolna, jak gdyby w dalszym ciągu wielu poprzednich myśli:

— Nie, ja wolę wierzyć, że księżyc jest pierwotnym stanem przyszłej planety, przyszłego słońca.

Otworzyłem wielkie oczy i przez chwilę z zadziwienia oniemiałem prawie.

— A to-bo mówiłeś panie Ludwiku, że księżyc jest martwą, skalistą, bezwodną masą podobno. — Mnie się aż smutno zrobiło! jak to być może, aby w przestrzeni, w tej pięknej nieba przestrzeni, wśród tych wszystkich iskrzących życiem gwiazdeczek, mogły toczyć się ciała suche i puste bez istot, coby myślały, bez głosu coby się z nich odezwał choć jednym wyrazem w tej wielkiej pieśni całego świata? — Smutno mi się zrobiło, bo sobie wyobraziłam zaraz, że księżyc był kiedyś ziemi naszej podobny i żyli na nim ludzie, — ale ci ludzie byli źli i występni, ci ludzie nie ucieszyli się nigdy pięknnością swego dziedzictwa, nie zapłakali może nigdy łzą co z serca płynie, i dla tego

ci ludzie wszyscy wymarli, — i księżyc planeta ich umarł, i teraz nad ziemią naszą w nocy tylko jak pruchno świeci się trup jego — trup-groźba. — No przyznaj sam panie Ludwiku, że to okropnie! — okropnie, bo jeśli przypuścimy możliwość takiego potępienia, to gdzież nadzieja dobrych i nagroda wszystkich męczenników? To oni zginą dla zbawienia ziemi, a następcy ich, zbrodniarze, wypełnią wszystkich poświęceń ziarna, i ziemię na królestwo śmierci wydadzą; — to więc ma słuszość ten, który wątpi, i sprawiedliwym jest ten, co w niepowodzeniu rozpacza? — To więc panie Ludwiku, przed nami przyszłość stoi niby osłonięte naczynie, z którego można zły lub dobry los wyciągnąć? — to więc szczęście i doskonałość nie są już koniecznością, i niecofniętym prawem mądrości Bożej? — Oh! przyznaj sam że to byłoby okropnie.

— Ależ panno Heleno, panno Heleno! — przerwałem, czyż teraz nam o takie rzeczy chodzi? znowu nie myślałaś o tém co ja mówiłem, tylko o tém, co ci samo do głowy przyszło, — w nauce nie można sobie téj przyjemności marzenia pozwalać. — Nauka jest świętą, piękną, ale poważną i trudną pracą; kto jest dość szczęśliwy aby po nią sięgnął, ten jako odpłatę swojego szczęścia wielkie przyjmuje obowiązki, musi mieć cierpliwość i wytrwałość do końca, — nie wolno mu się jak cackiem bawić uzbieranemi przez innych wiadomościami, — bo ci inni mieli ciężką do przebycia drogę, nieraz zakrwawili i ręce i serca, żeby nam jedną kartkę w uczonej księdze dopisać, — a my panno Heleno, mieliżbyśmy potem tę kartkę czytać bez zastanowienia, bez poszanowania żadnego, mieliżbyśmy ją czytać na to jedynie, żeby się nią jak bajką piastunki rozmarzyć?... Toć to właściwie byłoby okropnem dopiero. — Nie, panno Heleno! wierz mi, trzeba się

koniecznie z tej nieszczęśliwej skłonności wyleczyć, bo inaczej, — dodałem z lekkim uśmiechem, chyba byś mnie nawróciła do tego dawnych mędrków przekonania, że nauka jest ważną tajemnicą, której nie trzeba udzielać dzieciom, bo jej nie pojmą, a kobietom, bo jej nie uszanują.

Helusia z równym zadziwieniem patrzyła na mnie, jak z początku ja na nią patrzyłem.

— Nie uszanują? — rzekła wreszcie. — Albo ja jej nie szanuję? — Alboż w naukach wszystkich może być ważniejsze zagadnienie, jak to, które mi podczas dzisiejszej lekcji na myśl przyszło — o końcu wszech rzeczy, o całej ziemi naszej przeznaczeniu? — mnie się zdaje, że ja się na to uczę, żebym właśnie z pewnością o podobnych rzeczach wiedzieć mogła, żeby mnie potem nie w wierze mojej nie zachwiał. Wyobraź pan sobie tylko gdyby mi też przypuszczenie o stopniowem zamieraniu ciał niebieskich, na zawsze zostało w głowie, jakabym ja nieszczęśliwa była. — Wszędzie z sobą nosić tę myśl, że to nas spotkać może, przy każdym grobie wspominać sobie ogólniejsze zniszczenie, w każdym nieszczęściu widzieć przepowiednię, w każdym występku innych ludzi czuć, niby pchnięcie w przepaść zatracenia; — ach! któżby z taką trucizną w głowie i w sercu, chciał żyć lub odważył się ukochać co kiedy? — Ja, nie — i dla tego było mi czas jakiś aż smutno, aż zimno, lecz téż nie długo na pociechę do prawdziwszych trafilał wniosków. — Wspominałeś pan kiedyś, że po nieskończonej przestrzeni krążą massy światłości i eteru, domyślne przyszłych światów pierwiastki. — A więc światy się tworzą, a kiedy tworzą to ze stanu mniej doskonałego przechodzą w coraz doskonalszy. Doskonałość p. Ludwiku wszakże to jest pełnia życia, ruchu, siły, potęgi. — Więc i światy nabierają coraz więcej życia, ruchu,



sily, potęgi. — Księżyc, może jest jeszcze w początkach wiekuistego istnienia swojego, ale kiedyś spłynie mu z wysokości woda ożywcza, grunt jego wyrzuci na wierzch wszystkie skarby swoje, i księżyc będzie piękny jak ziemia już jest piękną, i księżyc będzie planetą, będzie miał swoje księżyce, a nasza ziemia nawzajem zsilnieje, zpotężnieje, — oderwie się od niewolniczej, służebnej kolei swojej — i będzie słońcem.

Prawda, że kiedyś słuchał tych cudaactw miałem lat dwadzieścia cztery i nieszczęśliwy zwyczaj patrzenia często także w niebo i na ziemię, a nie astronoma i nie matematyka wzrokiem, więc też zamiast cobym miał przykładnie skarcić niesforną dziewczynę, która w najpiękniejszy porządek wprowadzała takie zamieszania i która ciałami niebieskimi, jak gałkami z chleba, pozwalała sobie podrzucać według dziecienną fantazyi wyskoków, zamiast cobym miał zgromić surowo i milczenie nakazać i znów o wszystkich kołach od początku zacząć mówić, — ja się śmiać zacząłem i spytałem:

— A słońce czém będzie?

Helusia w dobrej wierze namyśliła się chwilkę i odpowiedziała:

— Oh! to jest dzisiaj tajemnicą, — bo dzisiaj nam bardzo wiele rzeczy tajemnicą, ale na słońcu muszą wiedzieć myślące istoty, jaki jest wyższy stan doskonałości, jakie są światy od słońca piękniejsze.

— Ha! więc i my — rzekłem, — i my ludzie na owém przyszłym słońcu żyjący, dowiemy się także tego.

— A dla czegoż pan się śmieje ze mnie? — zagadnęła mnie bardzo poważnie Helusia, widząc że na to przypuszczenie serdecznie i głośno się rozśmiałem.

Nie powiedziałem jój, że się śmieję z tak przedale-

kiego proroctwa, ale chcąc wszystkie jęj urojenia na jaw wyciągnąć, nowém pytaniem podsyciłem jej działalność.

Helusia ze spokojnością przekonania zapuściła się w Swendenborgskie swoje nadzieje i systemata, a w coraz żywsze farby, w coraz połyskliwsze blaski, stroiła te widziadła przemiennej fantazyi. Zapomniałem, że to jest lekcyja jeografii matematycznój. Skusiły mnie powiastki młodej marzycielki, i rozgawędziłem się z nią w najlepsze o niebieskich migdałach, o gruszkach na wierzbie. Czas zszedł nam bardzo miło, lecz gdyśmy się rozeszli, gdy sam do siebie na górę wróciłem, wróciła i rozważyła lepsza.

Do czegoż mógł poprowadzić Helusię ten nieszczęsny nałóg opuszczania prawdy dowiedzionęj, dla upędzania się za dowolnemi wyobraźni wnioskami? do czegoż owe lekceważenie naukowych pewników, przy ciągłej potrzebie nadzwyczajności, ideału i inności. — Zaiste! zgubny to był kierunek. Jeśli przy podobném usposobieniu myśl czyja nie zahartuje się nabywaniem wiadomości stanowczych, arytmetycznie uporządkowanych, jeśli nie wzmocni całym rozsądkiem naukowęj systematyczności, to zawsze w końcu przesili się w nadnaturalny mistycyzm, i zesłabnie w bezcelnej nieużyteczności, lub się starga i spląta w natężeniu szaleństwa. — Wiedziałem, że na tej drodze nie mogłem dłużej zostawić Helusi, a teraz wiedziałem z doświadczenia ostatnięj lekcyi, że mnie samemu trudno będzie w dokonaniu tego przedsięwzięcia wystarczyć. — Na skargę więc i naradę do Maryi-Reginy poszedłem.

U Maryi-Reginy zastałem gości ale zupełnie nieznanym.

— Dobrze przecucie wiodło pana tutaj, — rzekła przedstawiając mnie dwom kobietom i młodemu mężczyźnie, który obok nich siedział. — Od dzisiaj, ci państwo

są najbliższém pana sąsiedztwem, gdyż właśnie ostatecznym aktem nabyli Bystró-wolę, która, jak mi sam pan mówileś, ćwierć milki załedwle od waszego Krzywca leży.

Pierwój jeszcze slyszalem, że pan Kazimierz \*\*\*\*\* u-  
kładał się o kupno téj majetności i slyszalem także iż to  
był człowiek młody, ale już bardzo szanowany w obywa-  
telstwie, bardzo światły i przy miernym majątku, bardzo  
znaczne w towarzystwie zajmujący stanowisko. Pierwszy  
rzut oka potwierdził mi to zdanie ogółu. — Trudno mógł-  
by sobie Lawater sam życzyć pogodniejszego czoła, więk-  
szej powagi w każdym ruchu, więcej łagodności w prze-  
ciągłym niebieskich oczu spojrzeniu. — Mnie, com w so-  
bie czuł zawsze jakieś usposobienie do fizyjonomicznych  
sposprzeżeń, od razu prawie ujęły czysto słowiańskie ry-  
sy jego twarzy lekko opalonej, ale zawsze raczej białej niż  
rumianej i tworzącej cień niejako z odsłoniętymi skronia-  
mi, które pod czapką mniej na działanie słońca wystawio-  
ne, zachowały zwykłą cerę swoją i przebijały siatką żył  
blekitnych, jakby tajemniczymi znakami głęboko ukrytych  
myśli. — Rozmiary wszystkich części pięknej jego głowy  
nie zgadzały się wprawdzie z najsurowszemi rysunku za-  
sadami, — obwód nie był czystym owalem, nos się chara-  
kterystycznym kształtem nie odznaczał, i w ogóle dla  
patrzących wzrokiem ciała tylko, twarz jego była sobie  
twarzą bardzo zwyczajną, wydatnie kościstą, trochę może  
za krótką, słowem, twarz załedwie przystojnego mężczy-  
zny, — ale wyraz owój twarzy był tak pełen spokojnej  
godności, usta jój choć bardzo rzadko śmiejące się, miały  
wdzięk tak wymowny, tak w nieruchomości swojej nawet  
do słodkiego uśmiechu podobny, ciemna oprawa jasnych  
oczu była tak czysto i ślicznie zakreślona, też oczy same  
z po-za długiej rzęsy tak zwolna płynęły nie przenikli-



wym, badawczym, lecz można powiedzieć nieledwie ciepłym, orzeźwiającym promieniem, że kto z duszy w duszę patrzył przez nie, ten musiał przyznać, iż odebrane wrażenie, zupełnie odpowiada wrażeniu, jakie zawsze na niezepsutój naturze widok prawdziwój piękności czyni. — Kazimierz więc choć mniej kształtnych rysów, choć nawet mniej okazałej postawy, bo szczupły dosyć, i średniego wzrostu zaledwie, pięknym mi się wydał wpierw nawet, nim zdołałem piękność jego ocenić i wytłomczyć sobie. — Pośpieszniej wyciągnąłem moję a silniej jego rękę ścisnąłem zaraz, i tak coś poczułem w sercu, jak gdybym się niespodzianką jaką rozradował, — a czemużbym téż i na prawdę rozradować się nie miał? — Wiedziałem o nim, że prawy i szlachetny człowiek; ze spotkania podobnego toć to zawsze radość w życiu! — Obietnica dobrych zdarzeń lub wrażeń na przyszłość.

Wbrew wszelkim towarzyskiój grzeczności zasadom, później dopiero po przywitaniu Kazimierza, skłoniłem się przed siedzącymi o podał kobietami; lecz te kobiety choćby téż nawet były w stanie na podobne drobnostki uważać, jeszcze o ile mi się zdaje, byłyby mi chętnie przebaczyły mimowolne uchybienie przez wzgląd na przyczynę jego. — Starsza z tych kobiet w podeszłym już wieku, z białemi jak mleko włosami, gładko po obu stronach twarzy pod skromnym czepekciem zaczesanemi, była babką Kazimierza; — druga zaś choć młodsza, jednak zawsze nie młoda już, ciotką jego. Obiedwie one z Kazimierzem mieszkaly ciągle i według tego jakim się później dowiedział, od dzieciństwa osieroconego, wychowały troskliwie i kochały każda po swojemu, ale serdecznie, — z przeniesieniem na jego głowę całej massy egoizmu, który każdemu z ludzi, w mniejszój lub więkšej części wydzielanym

bywa. — Szczęściem że ich część, mniejszą była właśnie, więc też ich miłość nie zepsuła młodego wychowanka. — Póki się dobrze z całą tą rodziną niezapoznałem, póty nie mogłem wytłomaczyć sobie łączącego ją stosunku, który się w tak miłą zgodność ułożył i w tak piękne, pożyteczne przesnuł życie. — Już to wnuk z babką, bardzo dobrze mógł się w każdój chwili porozumieć, — łączyło ich nawet rysów wielkie podobieństwo; z twarzy głębokimi zmarszczkami pokrytej, zupełnie Kazimierzowe błękitne i pełne uczuciowego życia spoglądały oczy. A chociaż starość pochyliła nieco dość kształtną kiedyś postawę, znać jednak było, że to nie jest ta starość, która cięży i ciśnie ku ziemi, ale ta, która nad nią spokojnie dobrém wspomnieniem rozmyśla. — Ot może teraz jeśliby kto przeczytał słowa, które mam napisać właśnie, możeby mi wielkie zarzucił uprzedzenie, lub wielką narzucił śmieszność, — a jednak to jest prawdą według mojego sumienia, że nigdzie kobiety nie mają tak pięknej, tak bogatej myśli i sercem starości, jak w naszym kraju; niedołężna zgrzybiałość rzadkiem jest u nas zjawiskiem; gdy przeciwnie w wielu rodzinach, w każdój prawie okolicy spotkać można ową dobrą babunię, albo ową cioteczkę całej młodzieży, której ona wymaganiami nie odstręcza, która raczej przyciąga pobbłażaniem większém od tego, jakie świat terażniejszości dać może. — Taką babunię, wszyscy z drugiego pokolenia od najstarszych do najmłodszych z poszanowaniem w rękę całują, odwiedzają niby ze wspólnie przyjętego rodzinnego obowiązku, a gdy się komu zdarzy w domu ją swoim przyjmować, to jest taka szczerza radość, taka suta gościnność, jak na uroczyste święto. — Nie trudno mi też było zrozumieć, że z podobną babką, wnuk podobny, szczęśliwie żyć może na dobry przykład i na pociechę lu-

dziom wątpiącym o możliwości szczęścia przy schyłku dni swoich. — Ale wśród nich obojga, nie mogłem zrozumieć tej ciotki, która tam nie zdawała się przeszkadzać niczemu, a zdawała się jednak do uzupełnienia dobrego być najniezdolniejszą. — Niech sobie kto wyobrazi wysoką, chudą, z czarnymi jak węgiel oczami, z czarnymi jak oczy włosami kobietę, która ma nos orli, na wierzchniej wardze wyraźne wąsy, po lewej stronie twarzy ogromną brodawkę, a minę taką surową, jak połajanie; — kobietą podobną była ciotka Kazimierza, — w przydatku jeszcze nie zamężna panna Irena. — Bardzo jest chwalebną rzeczą zaiste, o nikim z pozorów nie sądzić, i pewnie ja więcej niż kto bądź inny do tej maxymy się stosowałem, dla mnie twarz była piękną lub brzydką według znaczenia jakie na niej duchowe wyrobienie odbiło; lecz twarz panny Ireny zdradzała taką cierpkość, a znowuż cały sposób postępowania Kazimierza względem niej, taką z najtkliwszym przywiązaniem połączoną uległość, że zupełnie na czysto sobie tego z loiki mojej wyprowadzić nie umiałem.

Tymczasem gdy ja tak w głębi duszy najogólniejsze zbierałem spostrzeżenia, rozmowa szła o nowo nabytęj włości, — o sąsiedztwach, o porównaniach tych i owych okolic, — stopniu ich stosunkowej oświaty. Nakoniec Kazimierz żartobliwie zwracając się do mnie:

— Pana obrazić nie powinno — rzekł z pół-uśmiechem, — bo gdy jeździłem Bystrowolę oglądać, nie było go już przeszło od dwóch miesięcy w Krzywcu, ale jednak muszę wyznać szczerze, że o i le mi się zdarzyło z różnemi domami zapoznać, o tyle znacznie przeważającą liczbę wykształconych kobiet niż wykształconych mężczyzn spotkałem.



— To się spotyka i w wielu innych okolicach — odezwała się panna Irena głosem tak stanowczym, że choć dźwięk jego był dosyć miły, przecież zbyteczna pewność jakby jakie uchybienie razila. — Nie wiem czy dla tego, że zdanie podobne z ust panny Ireny wyszło, czy też, że jeszcze byłem pod wpływem owój spelzlłej na gawędce Helusiniéj lekcyi, ale jak najniedorzeczniéj się wyrwałem.

— Dla czegóż nie ma się spotykać, kiedy wykształcenie kobiet jest tak łatwe do nabycia, że je każda osiągnąć może. — Dla nas mężczyzn zawód trudniejszy i utrudzone środki; — nic więc dziwnego, że mało który widocznie naprzód postąpi.

Panna Irena zamiast odpowiedzi, głośnie rozśmiała się tylko i nieraczyła odezwać się nawet, jako na wielkie głupstwo, jej sprostowania nie warte.

Bardziéj niż ów niegrzeczny śmiech panny Ireny, bardziéj niż jéj pogardliwe milczenie, — oh! bardziéj daleko ukarało mnie zadziwione spojrzenie Maryi-Reginy, z którem się spotkałem w téj chwili — już byłbym niewiem co oddał, już byłbym chciał, zdaje mi się, żeby mię panna Irena jak najokropniéj zburezała, bylebym tylko mógł przerwać milczenie, które po wymówionych przezemnie słowach jak na złość między nas padło. — Byłto prosty przypadek tylko. — Panna Irena nic nie mówiła, bo nie chciała. — Marya-Regina nie mówiła, bo jéj się zdawało że ja chyba na przekorę się odezwałem, i że mi tylko panny Ireny odpowiedź jest dłużną. — Babka, czyli jak ją téż często zwano, pani pułkownikowa, nie mówiła, bo może i dość słuszną znalazła moją uwagę. — Kazimierz nie mówił, boć to na pozór nie jego była sprawa, a ja się przez cały ten czas rumieniłem jak winowajca.

— Według mego zdania — odezwał się Kazimierz, — trudność nie jest w tym względzie dostatecznym usprawiedliwieniem. Jeśli przez ukształcenie, miało się rozumieć najdoskonalszy postęp w zawodzie odpowiednim przeznaczeniu mężczyzny lub kobiety, to zbyt prędko za wyrokowałeś pan, że nam się trudniejsza część dostała: — ja przynajmniej nie odważyłbym się powiedzieć czém snadniej być można, czy biegłym professorem? czy ujmującą wdziękiem kobietą? czy odważnym jenerałem, czy cierpliwą żoną?

— Ależ ja pod żadnym względem nie chciałem tych dwóch doskonałości porównywać z sobą, — rzekłem zupełnie już przekonany o bezzasadności mego twierdzenia, lecz chcący jeszcze ostatnią wymówką mylności jego osłonić, — mówiłem jedynie o powierzchownem, towarzyskiem ukształceniu, do którego my ani czasu, ani może sposobności nie mamy.

— Ciekawam, co ten pan powierzchownem ukształceniem nazywa? — raczyła się wreszcie odezwać panna Irena. — Ukłon, taniec, czystą francuzką lub angielską wymowę? — Bóg widzi, — tam gdzieśmy byli, nie tańczono wcale, nie paplano po francuzku, nie świstano po angielsku. — Rozmawialiśmy w naszej codziennj polskiej mowie — o literaturze, — historii przeszłej lub.... terażniejszej, — nie zdaje mi się żeby to do zupełnie powierzchownego ukształcenia należało. Ale jeśli pan jest tego przekonania, to znowu niewiem z jakiego powodu uznaje nabycie pewnych w tym względzie wiadomości łatwiejszem dla nas niż dla mężczyzn?

Szczerściem że panna Irena z taką nawałnicą wpadła na moją głowę, gdyż w téjże chwili, jakby pod zimną wo-

dą, odzyskałem całą przytomność. — Najpierw przyszedłem do uznania że przeciwnicy moi mają słuszość, potem jakby objawieniem przeczułem i rozradowałem się, że porażka moja zasępiała na chwilę śliczną twarz Maryi-Reginy, potem z szczerością najczystszej sumienia, przyznałem się do błędu i przyczynę jego opowiedziałem.

— Nie będę już dłużej złej sprawy bronił, rzekłem pokornie do panny Ireny. — Istotnie w moich rozróżnieniach trudnego i łatwego ukształcenia, sensu za trzy grosze nie ma; ale bo też przyznam się państwu, że zrazu, nie wam ja odpowiadałem, tylko dręczącój mię od rana myśli i dla tego jedynie że z nią na skargę do panny Maryi-Reginy przyszedłem, dla tego że ją na wierzchu miałem, przy pierwszej zdarzonój sposobności musiałem się z nią w najniedorzeczniejszy sposób wygadać; — na prawdę zaś rzeczy tak się mają:— daję lekye młodej czternastoletniej dziewczynce, bardzo wielkie okazujacój zdolności.

— Jakto, pan lekye dajesz? przerwała mi panna Irena, ale już znacznie łagodniejszym głosem.

— Tak jest pani, córce gospodarza tego domu, w którym mieszkam — Panna Irena wpatrzyła się we mnie jak w hieroglif a ja najspokojniej rzecz moją ciągnąłem:

— Znając nie jedną bardzo wykształconą kobietę (nawówczas doprawdy, jedną tylko znałem, ale ta jedna była mi młoda, według którój o wszystkich innych tworzyłem sobie pojęcia i dla tego zdawało mi się że nie kłamię) znając nie jedną bardzo wykształconą kobietę, mniemałem dotychczas, że każda z nich ma prawo rozwijać swoje zdolności—uczyć się tak jak my się uczymy. Pierwsze je-



dnak doświadczenie w téj mierze na inny naprowadziło mnie wniosek.

— Naprzykład, co za wniosek? — przycięła panna Irena.

— Ten, że kobiety prawdziwie, gruntownie oświecone, istnieją wprawdzie, lecz istnieją jako wyjątki, nie zaś jako wykształcone, to jest wprost z własnej natury i właściwego sobie charakteru rozwinięte istoty.

— A toż czemu? — zagadnęła dość surowo Marya Regina.

— Bo kobieta która nie jest wyjątkiem, rzekłem z lekkim przyciskiem, — kobieta która nie jest nadzwyczajnością przyrody i świętecznym darem bożym dla ziemi, kobieta dni powszednich, odbiciem wiekuistego pierwowzoru, podróżną ubitej ścieżki będąca jedynie, kobieta jako kobieta wreszcie, nigdy żadnej nauki cierpliwie, porządnie, od początku do końca, nie przejdzie, nachwyta z niej tylko oderwanych wiadomości, podsyci niemi i tak już żywo wyobraźnię, i albo w potocznym życiu upowszechni znów tysiące przesądów, tysiące zabobonów, albo téż w życiu wewnętrznym ducha własnego, sparaliżuje najdzielniejsze rozumu władze, utopi się w marzycielstwie. — Moja uczennica, na przykład, ma niewątpliwie bardzo bystre pojęcie. — Ale na cóż jęj się to przyda, kiedy jest pozbawioną wszelkiej rozbiorowej i krytycznej zdolności. — Przez cały ciąg naszej nauki, ani raz jeszcze nie zdarzyło mi się żeby kiedy zwątpiła o powiedzianym jęj wypadku, żeby zapragnęła dojść czy to jest tak, lub inaczej? Nie, — ona wszystkie wynikłości na dobrą wiarę przyjmuje, a potem nowe same sobie stwarza. Gdy mówimy o historii, to ona ze snów Nabuchodonozorowych

układa jakieś prawo na przyszłość i roi sobie o życiu bez przerwy, o stanie człowieczeństwa w którym uśpienie będzie tylko chwilą dowiadywania się, zadumaniem i rozmysłem, — a przebudzenie się będzie użytkowaniem nabytej wiedzy, — czynem bezustannym. A kiedy mówimy o kolorach światła, to ona się pyta, ale zupełnie naukowo poważnie pyta, czy oddzielnym fioletem promieniem, będzie można kiedyś więcej kwiatów na liliowy kolor pomalować? i ot dziś znowu dowodziła mi z uniesieniem prawie, że z księżycy robi się ziemia, a z ziemi słońce, a ze słońca inna jakaś jeszcze doskonalsza i piękniejsza gwiazda.

— No, cóż w tém złego? toć to wszystko przesłiczne, zawołała panna Irena, a Marya-Regina głośno śmiać się zaczęła.

— Mój biedny pan Ludwik, rzekła nakoniec, onby chciał koniecznie słowików przemienić w bobry, niezapominajki w drzewo na opał; a serca kobiet w jeometryę.

— Pani się ze mnie śmieje, rzekłem zasmucony, lecz to jest bardzo, oh! bardzo niesłusznie. Nie myślałem ja o tém, żeby naukowy postęp Helusi ku tak zwanym „utilitarnym” skierować korzyściom; mnie tylko trwoga zdęła wielka, żeby słowik w bezcelne piosnki życia swego nie wyśpiewał — żeby kwiatek niezabudki nie przesycił się rosą wieczorną — żeby serec kobiety niewezbrało pragnieniem niepodobieństwa; — czyż to grzechem było z méj strony?

— Nie, nie, nie grzechem — odpowiedziała mi Marya-Regina głosem takim pocziwym, żeby nim była mogła, nie tylko żart wesoly ale nawet obelgę wynagrodzić — oh! ja wiem przecież że z pana nie tak okropnie surowy pedant — ale bądź spokojnym, panie Ludwiku! i nie

wchodzić w zatargi z Helusią, bo to jest taka szczęśliwa, taka przezysta natura, że cię nigdy a nigdy nie pojmie. — Kiedyś przy dłuższej rozmowie wytłómaczę panu to wszystko.

— A dla czegoż mybyśmy od tego wytłómaczenia odsądzeni być mieli? — zapytał z uśmiechem Kazimierz.

— Bo szanuję prawa gościnności—szczególniej względem tych co mię niezbyt często nawiedzają — wesoło mu odrzekła Marya-Regina.

— A pod jakimże prawem zostaje pan Ludwik? wyrwała się panna Irena. — Na ten jej niewczesny dowcip, zmieszałem się jak młoda pensyonarka, a Marya-Regina nie zmieszała się wcale.

— Pod prawem bliższej znajomości, rzekła, nawet mogłabym dodać, pod prawem dowiedzionej przyjaźni, i wyprobowanego pobłażania.

— Niech nas pani na ten raz chociaż, do tego samego kodexu przypuści — znowu odezwał się Kazimierz.

— I owszem, chętnie to zrobię, rzekła, jeśli mi państwo w kaucyi wielką masę cierpliwości złożycie, bo ja mam dziwne przywyknienia, lubię czasem długo mówić a więcej jeszcze dla siebie samój niż dla słuchających mię osób — w mówieniu, pierwsze założenie, które najczęściej jest odpowiedzią tylko, rozjaśnia mi się coraz bardziej, — czuję potrzebę zbaczania w różne ustępy — wypowiedzenia, choć nawiasowego, tysiąca nasuwających się mi spostrzeżeń i zdaje się jakoby z wielką występowała rozprawą, a to jedynie bezładne i poufne echo zadumania mojego. Przyznajcież państwo sami, czy mogę mniej znajomym, a przeto samo mniej wyrozumiałym narzucać go słuchaczom?



— O wyrozumiałości naszej, po próbie sądzić będziesz Reginko! — rzekła na to pani pułkownikowa z macierzyńską pieśczęcią, głaszcząc ujętą dłoń Maryi-Reginy.

— Nie wiem też czemu nas w registr dalekich i obojętnych znajomych zapisujesz? — przydała panna Irena, — ja dziś pamiętam jeszcze że cię na rękę nosiłam.

— Było to w dzieciństwie mojem — w chwilach najszcześniejszych życia, — oh! dla tego ja też mówię żeście bardzo dalekiemi znajomymi dla mnie, dalekiemi jak najdalejsze wspomnienie.

— Może też bliskiemi jak najbliższa przyszłość? Czy nam pani tej nadziei podarować nie zechce? zapytał Kazimierz swoim silnym i dźwięcznym głosem — a ja w twarz jego, nie wiem zdziwiony czy niespokojny patrzyłem.

— Najpierw ją podaruję samój sobie, odpowiedziała Marya-Regina tak układnie, tak grzecznie, że ja śmieszny człowiek aż się ucieszyłem z tego.

— Więc na zadatek wzajemny — mówił znów Kazimierz, niech pani w naszej obecności wszystkie zwątpienia pana Ludwika rozwiąże i względem marzycielstwa jego uczniacy, niech mu pokój do duszy wleje. — Ja z mojej strony przyrzekam najszczerzą sprzeczkę, jeśli według mego przekonania sądząc, będę się musiał z panem Ludwikiem zgodzić.

— Kto panu powiedział że tu będziesz mógł swoim przekonaniem sądzić? — odparła z lekkim uśmiechem Marya-Regina. — Tutaj wam dwom będzie wolno dowiadywać się tylko, dowiadywać tego, co mnie podobna kobieta powiedzieć wam może jedynie, ale sądzić? — oh sądzić! — nie tak prędko jeszcze. — Musielibyście pierwej stworzyć w koło siebie nowe życia warunki, — w sobie

władze nowe, — a potem dopiero moglibyście wyrokować, jeśliby wam się podobało, przy końcu XX stolecia.

— Więc to jest proroctwo? — zagadnąłem wesoło.

— Dla was mężczyzn, jeszcze proroctwo, — odrzekła bardzo poważnie — dla nas, to jest taka rzeczywistość jak życie moje i Helusi, — co się ma znaczyć, że z was żaden nie potrafi sobie wyrobić pojęcia na objaw budzącego się w Helusi ducha, a ja to pojęcie mam właśnie i aż do czasu artykułem wiary podać wam go mogę.

— Czy tylko my go przyjmiemy na wiarę? — odezwał się Kazimierz — zdaje nam się że pewna stronność i łączność między paniami zachodzi. — Jedna w drugiej zawsze samą siebie tłumaczyć i objawiać może.

— Mylisz się pan — między mną i Helusią jak łączności nie ma, tak stronności być nie może; — ona i ja, to taka różnica jak dziś i jutro — przygotowanie i czyn. — Mnie się dostało w zupełności życie dnia dzisiejszego; ani *już wczoraj* ani *jeszcze jutro* niema w duszy mojej, nie jestem kobietą wyłącznego uczucia jako pierwój bywało, ale też nie jestem kobietą, która według własnej natury rozwinęła ducha swego potęgę, jak to kiedyś będzie. — Jestem kobietą wieku naszego, kobietą przejścia, mam w piersi kobiece serce, ale chcąc się uczyć, musiałam męzkiej zasięgnąć nauki; musiałam wziąć do méj myśli to, nad czém wy pracowaliście jedynie i co dotąd nie ma w sobie żadnego śladu odpowiednich mojej prawdziwej istocie żywiołów. — Nie śmiej się panie Ludwiku, cóż to? czy myślisz że ja chcę w matematykę lub algebrę technieniem duszy kobiecej wionąć? — tabliczkę Pytagoresa w poetycznych obrazach ułożyć? — agronomiczne narzędzia z mgły obłoków ukuć? — To śmiech niesumienny —

panie Ludwiku! — ja mówię o nauce nauk, o pojęciu praw zasadniczych w każdej ludzkiej wiadomości, o pojęciu ustaw dziejowych w każdym ludzkim zdarzeniu — mówię o tém tylko, i to jest właśnie, co ja kobieta, w obecnej chwili od was mężczyzn przyjąć musiałam — i dla tego nie jestem kobietą bezmyślną, bezświadomą, ale też nie jestem kobietą w prawdziwości ducha swego rozwiniętą, kobietą stwarzającą. — Jestem za to w najwyższym stopniu kobietą rozumiejącą, — i dla tego mogę cię panie Ludwiku z Helusią pogodzić. — Najpierw nie lękaj się dla niej marzycielstwa, — a potem ucz ją dalej i pozwól niech sobie z nauki twojej niesłychane stwarza cuda. — Czy wiesz co jest Helusia? — To jest prawda. — Czy wiesz co to jest marzycielstwo? — To jest dopiero tęschnota za prawdą. — Marzycielstwo rzuca się jak idea trawiąca na odłogiem leżące uczucie, — w marzycielstwo zapadają ludzie, którym od dzieciństwa ciepłem miłości serca nierozgrzano, którzy najnieszcześniejszym przewróceniem naturalnego porządku pierwój się dowiadują że kochanie jest bardzo moralną i estetyczną rzeczą, a potem dopiero sami coś do ukochania szukają na świecie — i gdy się pomylą, gdy zgrzeszą przeciw uczuciu, gdy zesłabną, w malignę urojęn wpadają — bo marzycielstwo, wiercie mi państwo, marzycielstwo jest jedynie kalecstwem sercowem. — A moja śliczna Helusia! ona kocha — ona ma taką boską miłość w duszy swojej że tylko nieskończenie, nieomylnie, jak Bóg, tylko to co jest boskiem ukochać potrafi. — Dla niej też niema niebezpieczeństwa. — Co do nauki zaś, panie Ludwiku, musisz się poddać woli przeznaczenia; z nauką swoją ona co chce robi, bo pierwsze jój słowa; albo sama sobie stworzyła, albo, jak wiesz najlepij, w pierwszym ukochaniu swoim, z ser-



ca kobiety wzięła; —warunków tych odtrącić nie możesz, ich wpływom przeszkadzać niepowinieneś. — Wierz mi pan, raz jeszcze powtarzam, Helusia, to jest prawda — prawda jako uczucie, prawda jako objaw. — Przyznałeś pan że zdolności stanowią o prawie swego wykształcenia, — odmówić przeto wykształcenia Helusi niepodobna, gdyż zaiste dziewczynka ta, ma wielkie i bardzo wielkie zdolności — ale te zdolności są w niej tylko czynnikami uczucia; ich rozwijania, ich wyrobu, pan dzisiaj jako mężczyzna ocenić, zrozumieć, osądzić nie możesz — za niegruntowność wiecznie ją łajać będziesz, z niecierpliwości wyszydysz, a tymczasem ona ci tylko wszędzie odrębność swoją przyniesie i na każdy szczebel mądrości, kobietą w pełni istnienia swego wstąpi.

— A niechże mię pani o to nie posądza przynajmniej, że ją w mężkość jakąś przyoblec chciałem, i że od niej zrzeczenia się kobiecości żądał — przerwałem wtedy mówiąc; lecz Marya-Regina chwilę popatrzyła mi w oczy i potem według zwyczaju łokieć na kolanie, głowę na ręce oparłszy:

— Ja cię posądzam panie Ludwiku, rzekła, oh bardzo posądzam że ty sam niewiesz czego chciałeś i czegoś żądał. Ja znów to mogę wypowiedzieć, bo znów rozumiem dokładnie. Pan Ludwik chciał żeby jedna Helusia została cudnie poetycznym aniołkiem, tkliwym jak pieśń, nieujętnym jak natchnienie, poświęconym jak ofiara, i znów żeby druga Helusia, w tej Helusi systematycznie uczyła się tego, czego on sam nauczył; żeby wiedziała, tak jak on, to co jej do wiedzenia poda, i żeby z uzbieranych faktów lub spostrzeżeń, wycisnęła też samą korzyść którą on wyciska, on, co ma być w dalszem życiu gospodarzem,

prawnikiem, radcą kredytowym, może księdzem — alboż ja wiem! i śmiać się głośno zaczęła.

Otóż mój dobry panie Ludwiku, znów dalej bez śmiechu mówiła, Helusia w najdalszej przyszłości swojej będzie tylko kobietą. — Kobieta inaczej przyjmuje naukę bo inaczej użytkować z niej będzie; kobieta nieoprzestanie nigdy na żadnej choćby najrozumniejszej, choćby oczywistej, jak dwa a dwa są cztery, abstrakcyi — ona ciągle ku temu dąży, aby wszystko co jest w świecie, wszystko co jest w przypuszczeniu, ująć żywcem, wpleść w każdą dnia chwilę, spotrzebować na wszystkie uczucia swego potrzeby. — Nigdy badacz najśmielszy nie ciśnie przed siebie tak zuchwałego pytania, jak kobieta kiedy pytać zacznie; reformator najzapaleńszy nie odważy się na teorye tak niepodobne, jak kobieta na niepodobne próby odważy; z was żaden nadzieją nawet nie uprzedzi jej w wymaganiu wszelkiego dobra od przyszłości — bo życie żywe jest jej życiem jedynem, bo wcielanie słowa bożego jest wiekuistą funkcją jej natury. Dla was może oderwalność wystarczyć, nad zdobyciem szczegółu możecie długo, ciężko i święcie pracować — macie to, co sam panie Ludwiku naukową cierpliwością nazwałeś, — wydacie wszystkie dni i nocy wasze na uczynienie jakiego spostrzeżenia, a potem gdy je zrobicie, gdy zapiszecie, to spokojnie kartę waszą testamentem przekazujecie najodleglejszej potomności, żeby ona dopiero zrobiła z niej użytek lub przystosowanie jakie — i tak bywa z matematycznymi liczb kombinacyami, tak z filozofią waszą. — Lecz kobiety, oh! słusznie pan powiedziałeś, kobiety są daleko niecierpliwsze, one nie tylko *wiedzieć*, one zaraz *mieć* pragną. U wspomnień dziejowych dopominają się koniecznie przepowiedni na przyszłość; ze światła chcą

natychmiast pochwycić promień taki, którymby mogły ziemię w cudniejsze barwy umalować, — a gdy o nieskończoności słyszą, — one nie mogą jak wy, mężczyźni, oznaczyć jej sobie wielkiem X u początku, a wielkiem znakiem zapytania przy końcu ?; Nie, one z taką nieperwnością głowy by do snu nigdy nieskloniły, — one by żyć nie mogły, gdyby, jak Archimedesowi, daremnie wołać im przyszło, o punkt oparcia dla tej dźwigni, którą świat cały z posad wyruszyć można, — ale też one, panie Ludwiku! punkt oparcia zawsze znajduję w sercu swoim, one nieskończoność rozświecą blaskiem wiary i nadziei, one ją w jej bezmierni, w jej nieograniczoności objąć potrafią, bo one ją w żywe rozsnują obrazy, więcęć nawet powiem, bo one ją w chwilę terażniejszości ukochaniem swoim przeciągną. — Czy to rozumiesz panie Ludwiku? — A pan, panie Kazimierzu! czy się ze mną sprzeczać będziesz?

Ja milczałem, Kazimierz tylko dał odpowiedź:

— Nie będę się sprzeczał, lecz będę przekonywał po woli.

— Więc pan nie ufasz słowom moim?

— Wszakże pani sama zapowiedziałaś, że sądzić ich nie można, a kiedy sądzić czego nie można, to przynajmniej rozważać potrzeba. — Widzi pani, że zawczasu rozważyć moję w tym względzie, nabywaniem przekonania na zwałem, — czyż to nie dosyć jeszcze?

— Nie gniewaj się na niego Reginko, rzekła wtedy pułkownikowa, on zawsze taki ostróżny i nieufny — to już w jego charakterze leży.

— Taka dobra babka powinna by jednak sprostować taki zły charakter, — żartobliwie na to Marya-Regina odrzekła.



— Alboż on ma być takim złym koniecznie? ujął się za sobą Kazimierz.

— Koniecznie, odpowiedziała mu znowu Marya-Regina; najpierw dla tego że panu szczęścia niezapewni, a potem dla tego, że innym dużo cierpienia do życia przyrzucić może.

— Oh! co w tym względzie to już ja zupełnie zaprzeczyć muszę, zawołała panna Irena — nieufność w poczciwym sercu nigdy nie będzie ani cierpieniem, ani obrazą drugich, będzie sobie po prostu ubezpieczeniem się przed pomyłkami i zadatkiem pobażaniu.

— A ja mówię, — odparła Marya-Regina, — że będzie ujemnością entuzyazmu i uwielbienia. Co mi to za szczęście bez entuzyazmu, co mi to za miłość bez uwielbienia? — Kiedy zaś kto w pełni i najwyższości nigdy szczęścia uczuć nie może, więc ja powiadam że cierpi — kiedy zaś kto przed miłością swoją paść na kolana w modlitwie nie umie, więc ja powiadam — że dręczy tych, których nie-  
dość ukochał — bo jeśli oni kochają...

— Zaraz, zaraz ja to inaczej objaśnię, przerwał Kazimierz, tylko niech moja osobistość zupełnie w tym względzie usuniętą zostanie, gdyż doprawdy, jeszcze sobie przyznać nie mogę, ażeby słowa babki, ciotki mojej, lub te które mam wymówić, do mnie w czemkolwiek przy-  
stosować się dały, chyba jako rozumowo uznana zasada.

— No, więc jako rozumowo uznana zasada, na cóż nieufność zda się w szczęściu i w miłości? — spytała Marya-Regina.

— Jakże pani dziwny tok całemu zagadnieniu nadała, odrzekł jej Kazimierz — na co zda się?...

— Proszę pana, to jest tok najwłaściwszy, — to jest

najwyraźniejsze określenie, chciałam za jego pomocą wszelkiej dwuznaczności uniknąć.

— Na co zda się? powtórzył raz jeszcze z wesołym uśmiechem Kazimierz. — Pani się pyta jak o jakąś rzecz przyczepną, o jakieś kółko w maszynie.

— Wie pan, jabym się nawet chciała spytać — czy to nie jest lekarska recepta? — jakie to są krople? — kiedy się ich używa? — czy na prezerwatywę, czy na ulgę w czasie przystępu choroby, czy po chorobie ze zwyczaju jedynie?

— Na te wszystkie zapytania odpowiedzieć bym nie umiał, tak jak nie umiem odpowiedzieć, na co nieufność zda się w szczęściu lub w miłości. — A na co zda się szczęście, lub miłość w życiu człowieka? — a na co zda się życie? — Och! tym sposobem rzucilibyśmy się w nieskończony szereg wątpliwości, dowodzeń metafizycznych, i wreszcie myśl by nam się rozwiała we mgłę filozofii niemieckiej; — nie, ja też nie chcę dowodzić na co nieufność zda się w szczęściu i w miłości, tylko powiem pani, że ją uważam za konieczny warunek i miłości i szczęścia — nieufność jest przewidzeniem czasu i przedmiotu. — Jeśli trwanie szczęścia mojego nie sięga dalej nad chwilę zapomnienia o wszelkich możebnych zmianach przyszłości, to ja nie jestem szczęśliwy, — jestem zaledwie rozradowany, ucieszony — dajmy na to, pijany jakimś narkotykiem co z zewnątrz do wnętrza mojego się wsączył; ale szczęśliwym będę wtedy dopiero, gdy ogarnę rozumnym przypuszczeniem wszelkie następstwa i koleje bytu mojego, gdy się poczuję silnym w rozstaniu z tém, co jest radością moją, gdy sam w sobie stworzę taki stan dla ducha mojego, że okoliczności i zdarzenia przepłyną, a zo-

stawia mu tylko pierwiastki prawdy swej i dobra swoje-  
go; — w moich pojęciach, ja to szczęściem nazywam do-  
piéro, i nieufność jako władzę zatwierdzającą toż szczę-  
ście uważam. — Co do miłości zaś — oh! pani — miłość jest  
wyższą nad uwielbienia. — Miłość nieufna, miłość przewi-  
dująca przedmiot swój we wszystkich warunkach i obja-  
wach jego istnienia, miłość ogarniająca najzupełniejszą  
całość jego — miłość, która przyjmuje go dzisiaj — i uznaje  
w jego dniu wczorajszym, i wie że nie odrzuci w najsmu-  
tniejszej chwili jego jutra; — miłość, co go ukocha w nie-  
dokładnościach i błędach, w ubóstwie i pozornej niewza-  
jemności; — miłość taka jest prawdziwie miłością Bożą. —  
Uwielbienie, toć to sumolubstwo najwyższe. Pani chcesz  
aby ci chwilą radości zagrały nerwy i podsyciły się wszy-  
stkie władze duszy, — znajdujesz po za sobą objaw jakiego  
piękna, jakiej doskonałości, — bierzesz z niego uczucia po-  
żądane i wielbisz — lecz gdy wybierzesz wszystko — cóż  
cię z nim łączyć może? — pamięć historyczna, w życiu je-  
dnostkowem wdzięcznością zwana. Alboż wdzięczność mi-  
łością jest? Wdzięczność czyliż w najpospolitszem i naj-  
prawdziwszem znaczeniu swoim nie wyraża moralnej od-  
płaty za to, cośmy moralnie przyjęli? — A miłość czyż  
przyjmuje tylko? Niech mię pani o sentymantalny nie  
posądza mistycyzm, ale według mego przekonania, miłość  
jest jako Bóg, miłość daje wiecznie.

— W istocie, bardzo by mi się podobało to coś pan  
rzekł teraz, — przerwała Marya-Regina, — ale na nieszcze-  
ście, muszę małeńkie zrobić zaprzeczenie. — Bóg sam chy-  
ba z wysokości swojej może świat kochać taką wiecznie  
udzielającą się abstrakcyjną, niezasiloną żadnym zwro-  
tem miłością, — tymczasem w stosunkach ludzkich, na  
objaw jednej miłości, zawsze dwa uczucia się składają. —



Miłość bez wzajemności, miłość wystarczająca samej sobie jako normalny stan istnienia; zdaje mi się... ach! jakiego by to dobrać wyrazu, żeby na siebie stoików i wstępnej klasy poetów nieobrazić, — zdaje mi się, ot — tém, o czém rozmawialiśmy przed chwilą — marzycielstwem — i to jeszcze trochę mniej logicznem od zwykłego marzycielstwa, — boć proszę pana, panie Kazimierzu! według ostatnich słów twoich, zawsze tylko połowa ludzi kochać by mogła, — połowa dająca — a coby się stało z połową przyjmującą? — Ach to okropność! — na ideałów wykierowałbyś wszystkich odrzuconych kochanków — na potępienie wydał wszystkich szczęśliwych zobopólnem szczęściem — to okropność!

— Nie tak bardzo okropna jak się pani zdaje — odrzekł jej wesolo; co do wyłącznej, zjednostkowanej miłości, żadnych praw niestanowię, czy kto kocha wzajemnie kochany, czy może kochać jeszcze choć ukochanym nie będzie, to wchodzi w zakres najściślejszej indywidualności człowieka i na to przepisów tworzyć się niegodzi, — ja przynajmniej, widzę w tém grę powietrznych fenomenów, kartkę z rozdziału szczegółowych spostrzeżeń. — Ale gdy mówiłem o miłości — miałem na myśli miłość zasadniczą, ogólną, do potęgi swojej wzniesioną, — niewiem czy taka miłość istnieje w tej miłości, która jak pani mówi, z dwóch uczuć składać się musi? — Być może zresztą, — wtedy zapewne utrzymuje się ciągłą zamianą wzajemnych darów, ale i wtedy nawet jeśli się na niej ograniczy, jeśli z owego złożenia, które już doskonałą jedność stanowi nie wyda po za siebie skarbów nowych, jeśli się nie rozpromieni własną światłością do koła, — to będzie znowu samolubstwem tylko, kłamstwem, ale nie będzie miłością, — gdyż ja raz jeszcze powtarzam, — miłość wiecznie daje. Jeżeli

pani to słowo nie wystarcza, mogę użyć innego, miłość wiecznie stwarza, czyliż odwrotnie, stworzenie każde jest wydaniem miłości stwarzającego?

— Zakończyłeś pan takim ogólnikiem, bo wiesz dobrze o tém że mu nie zaprzeczają, ale poczekaj-no pan tylko, przy bliższem zastanowieniu się, pochwycę nie omylnie ten punkt, w którym się pan z ciągiem logicznym roztaczałeś, gdyż to jednak dziwną jest rzeczą, żeby z tak pięknego pojęcia ogółu, taką sobie fantazyjną o szczegółach zdać sprawę—jak gdyby szczegóły na odrębnych rozwinęły się ustawach; i tak np. ideałem miłości jest miłość wiecznie dająca bez zwrotu, a wśród ludzi człowiek kochający niewzajemnie, jest śmiesznym lub chorym—nie, ja między temi ostatecznościami nie mogę jeszcze ustawić żadnego porządku.

— Namysł się Maryo-Regino, czy téj drugiej zbyt daleko nie posunęłaś, — spytała wolnym głosem milcząca już oddawna, niby zadumana trochę, panna Irena.

— Nie zdaje mi się, że zbyt daleko—człowiek kochający niewzajemnie albo sam względem siebie omyłkę popełnia i wtenczas, przyznajcie państwo, że jest śmiesznym, bardzo śmiesznym bo romansowym jak niemieckie dziewczętko co się z książek i piosenek lekcyi miłośnej uczy, — albo też popełnia omyłkę względem przedmiotu swego ukochania, i wtenczas jest nader niebezpiecznie chory, cierpiący, zapłakany, zgorączkowany — biedny aż do wywołania litości.—Jakto, czyż nie? to chyba państwo musicie tej prawdzie zaprzeczyć: — że miłość wyłączna jest dana człowiekowi na szczęście, na uzupełnienie jego jestestwa, na doskonałość.

— Tej prawdzie nie zaprzeczymy, rzekł z wielką powagą i trochę wzruszonym głosem Kazimierz, ale przy-

znając ją, zapytam panią — czy to pani zna wszystkie wszystkich serc potrzeby — czy wie co któremu dać siłę do szczęścia może? co je uzupełnieniem władz jego zбо-gaci? — co w doskonałości na wyższy stopień posunie? — Wątpię żeby to pani wiedziała — i wyznaję, że sam nigdy wiedzieć niezapraǳiałem, bo gdybym wiedział, samoistność każdego człowieka stałaby się dla mnie oznaczonym numerem, w pewnej kategorii pewnego rejestru; — wołałem przeto na spostrzeżeniach poprzestać, i wierz mi pani, — mówił z coraz większym zapalem, a jednak z coraz poważniejszą spokojnością — wierz mi pani, że te spostrzeżenia inne zupełnie objawiły mi wynikłości: kobieta której niekochano wzajemnie, niebyła nigdy śmieszną w oczach moich, — bo takiej kobiecie winienem całe moralne życie moje, — kobieta którą opuszczono i zapomniano — nie zrobiła mi nigdy wrażenia chorej, zgorączkowanej istoty, — litością jam jej nie cisnął nigdy, — ale z uszanowaniem i ze czcią, w drodze życia mego koło niej przeszedłem, bo w niej uznałem wyższą ducha i miłości potęgę — doskonałsze wieczności przeczucie, bo wreszcie takiej kobiety słowa, lepiej mi wypowiedziały piękność życia i świętość najosobistszych wrażeń, niż widok tysiąca innych kobiet, otoczonych wszystkimi skarbami wzajemnej tkliwości i wzajemnego poświęcenia.

— Nie łaj mnie pan tak surowo, jeśli podobnych spostrzeżeń nie zrobiłam, — rzekła Marya-Regina do Kazimierza — czyż moja w tém wina? Dotychczas jeszcze mi się nie nasunęły pod oczy.

— A mnie się zdaje, że nasunęły może, tylkoś ich ocenić dobrze nie umiała, — rzekła z lekkim przyciskiem panna Irena — i po krótkiej przerwie dodała: — Zdaje mi się że znałaś Annę?



— Anne\*\*\*? Anne-Klarę? — oh! pewnie że ją znałam i dobrze znałam.

— A jej znajomość, czy ci nie pod tym względem nie wyjaśniła?

— Cóż mi wyjaśnić mogła?—Anna była wtenczas bardzo szczerze i bardzo namiętnie kochaną.

— Lecz potem nią nie była, — odparł Kazimierz.

— Dla czegoż niebyła, kiedy poszła za męża?

— Oh! pani, ja widzę, nie nie słyszała o tych okropnych chwilach jej życia.

— Prawda, nie nie słyszałam, odpowiedziała drżącym głosem Marya-Regina i zdało mi się że twarz jej zwykle blada, jeszcze się większą bladością powlekła.

— Myśmy ją wtenczas właśnie poznali, mówiła znów panna Irena. Była z matką śmiertelnie chorą w Krakowie. — Matka wśród najsroższych boleści, na przyszłe osierocenie Anny uskarżała się najwięcej. — Anna była jej myślą każdo-chwilową, jej ciągłym niepokojem, jej gorączkowym marzeniem w długich nocach bezsennych. — Słyszała dawniej jeszcze, że lekarz który ją odwiedzał, kiedyś tam oświadczył komuś chęć starania się o rękę jej córki. — Państwo wiedzą najlepiej z jakim fanatyzmem chorzy przywiązują się czasem do niosących im ulgę lekarzy, a z jakim uporem znowu trwają w raz powziętych zamiarach swoich. Otóż i wtenczas tak się stało. Doktor\*\* był aniołem opiekuńczym dla umierającej, na połączenie go z Anną zebrała całą siłę gasnącej już woli. — Pamiętam, przyszliśmy tam raz z Kazimierzem na całą noc, bo już Anna tak nam się długiem czuwaniem wycieńczoną zdawała, żeśmy patrzeć na nią nie mogli. Zastaliśmy do-ktora bladego, zmieszanego, a Annę płaczącą. Chora trzymała ich ręce w swoim reku i nie zważając na nasze

przybycie, ciągle mówiła: „Umrę spokojniejszą, zupełnie spokojną, bez kłopotu i rozerwanej uwagi o zbawieniu duszy mojej pomyślę — bo dotychczas nie mogłam myśleć moja Haneczko — nie mogłam o niczym, tylko o tobie, sierocie mojej jedynéj... Dziękuję wam i błogosławię pocziwe, kochane dzieci, wy oboje dziećmi moimi jesteście — Nie płacz Haneczko — mnie zupełnie już dobrze...” ale nim zdążyła ostatni wyraz dokończyć, zasłabła nadzwyczajnie i w zemgleniu z poduszek się osunęła. — Przez kilka chwil trzeźwiliśmy ją, nacierali, aż nakoniec przyszła do siebie; na widok doktora uśmiechnęła się, chciała znówu coś zacząć mówić — ale cichość jej zalecił i wkrótce potem, lekki sen padł na nią.

Anna korzystała z tej chwili; i wraz z nami opodał nieco od łóżka matki usiadła. — Przez jakiś czas milczeliśmy wszyscy; nakoniec ona pierwsza, z odwagą i szczerością o tém co przed chwilą zaszło, mówić zaczęła — i mówiła nam o przeszłości swojej, że kochała, że kochania swego zapomnieć nie może, choć go dla niej zapomniano, mówiła że w jej przekonaniu grzechem jest i świętokradztwem ślubna bez miłości przysięga — jednak prosiła doktora aby nie wydzierał tak drogiego jej matce złudzenia, i przebaczył, jeśli ona sama w tej chwili śmie od niego kłamliwych pozorów żądać. — Doktor\*\*\* był bardzo sumienny człowiek, ale bardzo wielki dziwak — po tej spowiedzi serca, oświadczył, że ją więcej kocha niż pierwej — że się z nią niezawodnie ożeni, dla tego właśnie że kocha i że ona kochać będzie, dla tego właśnie bo od innego kochaną nie jest. — Od tej chwili mógłby kto być myśleć że to są ludzie najobojętniejsi, którzy między sobą szczęścia całego życia w zagadnienie nie rzucili. — Po kilku tygodniach męczarni i pociechy matka Anny umarła — by-

liśmy z nią w tych pierwszych chwilach boleści; kto tego nie przechodził, ten sobie wyobrazić nie może jakie to pustki w świecie kiedy się człowiek do koła obejrzy, a nigdzie takiej nie widzi istoty, która-by na nierozdzielność do życia jego należała, — cóż dziwnego że po ostatniej stracie, dusza się złamie na chwilę. — I Anna biedna złamała się także — doktor bywał ciągle — doktor ją kochał. Przez te kobiece serca, Bóg wie czasem jakie natchnienia poświęceń przechodzą. — Jednego dnia Anna przyrzekła mu że pójdzie za niego! „Nie jest mi danem używać i potrzebować — rzekła do nas, może, jak się komu potrzebną uczuję, to nabiorę siły i będę czynną, i użyteczną; boć ostatecznie o to chodzi tylko żeby człowiek stał się użytecznym.“ — Myśmy jej nie mogli zaprzeczyć. — Niestety mieć chciało, że dla kilku spraw bardzo ważnych, musieliśmy też i wyjechać z Krakowa. — Czasem wyrzucam sobie ów wyjazd jak ciśnięte na czyją głowę nieszczęście. — Zdaje mi się że gdybym dłużej była z Anną, niezawodnie byłabym lepiej w głąb jej duszy spojrzała, i lepiej niż ona sama pojęła, że zaprzeczenie własnego serca jeśli nikomu szczęścia nie przynosi, to jej też szczególniejszy do życia dać nie mogło. — Byłabym to powiedziała doktorowi\*\*\* byłabym zerwała ich małżeństwo. Tymczasem przeciwnie się stało — pobrali się. — W parę miesięcy Anna okropnie smutny list do mnie napisała, — odpowiedziałam na niego, ale potem na moją odpowiedź, żadnej już odpowiedzi nie było, — pisaliśmy kilka razy jeszcze — ostatni list poczta *retro* odesłała. Widać że ich obojga w Krakowie nie było — ktoś nam potem wspominał że za granicę do wód wyjechali, — wierzę temu, bo Anna do reszty stargać musiała i tak nadwątlone zdrowie. Dzisiaj pewną jestem że już umarła. — Oh! ja znam organizację



kobiet jej podobnych,—żadna taka nie wytrzyma w świecie kłamanej miłości—i to są jeszcze najszcześliwsze!

Przez cały czas opowiadania panny Ireny, nieśmiałem spojrzeć ku Maryi-Reginie,—gdyż pierwszy raz w życiu ona sobie spojrzenie moje na znak badawczy, lub też słowo surowego wyrzutu przetłomaczyć mogła — a ja Bóg widzi, w tej chwili cierpiałem tylko jej boleścią—żałowałem przeszłości żalem jej własnej duszy — boć przecież jam ją kochał, czy w grzechu, czy w pokucie jam ją kochał—jam się dzielił wszystkim. — A jak dzielił jeszcze! — Gra jej uczuć i wrażeń różnych, odbiła się, lecz to za mało... przelała się w duszę moją. — Oh! niezawodnie w tej godzinie życia Maryi-Reginy było mojem życiem i gdyby samej siebie posłuchać jej się chciało, mogłaby mnie była o słowa swej myśli zapytać tylko. — Nakoniec odważyłem się wzrok mój na nią zwrócić z ostatnimi wyrazami smutnego proroctwa. Rysy jej twarzy zachowały jakąś przymusową spokojność, ale oczy świeciły łzą gwałtownie powstrzymaną, usta drżały niedomówionem zapytaniem—białość jej lica przeświecała nabiegającym w nierówne cienie rumieńcem.

— Dla czegoż ta kobieta o pierwszym swoim uczuciu zwątpiła?—odezwałem się wtedy, — i zapytanie moje było wymówieniem ciężących Maryi-Reginie wyrazów.

— Dla tego zapewnie, odrzekła mi panna Irena,—dla czego z początku zaufała mu zupełnie. Na to nie ma wypadków i objaśnień żadnych.—Wiemy że nas kochają—wiemy że niekochają, cudem i wszechwiedzą serca.—Zresztą też Anna nigdy nie chciała szczegółową powieścią do swojej przeszłości zstąpić — i miała słuszość, bo to ulgi nie przynosi, tylko nerwy rozdrażnia i siły wycieńcza.

— Jednakże, — odezwała się wreszcie Marya-Regina,

przyciągając ku sobie silnym uściskiem pochwyconą pannę Ireny rękę, — jednakże powiedzcie mi czy wam nigdy a nigdy nie wspominała o mnie?

Panna Irena znowu swoje bystre oczy w twarz pytającej utkwiała, lecz odpowiedzi nie dawała żadnej.

— I owszem, — wyręczyła ją наконец matka po chwili zbyt przedłużonego milczenia, mówiła nam że się znacie, bo to raz jakoś zgadało się o bardzo pięknych dzieciach; — ja z twoją matką, moja Reginko byłam w wielkiej niegdyś zażyłości — was oboje z Romualdkiem często u niej na kolanach widywałam — Otóż byliście tacy prześliczni, że was dotychczas zapomnieć nie mogę — i wasza matka bardzo piękna także. — Razem we trójkę, to był istny do kościoła obrazek. — Powiedziałam ja to Annie, i ona mi się zaczęła o różne szczegóły z waszego dzieciństwa wypytywać — i mówiła że was zna dobrze.

— Ale jakże to ona mówiła — jakże? moja droga, moja kochana pani?

— Ot tak, jak jest prawda — że ty i dzisiaj prześliczna, że wiele rzeczy umiesz, że bardzo pięknie malujesz...

— I że ją kocham, — czy tego niepowiedziała nigdy?

— Oh! nie! takich słów — Anna nigdy o nikim nie mówiła — zapewne już jej się im wierzyć nie chciało.

— Moja Anna... ale nie, to być nie może, — przydała Marya-Regina szybkim ruchem wznosząc spuszczoną pierwej głowę; w tej chwili pomyślała sobie zapewne, że być nie może, aby jej Anna, a Annie szczęście bezpowrotnie zginąć miało.

(W tem miejscu rękopismu wszyta była cwiartka małeńka, jak widać odpis z wspomnionego listu Anny.)

— „Wyłaj mnie Ireno, bo doprawdy ja po to jedynie piszę do ciebie; gdybym nie wiedziała jak surową jesteś,

gdybym przypuścić mogła, że słowem pieścizotliwém roztkliwisz się nademną, tobym nie pisała wcale. — Mnie trzeba hartu i wzmocnienia. Żeby kto krzyknął na mnie groźnie, i całą pierśią, to zdaje mi się żebym się zlekła przynajmniej i przynajmniej stan duszy zmieniła, — ale tak żyć jak teraz dzień po dniu i chwila po chwili żyję, to się niegodzi. — Czy wiesz ty, że czasem chciałoby mi się być w nędzy największej, być głodną, obdartą, skostniałą od zimna, możebym wtedy wyszła z mojego odrętwienia, ale nie bardzo sobie dowierzam, bo kto wie, czy instynkt zachowawczy dość silnie zbudziłby się we mnie i czybym nad samą sobą zatroszczyła się choć przez chwilę. — Wierz mi! Ireno, to nie są dziecinne skargi — ja się nie skarzę, ja ci tylko chorobę moją opowiadam. — żebyś jej zapobiedz lepiej potrafiła. — Nie jestem zepsutém dzieckiem losu, z boleścią moją niebędę się na wszystkie strony portretowała, własne sumienie nigdy mi jęj w powabne blaski nie przystroiło. — Od dwóch lat cierpię i od dwóch lat nie myślę o tem co cierpię, tylko o tem co zrobić trzeba, żebym cierpieć przestała. — Sama wiedziałas czynne życie moje — nie wystarczyło, — przyrzuciłam do niego najświętsze słowo tej ziemi, słowo „obowiązku” — I cóż ja temu winna dzisiaj, że ono także nie wystarcza jeszcze. — Gdybym goniła za szczęściem, — łatwiejby mi przyszło uznanie i zrozumienie własnych błędów, łatwiej bym też zapewne poprawić się z nich mogła; — lecz dzisiaj czegoż ja pragnę? — Oto pragnę być kobietą użyteczną, cnotliwą, spełniającą sumiennie przeznaczenie swoje. W uczynkach moich nie grzeszę tej myśli. Spełnienie dobrego jest pobudką i celem wszystkich postępów moich, nie pogardzam najlichszą drobnostką, nie cofnęłabym się przed najwyższém poświęceniem, — od gro-



sza jałmużny, aż do niebezpieczeństwa, ja wszystko zgarnęłam w rękę moję i w duszę moję — a przecież ręka jest coraz słabsza, dusza coraz smutniejsza. — Cóż robić na to Ireno? Mój mąż tak czyta w myśli mojej, — jak ty w tym liście czytasz — ale wiele bardzo rzeczy, nadwątłonemu zdrowiu przypisuje. — Bezwątpienia musi mieć słuszość — gdybym była zdrowszą, zmieniloby się całe usposobienie moje. — Może też Bóg dalby mi dziecię do ukochania na własność zupełną, na szczęście osobiste, na wzmocnienie ku lepszemu. — Oh! gdybyś wiedziała jak ja dbam o siebie, jak się pielęgnuję — jak posłuszenie zażywam lekarstwa, biorę kąpiele, przechadzam się po słońcu i spać wcześniej kładę — zdaje mi się że nikt już, egoista największy, ciała swojego takimi staraniami otoczyć nie może, — ale mnie to wszystko w pożytek nie idzie. — Ciało coraz biedniejsze. — To mnie tylko pociesza, że śmierci nie pragnę. — Gdybym jej pragnęła Ireno, nie śmiałabym dziś pisać do ciebie, czułabym się zbyt grzeszną i upadłą, lecz dzięki niebu, ja tylko zdrowia i sił pragnę. — Zakazałam sobie samęj rozmarzających o przeszłości wspomnień — w przyszłości wszystkie zamiary stawiałam jedynie w spełnieniu moich obowiązków — użyteczności dla bliźnich braci moich; — więcej ci nawet powiem: — myśl o śmierci, dziwną sprzecznością instynku mego nie przeraża, lecz przeraża mój rozum. — W gorączce — przez sen zapytana, możebym ci odpowiedziała że umrzeć, byłoby mi wygodniej — ale czytaj w mej duszy gdy ma zupełną samęj siebie świadomość, podsłuchaj serca mojego gdy na jawie bije — przekonasz się że ja chcę żyć jeszcze, — żyć długo, — działać. Oh! niech sobie raz tylko na rzeźwiejsze siły zapracuję — to już nie trać o mnie nadziei, wszystko śmiało na barki wezmę, — nawet dawne pamiątki — święte

i niepokalane pamiątki!... grzechu dla mnie w nich nie ma, jest tylko zażalenie boleści; z zażalenia się otrząsnę i stanę przy tych co mnie opuścili — pełna przebaczenia, spokoju i męstwa; — ty mi wtenczas spojrzysz w oczy twoim przenikliwym wzrokiem Ireno i powiesz — „dobrze“ — jak to mówić zwykłaś patrząc czasem przez oczy w głąb duszy swego Kazimierza. Powiedz też Kazimierzowi że ja go błogosławię za to że spełnił nadzieje twoje — za to że jest szlachetnym, poczciwym, sumiennym, za to że go czeka trudne i pracowite życie, — za to że nigdy niczyjego nie zawiedzie serca, powiedz mu, że ja go za to błogosławię! — Bodajby nigdy kobieta, którą kochać będzie, na drodze ku wyższym celom przeszkodą mu nie stała. — Przeczytaj głośno te wyrazy matce swojej — niech krzyż nad niemi w powietrzu zakreśli, prędzej może z życzenia w prawdę się zamienia, bo ręka twojej matki szczęśliwą jest i dobroczyzną. — Wspominajcie też o mnie, kochajcie szczerze, serdecznie, nie dla tego abym ja was kochała lub żebym warta była kochania, lecz żeby w uczuciu waszem moje serce się rozcieplilo — i żebym kiedyś, kiedyś, zasłużyć na nie mogła. — Pisz prędko dobra moja Ireno! — nie pocieszaj mnie wcale, nie pieść jak dziecka lub chorej — ale daj mi ostrą naukę i skuteczną radę. — Ty jesteś sumieniem mojem, powiedz mi też jak myślisz? — gdyby inaczej już być nie mogło, i gdybym musiała umierać, czyby mi wolno było tym się przypomnieć, co dziś zapomnieli o mnie? Jest to jakieś niewyraźne, nieprzyznane prawie żądanie — przeleci mi czasem przez głowę, ale mu dłużej nad jeden przelot gościć nie pozwalam, dla tego też i sprawy z jego natury zdać sobie nie umiem; — czy to jest nikczemna jakaś zawziętość? — chęć upokorzenia ich, nieszczęściem mojem? — potrzeba wskazania im trumny

już otwartej dla mnie, jako wiecznego wyrzutu że się nie domyślili iż ja z boleści takiej umrzeć przecież mogę? — czy też to jest dawnego ukochania szczątek — tęsknota, za pierwszemi życia wrażeniami — obowiązek przestrogi którą im dłużna jestem? — bo oni może nie wiedzą... Sądź mnie bez pobbłażania Ireno — raz ci jeszcze powtarzam — tyś sumieniem mojem. „

*(Dalszy ciąg rękopismu.)*

Po tych słowach rozmowa upadła zupełnie. — Nikt jej nie podnosił, aż wreszcie też panna Irena znak do wyjścia dała. — Miałem wielką ochotę dłużej nieco przy Maryi-Reginie zostać, — ledwie może ósma godzina była z wieczora — ale czułem że jej w tej chwili potrzebną samotność, — chciałem téż względem Anny bardziej szczegółowych zażądać wiadomości, — pożegnałem więc Maryą-Reginę i odchodząc rzekłem jej tylko też same wyrazy, które ona przed chwilą wymówiła.

— Nie, to być nie może!

Marya-Regina silnie, jakby z wdzięcznością lub z przeżeniem, dłoń moją ścisnęła.

— Przyjdź pan tu jutro zrana o dziesiątej — rzuciła mi prędkim uciętym głosem i rozstaliśmy się z sobą.

Na ulicy siedłem przy pannie Irenie, a Kazimierz babkę swoją prowadził przed nami, bo staruszka nie chciała przyjąć na wsparcie mojego ramienia, przyzwyczajona jak mówiła wesoło, do posług swego wnuka, którego na to jedynie wychowała sobie. Przez jakiś czas milczeliśmy wszyscy choć z nas każde szczerze pragnęło ważniejszem zapytaniem do rozmowy przystąpić. — Nakoniec Kazimierz pierwszy zaczął.

— Od wielu już osób o pannie Maryi-Reginie słysza-



łem — ale się przyznaję, że w wielu względach przeszła nawet oczekiwanie moje.—Pan ją znasz dobrze panie Ludwiku?

— Znam; a szczególnie od powrotu jej brata z zagranicy, dosyć często bywam w jej domu.

— Niech pan tego za płonną z mej strony nie bierze ciekawość — ale doprawdy chciałbym wiedzieć co ta kobieta robi z takimi skarbami rozumu, wyobraźni, talentów i serca?

— A coż, jest bogata, czy to nie dosyć? — zapytałem z uśmiechem.

— Oh! nie dosyć — odrzekł Kazimierz, i znowu nam się przerwała rozmowa. Mnie ten ostatni wykrzyknik trochę w głowie pomieszał.—Co to znaczy „nie dosyć?” jak to można być taką jak Marya-Regina i być *nie dosyć jeszcze?* Nie wątpię że to pomyłka w wyrażeniu — ale przez dumę i przez pokorę, jako za, blizki i za daleki nie chciałem żądać jej objaśnienia.

Tymczasem panna Irena odezwała się przecie.

— Czemu się Maryi-Reginie tak smutno zrobiło, gdyśmy o Annie mówili? czy to ona przeciw niej zgrzeszyła?

— Nie, nie myśl pani tego, ujałem się z żywością — ja wiem że ona Anny kochać nie przestała.

— To dziwna rzecz że się te dwie kobiety tak rozstały w życiu, i tak wyszły z pod wzajemnego wpływu—bo jeśli Anna ją kochała kiedy, to Anna także kochać nie przestała, było to prawdziwie, jak jej mówiłam nieraz, prawdziwie uparte serce.— Nie pojmuję dla czegooby wyrzekła się tego stosunku, — różne mi przychodzą domysły—lecz Maryi-Reginy nie chcę posądzać jeszcze.

— I dobrze pani robi, oszczędza pani sobie wielkiej niesprawiedliwości.

— Daj Boże!

Wątpiący głos panny Ireny, twarz jej ostra i brwi zmarszczone, do najwyższego rozdrażniły mię stopnia.

— Niech mi państwo pozwolą, — rzekłem z zaledwie powściągniętem oburzeniem, — niech mi pozwolą spytać się, czy też oni są pewni, że dobrze znają i sprawiedliwie cenia panią Annę? Prawda, że ja sam nigdy nie widział jej w życiu — ale wnioskować mogę z tego co dziś słyszałem. — Była to kobieta, która wyrzekła się wspomnień pierwszej miłości. — Czy ją porzucono, zapomniano? ja nie wiem, mogę przypuścić jednak, że się omyliła w tym względzie, że kochając byłaby zawsze kochaną, — że konieczność rozstania się wzięła za opuszczenie, — że miała trochę przewróconą głowę i trochę romansowy charakter — lecz to wszystko są przypuszczenia tylko; — drugą pewnością w jej historii jest to: że jak nie uszanowała wspomnień swoich, tak i przyszłością kapryśnie rozrządziła; — poszła za mąż bez przywiązania, stawiała na kartę najniepewniejszego losu, zbawienie własnej duszy i szczęście drugiego człowieka. — Potem nikt już nic o niej nie słyszał, najlepszym przyjaciółom nie odpisała na kilkukrotne listy, — bawi gdzieś za granicą, — może nawet jest bardzo już spokojna, zadowolona położeniem swoim, i może ma ze dwoje dzieci przy których ani się zakłopotuje o tych ludzi, co jej przeszłemi cierpieniami dotychczas jeszcze swoje pocziwe kłopotczą serca.

— Widać że pan jej nie znał, — z największą łagodnością na cały ten wstęp do walki odpowiedział Kazimierz. — Mnie smutno tylko, że panu łatwiej potępiające niż usprawiedliwiające ze słów naszych wyprowadzać wnioski. — Pan musiał chyba już bardzo wiele przecierpieć.

— Ostatnie słowa w dobrej wierze, głosem szczer-

go przekonania wymówione, zawstydziły mnie okropnie. — Prawda, nie godziło mi się choćby w obronie Maryi-Reginy rzucać potępienia na kobietę która cierpiała — rzeczywiście czy z urojenia? sąd ten nie do mnie należał — bom ja sam nie dość cierpiał jeszcze.

— Drugi raz dzisiaj, muszę się przyznać do błędu, (rzekłem po chwili krótkiego rozmysłu,) doprawdy, nie wiem jakie też państwu dam o sobie wyobrażenie — tembardziej, że jak teraz naprzykład to się i wytłomaczyć nie mogę.

— A przecież i teraz zrozumiemy się, (rzekł Kazimierz), a co do wyobrażenia jakie nam pan dał o sobie, to zostanie tajemnicą aż do przyszłego spotkania, bo chcę koniecznie żeby panu choć przez ciekawość odwiedziny moje pożądanemi były.

— Więc mi je pan przyrzekasz.

— Zaraz nawet na dzień jutrzejszy, — przed wieczorem jeśli będziesz w domu.

— Oh! kiedy tak, to ja w ciągu dnia jeszcze przyjdę powiedzieć że niezawodnie będę.

I wymieniliśmy kilka zwykłych przy pierwszym zapoznaniu grzeczności, rozpowiedziałem gdzie mieszkam, panna Irena spytała się czy Kazimierz będzie mógł widzieć ową Helusię, która mię tak wielkiego pedagogicznego nabawiła kłopotu, — czy by ona także poznać jej nie mogła u Maryi-Reginy? — aż wreszcie stanęliśmy przy drzwiach hotelu i po szczerem przyjacielskiem uściśnieniu ręki Kazimierza, rozstałem się z niemi dobrém jakimś wrażeniem na duszy — lecz z głębokim smutkiem w przeżuciach.

---



Zupełna niespodzianka czekała mię w domu ślusarza, — zastałem wielkie zgromadzenie znajomych, i domowników. — Była jakaś krewna pani Piotrowa z mężem panem Piotrem i synem Jakubem stolarczykiem, było dwóch starszych czeladników samegoż gospodarza domu, i jeszcze jakiś chłopiec niedorostek i pocziwa Małgosia i Karolek i Helusia i rodzice jej — a wśród tych ludzi siedział Romuald z skrzypecami w ręku i w najlepsze wygrywał od ucha mazury. — Mimowolnie cofnąłem się myślą ku tej rozmowie, w której to pogardliwy artysta dowodził nam że niewarto przed warszawską publicznością występować i chyba na wrażenie pod kolumną Zygmunta, krakowiaka urznie pospólstwu. Ale sam Romuald był o sto mil od tego wspomnienia, — europejski podróżnik, salonowy koncercista — strojny pustak, rozpieszczony zbytkiem sybaryta, słowem wszystkie czarne djabelki które tak często przez niego pazurki swoje na świat pokazywały — wszystkie jak pod exorcyzmem uciekły mu z duszy i został tylko jakiś dziwnie piękny i pięknie pocziwy człowiek z wielkim talentem. — Słuchacze jego nieposiadali się z radości! to ten, to ów tupnął nogą — klasnął w ręce, krzyknął sobie na ochotę — a twarz każdego wyrażała taką swobodną wesołość, taką dziarskość życia niezmarnowanego żadnem doświadczeniem jeszcze — że aż serce w piersiach rosło, patrząc na nich i myśląc sobie zaraz, ile to skarbów rodzimych w massach ludności spoczywa! — Romuald zbratał się z nimi zupełnie może to w nim była chwila artystycznych wrażeń jedynie, lecz nie mniej chwilą prawdziwą w obecności przed nim stanęła; — cała prostota, cała świeżość rozbudzonego uczucia, tych ludzi ciężkiej pracy a lekkiej myśli i głębokiego serca, objawiła

się Romualdowi. Zrozumiał ich nadzieje niewypowiedziane nigdy — ich teraźniejszość bez wspomnień — ich kłopoty bez zgryzot — ich dni świąteczne bez oględności na powszednie jutro — ich uciechy głośnie aż do odurzenia — zrozumiał płacz, śmiech, hulanekę, ale zrozumiał nie w brudzie, szyderstwie, karykaturze, nie w satyrze lub w dramacie ale je zrozumiał, w ich szczerzej prawdziwości, w ich młodocianej sile i gruntowym gatunku. Przecież mu téż było z tym nowym życia objawem, przecież była muzyka jego!

Helusia tuż przy nim siedziała — zdawało się, że jej technienie jakiegoś aniolka zwykłą posępność z oblicza zdmuchnęło. Już widziałem ją spokojną — mocno zajęta — kilka razy uradowaną nawet — ale wesołą niewidziałem nigdy. — Otóż właśnie wesołą była w téj chwili. — Twarz jej zdzienniała prawie, żart jakiś migotał w dowcipnem złociejących oczu spojrzeniu, a uśmiech przelatywał po ustach; można ją było wziąć na kolana, pobujać na ręk ucałować w oba policzki i zapomnieć, że to jest dziewczynka co już marzeniem lub niepokojem w męskie życie wpleść się zdolna.

Przy zakończeniu każdego mazura, — lub téż innéj jakiej piosneczki, Romuald zawsze ku Helusi się zwracał i niby wzrokiem o dalszą radę pytał i dalszego przyświadczenia żądał.

Mała figlarka, domysławiając że to znów na finał zaczął właśnie w czasie mego wyjścia melodyi nastąpi, — dała mi znak żebym po cichu za jej krzesłem stanął, potem kazała się naprzód wychylić troszeczkę i za mną wychylonym sama się ukryła. — Udała jej się ta psota wybornie — Romuald rozochocony, wybijał smyczkiem tegiego holubca, a jako pierwój w ciągu grania wejścia mego nie uważał,

tak i teraz zbliżenia niespostrzegł. Za ostatniem smugnięciem po stronach odwraca się — i — bardzo żywemi czarnemi oczami rzuca mi takie żywe i przyjemne spojrzenie — że się aż od mimowolnego śmiechu wstrzymać nie mogłem, — zawtorował mi czysty głos ukrytj za mną Helusi — Romuald chciał mię zrazu bardzo niegrzecznie na bok usunąć, ale widać lepszy pomysł odwetu przyszedł mu do głowy, tylko rozśmiał się wzajemnie i palcem na nosie pogroził.

— No chłopcy, rzekł potém wesoło, jakoś to kobiet i ślicznych dziewcząt niewidzę, bo się pochowwały przedemną — jesteśmy sami teraz, będziemy pili, szkła tłukli, a jeśli przyjdą nas do domów rozpędzać... to się trochę pobijemy. I jak mówił tak grać zaczął, ale była to już prawdziwa szynkowna, katarynek i pijaków muzyka.

— A wstydź się pan! zawołała Helusia i poskoczywszy ze swego miejsca trąciła go po rękę.

— Jeszcze raz, jeszcze raz! powtarzał Romuald ciągle grając toż samo. — Nie mogę się jakoś wytrzeźwić i niktogo jeszcze nie widzę,

— Zaraz tu pan zobaczy, — z pustotą i śmiechem rzekła, a potém, niby na silne zamierzenie, podniosła rękę i w powietrzu ją wstrzymała.

Romuald grał ciągle — lecz niespodzianie grać przestał i ręką podniesioną rękę Helusi uchwycił.

— Aha! teraz co innego — rzekł patrząc jej w oczy — teraz śliczne dziewczęta wróciły, trzeba się grzecznie zachować. A co nam grać każą te dziewczęta — czy ja się już nie dowiem?

— Zaczekajno pan, niech pomyślę trochę. — I myśleć zaczęła, — a Romuald ciągle jój drobną rączkę w swoim rękę trzymał.



— Ot tak, — rzekła Helusia po chwili namysłu, — graleś pan jak się ludzie w szynku upijają — zagraj teraz jak to się na Bielany idzie w drugi dzień Zielonych Świątek; — mój Boże, wszakżeć to najpiękniejsza w całym roku uroczystość! — Ja zawsze na ten dzień w moją białą sukienkę się stroję, — bo kiedy niebo jest pogodne to już taką pogodą, że tam nas z wysoka wszyscy święci i aniołowie lepiej widzieć muszą chyba — a ludziom jak wesoło! — W inne dni choć czas piękny — niejednemu trudno się przybrać do dalszej wycieczki: — w ciągu tygodnia nieraz może myśli sobie że pójdzie gdzie za miasto świeżem powietrzem odetchnąć — a mimowolnie w niedzielę czas mu zejdzie na bruku i wśród tych murów okopciałych. Lecz na Zielone Świątki — każdy do lasku nad Wisłą pociągnie, a jak tam pięknie wtedy! — jak pełno ludu! jak te gromady jego ślicznie rozrzucone, — a wśród zieleni owe jasne lub jaskrawe kobiet ubiory — a ów gwar ciągly i głośny. — Oh! mnie się to wszystko podoba, — ja wtenczas dopiero prawdziwie czuję — że mi jest dobrze z ludźmi na tym świecie — że obojętnych i nieznanych ja szczerze kocham w ich pocziwych wrażeniach; że ich szczęście, ich wesołość, ich śmiechy swobodne mnie nawet w smutku moim nie rażą. — Czém jest bliźni, czém brat mój, to ja najlepiej pojmuje, gdy właśnie jako w dzień ten pomiędzy tłum wejść. — Dziwna rzecz, tłum mię nie przeraża ogromem swoim — nie osamotnia swoją obojętnością. — Ah graj pan, graj o moich Bielanych.

Romuald pocałował trzymaną rękę, wziął potem drugą jeszcze, złożył obie jak do pacierza i puścił je lekko. — W istocie znać po nim było że jakieś pobożne uczucie ruchem jego kierowało. — Zaczął grać, nie piosnkę lecz pieśń poważną i uroczystą, a Helusia znów na swoje miej-

see wróciła. Ledwo kilka przegrał taktów, głos jój zmieształ się z dźwiękiem skrzypców i odgadując prawie całe rozwijanie się wydobywanój z nich melodyi—popłynął srebrzystym i natchnionym.

Wszystkich słów jój śpiewu nie przypominam sobie—ale wiem, że w nich było o wielkim dla natury i dla ludzi odpuszczeniu,—o zesłaniu Ducha Świętego—i wiem że jój to się układało nie w rymy lecz w jakąś zgodną do muzyki harmonją;— jeśli czasem zbiegły się gdzie końcówki, to przypadkiem jedynie, gdyż Helusia nie szukała ich wcale Helusia; mógłbym powiedzieć nawet, nie tworzyła swój pieśni, tylko pieśń płynęła przez nią; prawie bezświadczenie, jak tchnienie wiatru przez harfę eolską — i zdawało się niby modlitwą, niby echem natury.

— „Oh Boże mój—dziękuję ci—że tyle blasku w powietrzu płynie.—Że tyle światła, promieni tyle.— To jedno słońce na niebie ma.—Oh! Boże mój, dziękuję Ci!—bo gdy odetchnę, to z odetchnieniem—piers moja wciąga jasność i czuje;—Że każdy oddech świeci w jej głębi—że każdy oddech promieniem...

„Oh! Boże mój, dziękuję ci!—Wiosna po ziemi wionęła już—i tyle bzów, konwalij, róż—i łąki takie majowe są—każda gałązka każdego drzewa, niby krwią ciepłą, sokiem nabrzmiewa, i liść się każdy zieleni w cień, — oh! Boże mój dziękuję Ci — Że prawa Twoje wiecznie świętymi—że dajesz wiosnę stęśnionój ziemi — że co umarło to ~~z~~martwychwstaje—że co istniało to musi być — że odrodzeniem jest chwila zgonu — że siłą, mądrością Twego zakonu—i że jest życiem Twój cud!..

„Jakiż to wielki świąteczny dzień!—Na niebie taka jasna pogoda—na ziemi wiosna taka dziś młoda, — w kościele dzwonów tak głośny dźwięk! — A dzwony biją bo

mają nieść — znękanym ludziom radosną wieść, — że od grzechów odjęta kara — że z ponad głowy miecz już odjęty... Że im zesłany jest Bóg Duch Święty — i że to odpust w biednym klasztorze — w klasztorze ludzi najnieszczęśliwszych — co się przed światem musieli skryć — co żywcem w grobie musieli żyć — co kiedy wszyscy do koła nich — szczęściem tak dusze swoje karmili — jak ciało karmią kawałkiem chleba — a z szczęścia brali siłę i moc — Oni się tylko dokupić nieba — boleścią mogli wyrzeczeniem.

„Oh! matko moja pójdziemy tam — i pójdzie z nami tak mnogi lud — i gwarно będzie, wesoło nam — bo choć godzinę tak pożyjemy — jak w prawie Bożém znaczone jest! — Mnóstwo nas będzie, a miejsca dość — Mnóstwo nas będzie, a nikt nikomu — przeszkodą w drodze jego nie stanie — choć wszyscy przyjdą po część uciechy — uciechy wszystkim równo wystarczy — i kto się zechce spojrzeć do koła — temu jednakże serce uderzy — wielką radością, albo przynajmniej, — na wielką przyszłość, nadzieją wielką.

„O Boże wielki! o Ojczy nasz! — Ty znów dla dzieci twych odpust masz — i znów im wszystkim danem zostanie — Ducha świętego Boskie zesłanie...”

Nie mogę sobie darować że mi téj całej Helusinéj piosenki pamięć wierniej dokładniej nie przechowała — Snują mi się po głowie ustępy jakieś zaledwie — jakieś wyrazy które częściej od innych wracają — ale nie umiem ich złożyć do końca, — smutna rzecz — bo to jak gdybym pamiątkę po niej utracił, — zapomnienie jest jedyném ale najzupełniejszém zniszczeniem, — zapomnienie jest nicością. — Jaby niechciał Helusiu moja! — siostrzyczko mo-



ja, dziecino moja — oh! jabym nie chciał żeby te dźwięczne piosenki twoje — żeby te promieniejące chwile twego życia, w marną nicosć się rozwijały — ja dla ciebie wróciłem. myślą do przeszłości mojej, wstrząsnąłem gorzkich wspomnień popiołem — żeby z niego twój niepokalany obrazek wydostać — ale jak widać zapóźno wziąłem się do pracy — tyle siły wyteżyłem pierwój na odtrącenie w niepamięć upłynionych zdarzeń i wrażeń, że dzisiaj, gdy ich szukam znowu — sam widzę, jak mi wiele już bezpowrotnie zginęło — dziś ja stary i martwy — cóż dziwnego Helusiu moja — że sobie nuty twego śpiewu i słów myśli twojój w całości przypomnieć nie mogę. — Ty śpiewałaś głosem pierwszój młodości, — żywą wiarę twój duszy i przeczystem wszechpiękną uczuciem. — Cóż dziwnego Helusiu moja, że ja sobie już teraz przypomnieć nie mogę...

Romuald z początku na równi się utrzymywał z natechnieniem śpiewającój dziewczynki — ale im bardziój głos jej silniał, im pełniejsze dźwięki i świętsze słowa z piersi jej wydobywać się zaczęły — tém on cichsze z własnych skrzypców tony wydobywał — i nakoniec zasluchał się w jej hymnie i tylko od czasu do czasu pociągnął smyczkiem po jakiejś strunie, która się przeciąglém i uroczystem brzmieniem z nutą śpiewu Helusi zmieszała.

Tym razem Helusia nie zesłabła i nie zwałtalała jak w ów wieczór, gdy jój marzeń piosenka cichym westchnieniem rozplynęła się w powietrzu. — Nie, — przez chwilę wprawdzie głos jój drżał lekko jak gdyby myślą rozdrażnione struny serca trąciła, ale wnet dźwięk tój jednostkowój boleści przelał się w wyższą i spokojniejszą harmonią. — W ostatnim wyrazie rzuciła głosem tak śmiało i swobodnie — że zdało się jakoby na raz całe jego bogactwo rozwinąć chciała — a gdy umilkła — przez chwilę jeszcze głowa

jej dumnie wzniesioną była, ręka wyciągniętą, a siwe oczy tak pełne blasku i złota, jak oczy takich ludzi, co się w przyszłość patrzą.— Niedługo jednak została w tej postawie.—Ktoś z obecnych zawołał.

— Oh! mój Boże, jakież to piękne.

I dziewczynka drgnęła niby ze snu obudzona i spojrzała po sobie jak gdyby jej ten ruch zatrzymany, dziwnym się bardzo wydawał, a potem obróciła się ku Romualdowi, i tak samo pobożnie rączkę złożyła, jak on jęj złożył, kiedy stała przed nim.

Już co wtenczas, to rączkę, Romuald byłby chciał ukłknąć i modlić się do niej.

Ślusarz ręce zacierał — młodzi czeladnicy i pan Jakób stolarczyk najlepiej chwalili, bo milezeli, choć na twarzach wzruszenie znać było. Małgosia powtarzała ciągle:

— Dziękiz Tobie Boże!—i trudno wiedzieć czy jej na myśli była wdzięczność za śpiew usłyszany, czy za to że Helusi znów się śpiewać chciało — Karolek ze starszym swoim towarzyszem przycichli w głośnień zabawie — a pani Agnieszka z rozjaśnioną twarzą, z spokojnym uśmiechem, głębokiej lecz cichej radości, słuchala jak jęj pani Piotrowa przywozila na pamięć wszystkie swoje prorocтва o Helusi przed jęj urodzeniem i po jej urodzeniu czynione bo pani Piotrowa była bardzo biegłą wróżbiarką, i co więcej znaczy, sama sobie w tém względie najmocniej wierzyła. — Dowiedzieliśmy się téż od niej, że ona przepowiedziała córkę pani Agnieszce, że wytłomaczyła sen jej na dwa miesiące przed urodzeniem przypadły — a w którym się młodej ślusarzowej o kwiatach na ołtarzu śniło — i że gdy nowo-narodzoną córeczkę do chrztu świętego nieśli z pierwszym wstąpieniem w progi kościelne, organy zagrały pieśni Veni-Creator — dla jakiejś pary nowożeńców — i że

ona, pani Piotrowa, zaraz ztąd wniosek uczyniła — że to pójdzie na szczęście dziewczątka — maleństwo rość będzie w opiece Bożej, pod dobrym wpływem weselnéj godziny i przychylnego spojrzenia, z jakim się zaraz w pierwszém dopełnieniu chrześcijańskiego obrządku spotkała.

— Gdyż to wiele znaczy, mówiła pani Piotrowa, oh! bardzo wiele, kiedyna dziecko w chwili chrztu jego, szczęśliwe oczy spojrzą — a na Helusię patrzyło dwoje nowożeńców!

— Tylko moja cioteczko, odezwiała się na te słowa dziewczynka, powiedzcie mi, czy to miało znaczyć, że i ja szczęśliwą będę?...

— Oh! tak, szczęśliwą — toby i trudno człowiekowi było — ale widzisz moje dziecko, to miało znaczyć, że niezawodnie coś szczęśliwego dostaniesz na całe życie: jednym daje Bóg w takiej chwili, majątek, drugim dobre zdrowie, — innym honory, a tobie Helusiu dał rozum i głos do śpiewu.

Pani Piotrowa nie miała w użyciu tego słowa „poetyza“ — gdyż niezawodnie byłaby się niém posłużyła w tej chwili. Mniejsza jednak o wyraz. W prostocie swojej dobra kobiecina ledwo co o najwyższe nie uderzyła myśli. Mić siłę, potęgę, talent — czyż to nie jest według jéj powiedzenia, mieć coś szczęśliwego na całe życie, bez szczęścia? Ale czy dar ów, jest darem jednej chwili bożej — niespodzianką, przypadkiem, jak tych, lub owych oczu spojrzenie?.. Ja temu wierzyć nie mogę.

Kiedy się wszyscy rozeszli, Romuald jeszcze wstąpił do mnie na górę: chciał jak widać porozmawiać ze mną, lub raczej chciał posłuchać tego, co jabym z wrażeń wieczornych według jego własnej myśli mówił; lecz dla mnie, wrażenia owe poprzedzonymi zostały smutném o Annie wspomnieniem. Jeśli nie chciałem psuć mu dobrej chwili jego



to nie chciałem téż grzeszyć przeciw cierpiącej, podsyca-  
niem jego wesela—bo sam przed sobą w głębi duszy wie-  
rzyłem pannie Irenie i Kazimierzowi — byłem pewny że  
Anna jest nieszczęśliwą, lekkomyślnie w jej życie przez  
Romualda rzuconém nieszczęściem — ale téż uderzyła  
mnie zgodność raz przez niego wymówionych wyrazów,  
z prawdą rzeczywistych zdarzeń. Istotnie pamięć tej ko-  
biety między nim a każdą pomyślnością, padała czarnym  
i żałobnym cieniem. Teraz naprzykład był on rozrado-  
wany, oczarowany, upojony jako artysta, nowe zdobył  
skarby dla sztuki, jako człowiek nowe uczucia dla serca —  
a tymczasem, w tymże samym dniu właśnie, przybyli lu-  
dzie, którzy znali Annę — którzy surowo i groźnie zapy-  
tać go mogli:

— „Szaleńczo, co zrobiłeś z szczęściem tej kobiety?“  
Ulitowałem się swobody jego i nic nie rzekłem o nowo  
poznanych.

Romuald nie mógł przyczyny milczenia zrozumieć.

— Czemu ty dziś taki ponury, mój Ludwiku? zapytał  
mnie wreszcie.

— Ej, zdaje ci się, odrzekłem, chyba to jest taka smu-  
tna weselość.

— Być może — smutna weselość — prawda, mnie same-  
mu po tym śpiewie śmiać się nie chce, a jednak po tym  
śpiewie, to tak dobrze na duszy, że jeśli mię w powrocie  
żebrak jaki spotka, oddam mu niezawodnie nie połę od  
surduta ale cały surdut mój; — więcej zrobię niż Ś. Marcin.

— Boś téż więcej panu Bogu się zadłużył.

— Słusznie mówisz — daleko więcej — ja téż ci powia-  
dam, że jakiś nieograniczony kredyt w niebie mieć muszę:  
czego zapragnę tylko, to mi zaraz dają aniołowie. Mnie  
się téż widzi mój Ludwiku, że już ja chyba nigdy z roz-

paczy nie umrę — i uśmiechnął się dumny, pewny sam siebie, zaufany w gwiazdę swoją.

— Wiesz co, odezwałem się wtedy trochę wolnym i dobitnym głosem, nie śmieję się ze mnie ale ci powiem, że jestem czasem zabobonny jak pani Piotrowa — i tak: w dzieciństwie słyszałem, że kiedy kto co pochwali, to trzeba splunąć, by na pochwaloną rzecz zły jakiś urok nie padł; i kiedy kto sam siebie szczęśliwym wyznaje, to trzeba dobrze wkoło się obejrzyć, bo to w wysokie drzewa piorun najprędzej bije — a w szczęściu człowiek za wysoko rośnie.

Romuald stanął, wpatrzył się we mnie i z rzewnością powiedział tylko:

— Biedny Ludwik!

Zapewne musiało mu się zdawać, że mię obojętne słówko jakie, lub inna przewidziana drobnostka w postępowaniu Maryi-Reginy uraziła, i że dla tego jedynie posępne myśli przychodzą mi do głowy, — a ja także po wyjściu jego rzekłem:

— Biedny Romuald!

O dziesiątej godzinie zrana, stawilem się nazajutrz przed długim rozkazem u Maryi-Reginy. — Przyjęła mię w swojej pracowni — to jest w owym małym gabinecie, w którym to raz już tak długo z nią o Helusi i o jej własnych wspomnieniach mówiłem. — Gdy wszedłem, stała przed naciągniętym świeżo na wielki obraz płótnem — i śmiało rzutami znaczyła pierwsze pomysły swego zarysy. Ubiór jej był na wygodę obliczony tylko, twarz niespokojnością lekko zmieniona, a jednak dziś jeszcze, gdy ją sobie przypomnę w tej chwili, to mi się zdaje, że takiej pięknej Bóg stwarzać nie był powinien, kiedy ona ukochać nikogo nie mogła. Oh! widzę ją znowu...

Nad wzniosłem czołem, przez środek głowy, jej czarne włosy dzieliły się wąską ale wydatną jak brzeżek białego papieru kreską, a rozdzielone, wszystkie w tył do jednego warkocza biegly i na wzór greckich posągów z cudną prostotą w potrójne koło się zwijały. — Przy takim zaczesaniu rysy twarzy niby przeciągnęły się trochę, ale nabrały powagi i wydatniejszej w liniach czystości. Skroń szczególnie odkreśliła się w całym bogactwie rozmiaru, białości i żył błękitnych, które na dół płynąc, spadek policzka i osadzenie szyi lazurową przebijając siatką, dopiero w jednostajnej popiersia ginęły śnieżności. Ja myślę, że jeśli uczeni i malarze nieznaleźli dotychczas, na starożytnych medalach lub freskach, profilu głowy tak uczesanej, to pierwowzór jego znajdzie się kiedyś jeszcze w Herkulanum lub Pompei szczątkach. — Któryś z artystów greckich musiał przecież wymarzyć ideał taki, w jego wiekach było to koniecznem — naszym czasie jest pomyłką i nieszczęściem zjawienie podobne. Ale — bo jak też wszystko razem łączyło się, harmonizowało, i na myśl wiodło — to posągi hellady, to sybille kumejskie, to płaskorzeźb odgrzebanych postacie tajemnicze — ale to wszystko, wszystko: ruch, skład ciała, strój nawet, gdyż suknia Maryi-Reginy była tylko prostą z czarnej wełnianej tkaniny draperyą — w staniku ściągala ją skórzana przepaska, na ramionach sznury jedwabne — u wycięcia gorsu niewidzialne podwleczenie, reszta spadała sobie w dowolnym nieładzie, łamała się w różne i zmienne fałdy — z pomiędzy których wysuwały się oswobodzone z rękawów przy malowaniu ręce — takie marmurowo-białe i okrągłe, takie snycersko — wykończone, takie doskonale piękne...

Wejście moje nie przeszkodziło zaczętej robocie, Ma-



rya-Regina skinieniem głowy powitała mię tylko i wskazała opodal stojący szezłag. — Usaidłem w milczeniu. — Przez chwilę patrzyłem na nią a patrzyłem takim wzrokiem żem przejrzał aż do myśli.

Marya-Regina niby pośpiesznie obwody gór i drzew znaczyła ale łukowe brwi jej drżały w mimowolném ściągnięciu, i dłoń myliła się ciągle w nieużywanych pociągach.

— Pani się lęka czym ja Romualdowi o wczorajszej rozmowie niewspomniał, rzekłem do niej łagodnie lecz smutno, bo mi jej namysł przed zaczęciem rozmowy przykre zrobił wrażenie. Marya-Regina rzuciła krédę i bystro z zadziwieniem spojrziała na mnie.

— A to rzecz osobliwsza, rzekła niby sama do siebie, ten człowiek chyba słyszy jak ja myślę.

— Słyszysz czasem — tylko niewiedział że to panią obraża.

— Nie, nie obraża, wierz mi panie Ludwiku! i mówiąc te słowa, obok mnie na tymże samym szezłagu usiadła. — Są chwile; ciągnęła dalej — złe chwile, w których byśmy chcieli sami w sobie zmieszanych głosów niedosłuchać, ale też w takich chwilach najlepiej właśnie znaleźć prawą i szlachetną duszę, która nie dopowiedziane wyrazi ogadnie — zrozumie — a niepotępi.

— Nie potępi? — co téż to pani mówisz?

— Mówię szczerą prawdę panie Ludwiku — gdyby zamiast pana siedział tu człowiek niewyrozumiały, surowy, sprawiedliwy, bez miłosierdzia człowiek, który w życiu całem trzymałby się na oślepy wyuczonych pamięciowo zasad cnoty i przepisów poświęcenia — a gdyby przytem, tak jak pan, czytał w méj myśli i wiedział co się teraz dzieje, to człowiek ów potępiłby mię bezwątpienia. —

Spotkałam w życiu kobietę, która mi była przyjaciółką i siostrą. — Wzięłam od niej tyle skarbów uczucia ile ich dać mogła tylko, dałam tyle, że nieufność wcielona byłaby mi zaufać musiała, a w końcu — cóż zrobiłam? Oto zatrulałam całe szezęście tej kobiety. — Nie dozwoliłam jej uwierzyć że kochaną będzie, temu który ją kochał, wydarłam gwałtem całą miłość dla niej i w ostatecznym wyniku mych starań, otrzymałam że jest na świecie jedno serce zbolale i jeden artysta więcej. — Wszakże pan widzisz że dokładnie cały stan sprawy pojmuję — i że umiem sama siebie sądzić — a jednak pana sądu się nie lękam. — Pan taki młody, panu tak łatwo być pobłażającym i pocziwym. — Pan mię zrozumiesz w przezornej oględności mojej — bo ja dziś jeszcze niewiem co jest większem nieszczęściem dla ludzi, czy miłość, której się wyrzekają w całej świeżości jej pierwotnego powabu, — czy miłość, którą tracą z duszy wśród rozczarowania, wśród niesmaków, i wśród najokropniejszego uczuć swoich bankructwa. Złe które wyrządziłam jest dziś już pewnością. — Byłe też kto, kamieniem może cisnąć na mnie, ale złe którego oszczędziłam ukochanym moim, zostało w przypuszczeniu — i wybrany człowiek tylko jest je ocenić zdolnym. — Dziękuję ci panie Ludwiku, żeś wiedział o tem wszystkiém pierwój nim mówić zaczęłam.

Kiedy sobie dzisiaj rozważam słowa Maryi-Reginy, to w nich widzę taką martwą najżywszych uczuć ludzkich analizę, taką samowolną ze szczęściem drugich igraszkę, a przy tem zimnej krwi tyle i zarozumienia we własnej nieomyślności tyle, że mię aż jakiś strach czy wstręt pobiera, ale wtedy, osobliwsze namiętności zaślepienie! — wtedy zupełnie inaczej mi się przedstawiła. — Nie było to ani brakiem sprawiedliwości z mej strony, ani lekcewa-

żeniem sądanego przedmiotu, ani ujemnością w poczu-  
ciu rzetelnej prawdy — nie, to było jakąś oddzielną wła-  
dzą tylko, innego pojmowania Maryi-Reginy, głosem też  
najzupełniejszej szczerości.

— Nie dziękuj mi pani, rzekłem, mnie łatwo odgadnąć  
co pomyślisz, zrozumieć co powiesz, ocenić co uczynisz, —  
bo ja wiem naprzód że to dobrem będzie.

Marya-Regina uśmiechnęła się wdzięcznie, łagodnie,  
lecz smutno.

— W czyich innych ustach słowa pana, dałyby się  
bardzo łatwo na dowcipną i złośliwą przymówkę ułożyć, —  
ale się pan nie lękaj, przyjmę je tak jak powiedziane  
były — w prostocie ducha i w bogactwie jego. — Czyż to  
pan już taki stary, albo tak znękany zawodami świata,  
żebyś się nie mógł zdobyć na ów klejnot zbytkowny —  
na wiarę człowieka? Oh! jeszcze ja go mogę przyjąć od  
pana i tem sumienniej przyjąć, że pana nie zubożę  
w przyszłości. Kiedyś, jak wierzyć przestaniesz, a roz-  
bierać zaczniesz, przekonasz się, że ci za dyamenty twoje  
fałszywego złota niesprzedalam.

— Maryo-Regino! czy doprawdy tak było? ha, w sto-  
sunku do mojej osobistości, jedynie potępić cię nie mo-  
gę — istotnie w dobrej wierze spłaciłaś mi kruszczem  
twego serca. — Nie wyrzucam ci kłamstwa, w żadnej chwili  
twego życia oszukać cię nie chciałaś. — Jaką byłaś, ta-  
ką zawsze przed moimi oczyma stanęłaś — ale że byłaś  
w treści swej natury złudzeniem i pomyłką, ja sam sobie  
skłamałem, jam się sam oszukał.

Marya-Regina domawiając swoim najdzwięczniejszym  
głosem słów tak pełnych najhojniejszych obietnic, wzięła  
mi rękę i obudwoma swemi uściśnęła rękoma — przez  
chwilę nawet zatrzymała ją w tym uścisku, a mnie ciepło



jej miękkich dłoni krwią gorętszą przez żyły do serca popłynęło. — Schyliłem się, chciałem przyciągnąć do siebie te dwie ręce koło mej ręki różowymi palcami splecione, chciałem ją ucałować namiętnie, szalenie, chciałem sobie w owe białe ramiona, bijącą wszystkimi tętnami głowę obwinać, chciałem krzyknąć i zapłakać — a ja tylko w tem pochyleniu się swoim zadrżałem i zarumieniłem nagle — bo mię zdjęła cześć wielka dla tej ufnej pieszczoty, upokorzyłem się przed świętością jej czystego spokoju — przed błogosławioną, niedomyślnością obudzonych nią wrażeń. Marya-Regina jednak prędkim ruchem wypuściła dłoń moją.

— Dobrze pan zrobił, przemówiła po chwili bardzo spokojnym i prawie poważnym głosem, bardo dobrześ pan zrobił że o wczorajszych wieściach nic Romualdowi nie wspomniałeś, — Jeśli sam się dowie od Kazimierza, lub której z tych pań — ha to trudno! — z ich strony, jak pan łatwo pojmujesz, nie mogę i nie chciałabym żądać tajemnicy, ale co jest w możliwości mojej to zrobię i póki stanowczych względem Anny nie uzyskam objaśnień, póty wspomnień Romualda rozdrażniać nie będę — los musi mi téż dopomódz w tem trochę — ale jeszcze mam jedną prośbę do pana..... oto czy znasz pan kogo w Krakowie?

— Znam kilka osób, nawet krewni moi tam mieszkają.

— To dobrze — napisz pan żeby panu donieśli koniecznie gdzie jest teraz doktor i żona jego.

— Napiszę dzisiaj zaraz.

— Dzisiaj? — tak — dzisiaj wieczorem poczta odchodzi; list trzeciego dnia stanie w Krakowie, czwartego odpiszą, z końcem tygodnia odpowiedź nas dojdzie. — Wiesz co panie Ludwiku — każ sobie do pałacu Zału-

skich list na moje ręce adresować — niechciałabym ani jednej chwili stracić na próżno gdy odpis już będzie.

— Oh! bądź pani spokojna, wszelkiego dołożę starania żeby ją doszedł prędko i daj Boże według myśli jej.

Marya-Regina wstała, przeszła się kilka razy po małym pokoiku i zatrzymała przed sztalugą swoją — długą chwilę patrzyła w niewyraźnie oznaczone obwody, aż nakoniec skinęła ręką bym się zbliżył ku niej.

— Widzisz pan te zarysy? — rzekła. Otóż jest chwila obecna mego życia temu plótnu podobna. — Zarysy jakichś zdarzeń i osób kreślą się na kartach mojej biografii, ale co ja z nich ułożę, co los z nich ułoży, to nie wiem jeszcze jak nie wiem czy ten krajobraz wschodzącym słońcem czy księżycem oświecę — jak nie wiem czy z tej postaci pod krzyżem zrobię kobietę zadumaną — czy szczęśliwą — czy płaczącą — czy trupa? — bo widzisz pan efekt artystyczny może mię zarówno w ten i w ten pomysł znieść. Krzyż już jest wyraźnie odznaczony — krzyż to jest nieomyślność i pewność moja — ale krzyż może wszechwładne wyciągnąć ramiona i nad spokojem duszy myślącej i nad zachwytem radośnego uniesienia i nad rozpaczą i nad śmiercią! — co ja wybiorę z tego? nie wiem, będzie to od usposobienia mojego i od przyszłych chwil zależało. Gdy skończę obraz a pan spojrzysz na niego, to się dowiesz jak ja koleje życia przyjmuję.

— Bodajbyś pani szczęśliwe tylko malowała twarze — rzekłem na to widząc że znów kręde ujawszy pilnie zaczęła koło oznaczenia grupy drzew pracować, skłoniłem się na pożegnanie i wyjść chciałem z pokoju.

— Zatrzymaj się pan chwilkę jeszcze, rzekła znowuś porzucając swój obraz — ja także do listu przyłączyć có

muszę — i poszła do stolika z papierami, przerzuciła mnóstwo welinowych ćwiartek nakoniec odsunęła wszystkie i wzięwszy swoją czarną axamitną książkę, otworzyła ją w tem miejscu, w którym była sylwetka Anny wsuniętą. — Przypatrzyła się jej z uśmiechem na ustach i weselem w oku — a potem od spodu kartki wycięła nożyczkami bilecik maleńki i skrzyła coś na nim.

— Zastrzeż pan sobie w liście, który pisać będziesz, żeby ten papier do własnych rąk pani Anny oddano, rzekła podając mi go. — Karteczka nie była zwinięta, przeczytałem więc na niej te słowa: „Nie wątpij Anno-Klaro.”

— I po cóż to? spytałem — po co dla Anny ta nadzieja? — pani bratu swojemu nie chcesz serca bolesnym wspomnieniem rozdrażniać — a tej kobiecie rzucasz słowo które może ciężką moralną pracę kilku lat zniweczyć i kiedy? w jakiej chwili właśnie? Przy tych ostatnich słowach miałem na myśli nowe uczucia Romualda — i zupełnie o Annie zapomnienie — lecz Marya-Regina przystosowała je do świętości przyjętych przez Annę obojgów.

— Wy tak wszystko i wszystkich na drobną skalę waszych pojęć mierzycie, z lekką cisnął mi wymówką. — Panu się zdaje że Annie mężatce, niegodzi się o jej pierwszą wspominać miłość — bo to grzech, bo to nieszczęście, bo to zgorszenie zapewne. Ależ panie Ludwiku, czy pan wiesz, jaką świętością ta miłość była w jej duszy? Anna-Klara jako żona innego, nie tem cierpi, że się dziś z Romualdem połączyć nie może, nie tem cierpi że on daleko, ale tem że obojętny, że jej przestrogi moje wiarę w trwałość uczucia jego zachwiały — że nakoniec gdy pomyśli o przeszłości swojej — to jej uczuć nie może, bo



w niej tylko fałsz i zawód widzi. — Moją winą jest gorzycz takiego cierpienia, ja też ów kielich z przed niej usunąć powinnam, nie na teraźniejszość, nie na przyszłe życia wypadki, ale na uświęcenie tego co minęło, dam jej miłość brata mojego — i powiem: nie smuć się Anno-Klaro, wypadki życia mogły ci się były w pomyślniejsze ułożyć okoliczności — ale którąkolwiek stroną idzie ścieżka twoja. — Bóg ci dał na wsparcie i na zasilek prawdę uczuć twoich. — Co kochałaś było wartém kochania, co marzyłaś było rzeczywistością. Miłość dla ciebie została w sercu Romualda. — Przeszły po niej wrażliwego charakteru cienie, przeszły szalonego życia artystów widziadła, a ona została niezmienną, ona trwa dotąd i — w każdym odbrzmiewa natchnieniu i w każdej myśli szlachetniejszej rozbłyska. Oh! jak ja powiem tak Annie, to moja Anna-Klara złoży ręce na piersiach — pomyśli o niebie, o wieczności — lekko wstrząśnie ciężarem tłoczącej ją w obecnej chwili niedokładności — i z rozjaśnioném czołem śmiało na przód pójdzie — Ha! pan niewie-rzysz — Pan głową smutnie poruszasz! Jakto? więc ci się zdaje że kobiecie — kobiecie czystej, świętej jak pierwotny wzór boży — w jakich bądź życia warunkach nie wystarczy na szczęście, na siłę, na ufność w przyszłe zbawienie — ta jedna pewność tylko, że jest i była prawdziwie kochaną?

— Ja nie temu zaprzeczam, — odparłem bardzo smutnym głosem...

— Nie temu? więc cóż pan chciałeś wątpliwém swojém poruszeniem wyrazić?

— To, że jeśli pani dla Anny-Klary nie masz innej pociechy, to jej pani lepiej nie posyłaj tej kartki.

— Dla czego? — ja nie rozumiem?....

— A mnie to dziwi, że pani wytłumaczenia możesz potrzebować.

— W istocie trochę to jest dziwną rzeczą — udziel mi go pan jednak.

— Oto ja nie pojmuję dla czego chcesz pani jałmużną kłamliwą wspierać tę, którą pani sama przyjaciółką i siostrą swego wyboru nazwałaś — Pani siostra i przyjaciółka musi zbyt wiele mieć prawdy w swej duszy — żeby braku prawdziwości przeczuciem nie odgadła — Pani siostry i pani przyjaciółki urojeniem pocieszać nie można.

— Kto panu mówi o kłamstwie lub urojeniu? — Romuald kocha Annę.

— Kochał Annę lecz dzisiaj zupełniej niż kiedykolwiek już zapomniał o niej — czyż pani tego nie widzisz? Romuald kocha Helusię.

Marya-Regina spojrzała na mnie z zadziwieniem — potem ów jej pół uśmiech złośliwy lekko po ustach przeciągnął — potem przyłożyła palec do czoła i zakręciwszy nim znak kilkokrotnego kółka.

— Już znowu, rzekła — o! co też to tym młodym poetom się roi. Boże zmiłuj się — „Romuald kocha Helusię” — bo on gra a ona śpiewa — przyznaj się pan, panie Ludwiku że cię uwiodło trochę wdziękiem swoim tak dobrane skojarzenie. — Ale nie żałuj pan swego pomysłu — prawda rzeczywistości, byle się w nią dobrze wpatrzeć, jest zawsze od prawdopodobieństw wymarzonych piękniejszą, Romuald nie kocha Helusi wierz mi pan, w tém jest daieko więcej poezyi — są dwie dusze, które się spotkały i podziwiły wzajemnie — dwie indywidualności które niezależnie wspomagać się będą — dwa talenta jednakie, które sobie sprawiedliwość oddadzą — Dwa talenta — ależ panie Ludwiku, to jest bliższe spokrewnie-

nie niż brata z siostrą w rodzeństwie — to jest zupełna tożsamość — a wiemy przecież iż namiętność na prawach sprzeczności rozwija się tylko — Nie, już bez żartu mówię — Pan się zupełnie omylił w tym względzie — Romuald nie może kochać Helusi, prawda że się nią zajął, zachwycił, zaczarował, bo to jest śliczny utwór Pana Boga — ale pomyśl pan tylko, czy taki człowiek jak on, starszy o lat tyle, o wrażeń tyle, o błędów tyle, czy taki człowiek może kochać Helusię — dziecię i Helusię aniołka? nie, — to nie leży w naturze rzeczy — Helusia będzie ukochaną młodą, nieskażoną sercem; Helusia w czyste, poświęcone i pracowite życie wniesie urok swój pieśni, z świętego wypełnienia rodzinnych obowiązków weźmie zabezpieczenie szczęścia swojego — Helusia... i na chwilę zawahała się Marya-Regina, — niewiem, czy przez sumienność, czy przez litość, czy przez jakieś zakłopotanie kobiece.

— Ot, czemuż nie mam powiedzieć, — śmiało rzekła wreszcie — Helusię pan będziesz kochał.

Na te słowa myślałem — to jest raczej nie nie myślałem — czułem tylko że błędną, że mi się w piersiach gotować zaczyna i że mię taki wściekły gniew ogarnia jak gdybym chciał zabić tę piękną kobietę — Przystąpiłem do niej o parę kroków, próbowałem, czy nie wymówię choć obelgi jakiej, ale mi usta drżały — głos w gardle zamierał, instynktowie tylko ręce skrzyżowałem, bo mi się zdawało, że byłbym ją pochwycił niemi i do błagania o przebaczenie zmusił — Oh! ja wtenczas jeszcze bardzo gwałtowny byłem; kto nie odgadywał tego w charakterze moim, ten zawsze mógł się z mej strony chwili podziwu, lub przerażenia spodziewać — Niewiem czy pół minuty stałem tak przed Maryą-Reginą i patrzyłem jej w oczy —



jednak musiałem patrzeć okropnie, bo ona dumna, ona wiecznie spokojna, ona — Marya-Regina — cofnęła się i zbladła także — i mówić nie śmiała także. Widok jej przestachu w którym żadna iskierska uczucia nie świeciła, o szaleństwo mię przyprawiał — Rozdarłem trzymaną kartkę, cisnąłem jej pod nogi i prawie obłąkany uciekłem z pokoju — Cały dzień przesiedziałem u siebie na górze — zapomniałem o lekcyi z Helusią, o sprawie z mecenasem, o przyrzeczonych Kazimierzowi odwiedzinach — Pamiętałem jedynie o ostatnich Maryi-Reginy wyrazach — wydobywałem z nich cały jad szyderstwa i pogardy, jakimi tylko zaprawione być mogły, rozprowadzałem sobie w najdrobniejsze odcienia, mówiłem sam do siebie ich znaczeniem ukrytem — „Pan będziesz kochał Helusię — Helusia dziecko i pan dziecko — Helusia aniołek i pan aniołek — A jaki głupi aniołek! oto widzisz stoję przed tobą, wiem że mnie kochasz i śmieję się z ciebie, a ty mnie za to w rękę pocałujesz — ugryzę ci kawał serca, a ty nawet nie sykniesz że cię boli — Każę ci kochać inną, a ty potulny baranku, nawet nie bekniesz w posłuszeństwie twojem — Jaki ty dobry, szlachetny, moralny, jaki śmieszny i chory, ty nie kochany wzajemnie wielbi cielu.” I tak się przedrzyżniałem z jej wyrażeniami a po tych uniesieniach nadpływało mi do serca jakieś nieograniczone męskiej dumy i siły uczucie — Czemże jest ta kobieta? myślałem sobie — kobietą, cackiem salonowém artystyczną pięknoscią? — niczém — jej życie czcze i bezcelne; dla niej w przyszłości nie ma żadnego zawodu, żadnej pracy. — Zkądże jej prawo do urągania męskiemu sercu — zkąd zuchwalstwo takie? Ha! silna póki ja słaby — królowa póki ja w poddaństwie — spokojna póki ja w ciszy — Ale czy ty wiesz Maryo-Regino — że

trwanie tego, od mojej nie od twojej woli zawisło? — Czy ty wiesz kobieto! że nie ja, ale ty dzieckiem jesteś — nieroztropném, bardzo nieroztropném dzieckiem, bawisz się ze mną — a jak mi się sprzykrzy — to ja odzyskam siłę moją i królestwo moje, i burzliwość namiętą moją — jak mi się sprzykrzy, to cię mogę zabić — wyszydzić — mogę nawet nie dbać o ciebie — bo przedemną, dzięki Bogu, świat cały otworem, nauki, sława, miłość lepszych kobiet....

Paroxyzma tej gorzkiej ironii niezbyt długo trwały — ochłonąłem z gniewu i oburzenia, ale głębokie rozżalenie i boleść została — Widziałem jasno jak na dłoni, że mię Marya-Regina nie kocha; dla czegoż ja kochać ją mogłem? — to mi było niepojętém, niewytłumaczoném. Musiałem przyznać sam sobie że się z pod tego nie wylamię — ale postanowiłem, konających Rzymian obyczajem, uwinąć się w tożę własnej godności i cierpieć obojętnie — Wdzięczny byłem za podaną przez Maryą-Reginę myśl, by w liście do Krakowa pisanym jej adres wprost wskazać — Tym sposobem mogłem się wywiązać z ostatniego jej żądania i wszelkich dalszych uniknąć stosunków — bo że stosunki wszelkie zerwać chciałem — to mi było jedyną pewnością w tej chwili — Załatwić ostatecznie, choć byle jak, wszystkie moje sądowe sprawy — odjechać niespodzianie, odjechać i niepożegnać się z nią nawet, i nikomu: dla czego wyjeżdżam? nie wspomnieć. — W to się teraz łamały wszystkich moich projektów kształty — Żal mi tylko było Helusi — istotnie, czulem, że tej dziewczynie użytecznym jeszcze być mogę — nasze rozpoczęte nauki wymagały koniecznie dalszego rozwinięcia, a prócz tego dręczyło mię trwożne jakieś przeczucie, gdym pomyślał, że ją tak samą — ufną i bezbronną zo-

stawiam między tą siostrą i tym bratem, o których, dziwne przeznaczenie! już się dwa szczęścia, dwóch serc szczerze kochających rozbiły — Co to jest jednak ta osobistość człowieka? — w tej chwili nie wątpiłem, że Anna cierpi, że mogła nawet umrzeć z cierpienia swojego, a wczoraj słowom panny Ireny wierzyć mi się nie chciało?.. Tak to bywa zazwyczaj, i często lepszym odemnie zdarza się też ludziom. Póki tu w naszym świecie tkwią nie-szczęścia wszelkie, potrzebném jest może, by człowiek miał objaśnienie każdego z kolei, choćby nawet wyrzutu sumienia i to uczy....

---



## XI.

Kazimierz lepiej odemnie przyrzeczenie swoje pamiętał; wieczorem przyszedł mię odwiedzić — nie dziwił się wcale, że ja w ciągu dnia równie słowny nie byłem, gdyż mię tak zmienionym znalazł, że mi sam podobieństwo jakiejś gorączkowej choroby na wymówkę podsunął. — Zaczęliśmy jednak rozmawiać i pod wpływem słów tego człowieka, cichła zwolna egoistyczna gwałtowność mego uczucia, łagodniała krwawa rana mej piersi. Pokazało się, że mu już oddawna obcy nie byłem, że znał dokładnie wszystkie szczegóły mego położenia, i wszystkie skłonności charakteru — Wiedział o mnie wszystko, coby mógł wiedzieć najbliższy towarzysz, może się domyślał tego, czego przyjaciel najbliższy domyśleć mógł tylko, ale mi żadnym wyrazem swoim przykrości nie wyrządził, żadnem omówieniem w serce nie uraził — a tak łatwo było wtedy.... Spostrzegłem wprawdzie kilka razy, że Kazimierz chciał niby na jaw wszystkie strony mego ducha wydostać, że mię badał i sądził, ale odplacał mi to zaraz taką szczerością i takim poczciwem własnych myśli wylaniem, że mi z każdą chwilą szacunku dla niego i mogę śmiało powiedzieć, przyjaźni przybywało.

— Wczoraj, mówił on w dalszym ciągu poprzednio zamienionych zdań i uwag różnych — wczoraj musiałem ci się bardzo wymagającym zdawać, kiedym o Maryi-Re-

ginie wspominając powiedział, że tak wielkie moralne i umysłowe skarby, ciekawość tylko budzą we mnie względem zastosowania swojego. Odrzekłeś mi wtenczas że Marya-Regina jest bogatą niemi — i to mi niby miało wystarczyć logicznie — a ja dziś powtarzam jeszcze, Ludwiku, to nie dosyć! — Usuwam z pod tego względ na wszelką osobistość panny Maryi-Reginy; zbyt mało znam ją, a nawet jako sam widzisz, nie sędzę, tylko słów kilka o ciekawości mojej nadmienilem; lecz przenieś te słowa w ogólniejsze znaczenie. Istotnie, gdy słyszę o człowieku rozumnym, pięknym, dobrym, zaraz się pytam, w co on téż rozum, piękność i dobroć swoje obraca? Na polu filozoficznych dowodzeń, to wiem, żebym przepadł z kretesem jako mówili starzy — bo tam wszystko ścisłą wynikłością zakreśla się w kółka, za które przestąpić i których rozerwać nie można. Tam rozum jako abstrakcja — jest rozumnym, a więc prawdziwym, a więc twórczym, a więc doskonałym i t. d. a piękność jest piękną w warunkach rozumu tylko; a dobroć dobrą w warunkach piękności; i tak jedno za drugim, i tak jedno z drugiego; — ale przypuść Ludwiku, żeśmy wypowiedzieli sobie kategorye, żeśmy się na każdą z nich zgodzili i że teraz idziemy w świat przystosowań — świat historii.... jeśli chcesz, spostrzeżeń tylko. W tym świecie, rozum, piękność i dobroć przestają być abstrakcją, ukazują nam się w ludziach pojedynczych jako zdolności lub przymioty. — Zdolność można w sobie do wysokiego stopnia rozwinać — lecz rozwinięcie nie o skierowanie nie stanowi; przymiot można posiadać, lecz posiadanie, sposobu użycia nie wskazuje jeszcze — Wierz mi Ludwiku, bardzo często rozum, piękność i dobroć, ze stopnia zdolności i przymiotu nie podnoszą się nigdy przez całe życie obdarzonego niemi

człowieka. — W umysłowym i moralnym kształceniu samego siebie, wiele nieraz jeszcze samolubstwa bywa — Znałem takich samolubów — ludzi, co się w uprawie własnej duszy zamknęli, jak pustelnicy Tebaidy w osiąganiu własnego tylko zbawienia. Gorzko mi było, gdy patrzyłem na nich, bo oni dla młodziej braci mojej poświęconymi zdawali się relikwiami — a ja wiedziałem, że w nich faryzejska cnota, nie przez obłudę faryzejską, ale przez nadużycie gimnastycznych z własną myślą ćwiczeń. — Chrystus wyrzuca faryzeuszom, że kiedy jałmużnicze składają ofiary, to powiadają ojcu swemu, albo matce swojej: — „Wszystko co damy Bogu z mienia naszego, wam się w pożytek obróci.” — i nie wspierają ojca w potrzebie i suchem okiem patrzą na nędzę rodzonej matki swojej — Czyż inaczej mówią ci ludzie? — „Wszystko co zbierzemy bogactwem w duszę naszą, to już przez to samo dla świata zbogaceniem będzie.” — I zbierają myśli najwznioślejsze, uczucia najżywsze, rozwijają w jakąś dziwną potęgę wszystkie władze swoje, a kiedy mózg im się rozjaśni — pierś ciepłem rozgrzeje — kiedy mogą użyć wszystkiego, co jest tylko w objawach mądrości bożej i piękności bożej — kiedy się poczują bystre w grze pojęć człowieczych — silnemi w przyjmowaniu artystycznych wrażań — roztkliwionemi idealnem jakimś ukochaniem, to światu w najwspanialszym darze stawiają jednostkę swoją i pytają: Czyż to nie dosyć? — ja wiem już tak wiele, umiem cenić tak wysoko, umiem wielbić tak szczerze — Nienawistném poruszeniom, brudném namiętnościom zamknięte serce moje. — Wszelkiej nędzy przystępne moje współczucie, wszelkiej cnocie dusza otwarta — Czyż to nie dosyć?... O całą połowę nie dosyć jeszcze! — Moralność i doskonałość taka była średnich wieków ideałem —



a ponieważ o duchowych bogaczach mówimy, więc ci powiem Ludwiku, że zagospodarowanie takie było starej szkoły ekonomistów politycznych zasadą — Dzisiaj ludzie przyszedli do uznania że zbawianiem innych własną duszę zbawić dopiero można — Ekonomisci przyszedli do uznania, że gromadzenie złota nie jest głównym celem ich nauki; złoto bowiem nie stanowi bogactwa, lecz tylko jest narzędziem, za pomocą którego działalność ludzka ożywiając siły, otwierając źródła produkcyjne, dobry byt i bogactwo na kraj wylewa. Może się niedość jasno i niedość zręcznie tłumaczę — Ale przecież nieudolność moją powinienś sobie własnem sercem dopełnić i zrozumieć mnie aż do dna myśli mojej.

— Zdaje mi się, że zrozumiałem Kazimierz, i w zupełności zdanie twoje podzielam — rzekłem mu na to — ale nie dość, i to jeszcze w ogólnikach, się porozumieć — zestąpmy do najbliższych przystosowań, żeby już ani jednej sylaby wątpliwej do rozstrzygnięcia między nami nie zostało — Czego... i zająknąłem się, bo mi w tem miejscu trzeba się było spytać czego właściwie np. od Maryi-Reginy mógł żądać, ale to imię zatrzymało się lodem w ustach moich i skończyłem: Czego pod tym względem od kobiet wymagasz?

Kazimierz milczał przez chwilę, znać było po nim, że rozmyśla i waha się nieco.

— Dziwnem to będzie może, przemówił wreszcie, ale na zagadnienie swoje odpowiem jeszcze bliższym szczegółem, niż go sam oznaczyłeś w pytaniu — Wezmę żywy przykład do objaśnienia — Wczoraj spotkałem taką jak Marya-Regina kobietę — Wiem o niej że czyta wiele, maluje z talentem i rozmawia prześlicznie.

— Jeszcze ci trzeba wiedzieć, że jest rodziny duszą i technieniem ożywcem.

— Weźmy i to nawet, ale w takim znaczeniu, w jakim ja wziąć mogłem z powierzchowności wnioskując — Otóż wnioski moje niech ci będą przez chwilę rzeczywistością — Widzimy przed sobą kobietę wyższego ukształcenia — piękną, uszczęśliwiającą rodzinę swoją — Zaiste, widok pożądany i godny czci wszelkiej, — ale mnie on nie wystarcza jeszcze — W czytaniu i nauce rozlubować się można jak w zbytku i strojach, talentem własnym można się zabawić jak tańcem, odurzyć jak napojem. Ojca i brata kocha się takim wrodzonym serca uczuciem, że niekochanie liczy się już do błędów, występków lub nieszczęść. Gdzież tu w tém wszystkiém zasklepi szukać? Ah! mój Ludwiku, ja ci się przyznam, że patrząc na ludzi uczących się cierpliwie, spokojnie i bez troski, nieraz im pozazdrościłem, ale nigdy mi na myśl nie przyszło, żeby ich za to uwielbieniem otoczyć — a patrząc na ludzi, którzy się w domowym szczęściu zasklepili, tom sobie myślał, że to jest najwygodniejsze osobiści swojej zahipotekowanie — i dziękowałem Bogu że mi się dostało także — ale poszedłem dalej; kobieta wprowadzie inną pójść ma drogą, lecz na tę samą odległość ubiedz jej powinna — Jeśli Marya-Regina ze zdolności swojej więcej zrobiła niż ambrozyjną dla swej indywidualnej natury kąpiel; — jeśli ojca i brata ukochała ale prawdziwie chrześcijańską miłością — w Chrystusie i dla Chrystusa — w dobrém i dla dobrego; — jeśli pod pozorem wypełniania obowiązków, nie marnuje się na podsycaniu tylko swoich egoizmów, które jej pracę spożyją i w sobie zakończą; — jeśli widzi, że co da ojcu i bratu, to brat i ojciec ludzkości w trójnasób oddadzą —

jeśli ma przed sobą obecném w każdej chwili takie rozpromienianie się uczynku i słowa każdego; to ja przed nią chętnie czołem uderzę — i powiem: to dosyć! Ale inaczej.... będę zaiste podziwiał dary Opatrzności — pójde słuchać uczącej rozmowy, jak idę czasem wody w studni naczepnąć — Może téż nawet w orzeźwieniu co dobrego zrobię kiedy — lecz dobro owo mojem i ze mnie, a nie jej i z niej będzie.

— Surowym jesteś — odezwałem się wtedy — surowym i bardzo wymagającym.

— Prawda, — odpowiedział mi głosem najpoufniejszej szczerości — jestem surowy i bardzo wymagający, ale względem bogaczy jedynie i względem wybranych pańskich — Słuchaj Ludwiku, sam chciałeś żeby aż do ostatniej sylaby wszelką z pomiędzy nas usunąć wątpliwość — zrobię jeden krok jeszcze ku temu, krok zadziwiającego pośpiechu, jeśli uważać będziemy na świeżą datę naszego spotkania — lecz krok stanowczy względem dalszych naszych stosunków, których przyszłość, da Bóg doczekać, w dłuższe nam przejdzie, niż cała przeszłość, lata.

I mówiąc to podał mi rękę, a podaną wzajemnie uściśnął mocno, bratersko.

— Dotknę twojej osobistości Ludwiku — ciągnął dalej — względem niej mam sąd zupełny i ostateczny, bo na zdobyciu tego sądu wiele mi zależało — I ty żyjesz dotychczas więcej biernie, niż czynnie zdolnościami swojemi — Wiem że nie pomijasz nigdy żadnej sposobności, która ci się nastręcza do skierowania ich ku pożytkowi twych bliźnich — więcęć nawet powiem, wszystko co ro-



bisz, jest dobrém, ale jeszcze nie robisz wszystkiego dobrego, jakie możesz i powinienesz robić — Nie ma żadnej spójni, żadnego ciągu w działaniu twojem, są tylko oderwane, choć piękne uczynki, jest, że tak się wyrażę — pewne amatorstwo, gdy bydź powinien najzupełniejszy artyzm w trudnej życia sztuce — Cisnąłeś przed siebie takie świetne życzenia w przyszłość, że ci wyglądającemu za ich spełnieniem, obecne chwile, jedna po drugiej jak perelki z rozerwanego sznurka uciekają — a ty ich nie cenisz sobie, bo chęć twojego serca ku dyamentowi, który błyska na końcu, zwróciłeś — Szkoda tej straty Ludwiku. Życzenie człowieka, to uczuciowy stopień jego woli — Nie marnuj życzenia swego w ideały — Ideał niech będzie dla ciebie religijną nadzieją, — ale życzenie swoje określ stałym i niezmiennym zamiarem — pragnij tego, co wykonać możesz, a niech to, co wykonasz prowadzi cię dopiero ku ideałowi twojemu. Życzenie swoje cisnąłeś przed siebie tak daleko, że aż ogólnej doskonałości sięgnęły, tymczasem każdy twój postępek obecną ograniczyłeś chwilą — według mego przekonania inaczej wziąć się do tego trzeba — Doskonałość ogólna powinna bydź w sercu naszym religijną nadzieją, — ideałem — spodziewam się Ludwiku, że ty przynajmniej w urągliwém znaczeniu słów tych nie weźmiesz z mej strony — ani téż posądzisz nawet, bym w nie jakimś grzecznym sposobem wyraz utopii obwijał. Nie, bo przecież dodaje zaraz religijną nadzieją — religijnym ideałem — a przez religijność rozumiem to, czego się w katechizmie uczyłem — „połączanie” najpierwszej przyczyny z najdalszym skutkiem, najpodrzedniejszego środka z najwyższym celem — połączenie ziemi z niebem i człowieka z Bogiem — słowem świętość, nieomylność ostateczną — W takim znaczeniu

religijny ideał i religijna nadzieja zachowują prawdę swoją — są nam podniętą, zachętą, wytrwaniem — są górą z której umierający nawet w swej pustyni Mojżesz, krainę Chanaanu ogląda. — Lecz taka nadzieja, taki ideał nie mogą być wprost ujętnemi dla życzenia naszego. Życzenie człowieka, to uczuciowy stopień jego woli — kolebka jego zamiarów, — życzenia w ideały ciskać nie powinien, jak tej kropli wody którą chce w otchłań bezmierną wsączyć, z nad brzegów rzeki do oceanu nieść niepotrzebuje — dość mu ją będzie w płynące u stóp jego nurty wmięsząć — aby z niemi już niewątpliwie do bezdenne go morza zapłynęła. — Dla życzeń więc twoich ma być kresem granicznym powzięcie zamiaru — pragnij tego tylko, co wykonać możesz — ale nawzajem Ludwiku! niech to, co wykonasz wprost cię ku ideałowi twojemu prowadzi — Dla życzeń i zamiarów w każdej chwili musisz mieć punkt pewny i niby z rysunkową dokładnością wykreślony — Dla czynów twoich musisz mieć najdalszych następstw rozwiniętą nieskończoność — musisz widzieć na własne oczy, i czuć na własne sumienie, że kropla życia twego prądem rzeki płynie, i że jej aż do zmiłowania beżego, lub do spełnienia fizycznych przerobów bezświadomej natury, w kielichach kwiatów nadbrzeżnych, w stojącej wodzie jeziora, lub w połyskliwej od słońca kałuży nie tracisz — Mojem zdaniem, człowiek każdy jako sędzia i rządzca przed okolicznościami własnego położenia na świecie stanąć — a rozpatrzywszy się w nich dobrze, odpowiednią i możliwą robotę wyznaczyć sobie powinien — Kiedy się mówi o zyskach materyalnych, to wyznaczenie sobie takiej roboty nazywa się, obraniem zawodu, czyli karyery. — Otoż ja chcę Ludwiku, żebyś ty w świętszej, w duchowej pracy obrał sobie także

zawód i karyerę — żebyś wiedział z pewnością, co w stosunku do swej zdolności uczynić możesz — żebyś miał i czuł co chwila łączność swego działania z obrotem wszystkich kółek tego wielkiego warsztatu, na którym się pierwotne prawa Pana Boga w doskonałość wzorują, — żebyś się zgodził, jednym słowem, jako sumienny wyrobnik, a nie poprzestał na tém, iż ci się zdarzy kiedy bydyć przypadkowym pomocnikiem. No i cóż mówisz na to? Czyż do zgłoskowania ostatniej wątpliwej syllaby nie przystąpiłem z cywilną odwagą i przeszło czy tam przyszło wieczną szczerością? — Parę tylko niedoczytanych liter zostało się jeszcze — ale te zostaną do jutra, do pojutrze, do nie wiem kiedy — póki ty sam, w ich składaniu mi niepomogiesz, czy tylko będziesz mógł przyjść do mnie jutro?

— Oh! przyjdę, zawołałem, przyjdę niezawodnie i będę ci mógł lepiej niż dziś odpowiadać.

— Kiedyś już taki pocziwy, to się wybierz z rana choćby przed ósmą, gdyż później koło dwunastej czekają mnie różne hipoteczne sprawy — i widzielibyśmy się zbyt krótko, lub niewidzieli wcale, a mnie — dodał z uśmiechem, kobiety wychowywały, umiem tęsknić, oczekiwac, wyglądać, niecierpliwic się nawet — Do ósmej czekam cię ze spokojnością stoicką, po ósmej z niespokojnością rozpieszczonego dziecka. — Pamiętaj Ludwiku...

Słowa Kazimierza, dziwne zrobiły na mnie wrażenie, kiedy zostałem sam z niemi w rozmyślach. Zdawało mi się jak gdyby otwarto przedemną niespostrzegane pierwój wrota i archanioł jakiś piękny jak szczęście, a surowy jak wyrok sprawiedliwości, ujął dłoń moją i prowadził mnie szlakami nowej zupełnie drogi — Od czasu do czasu miałem poczucie silnego pchnięcia w nieznanie przema-



czenie i wyobrażałem sobie, że tak zapewne ziemia w konieczność swego biegu pchniętą byźdź musiała. To co po ów dzień było mi treścią życia, zmieniło się w przypadłość jego — Najważniejsze zdarzenia, przedmioty, uczucia własne, rozstępowały się na obie strony mej drogi, a ja szedłem, szedłem bez wypoczynku, bez zboczenia, prosto przed siebie — daleko — aż gdzie sobie cisnąłem to jedno słowo: „tam” — Ranniejsza boleść nie ustąpiła z duszy, i owszem z całą siłą odezwała się właśnie, bo jednym rzutem myśli przemierzyłem ile mi to pomocy i szczęścia ubyło, a jaki ciężar wlec będzie trzeba za sobą, niby ołowianą kulę do nogi więźnia łańcuchem przykutą — jaki ciężar! niedopowiedziane nigdy miłości wzajemnej słowo! — Lecz wzgląd ów nawet przyjąłem za rzecz dokonaną, za nieodtraconą z położenia mego okoliczność — podług rady Kazimierza więc, stanąłem naprzeciw niego jako sędzia i rządca wszechwładny.

Nazajutrz Kazimierz jeszcze sfery stoicyzmu nie przestąpił zapewne, kiedy już do drzwi jego pomieszkania stukąłem — Rozmówiliśmy się tak dobrze, przeczytali sobie tak wyraźnie i te ostatnie w zawieszeniu pozostawione litery — że między nami wszelki rozdział zniknął — ujrzelśmy się tuż obok siebie z tém samem słowem na ustach, i z tą samą myślą w sercu, krótko mówiąc, obraliśmy sobie też samą karyerę.

Według zamiarów naszych czekało nas uporządkowanie sąsiednich sobie gospodarstw Bystrowoli i Krzywca — czekały coraz dalej rozpromieniające się przedsiębiorstwa a we wszystkich, dobry byt i wsparcie drugich, były ogólną summą jedynie upragnionych korzyści. — Niezdzisił się też Kazimierz gdy mu o przyspieszonym wyjeździe z Warszawy wspomniałem — ale zapytał mię, czy wieczor-

rem do Maryi-Reginy przyjdę? — mimowolnie zmieszałem się tak prostemi wyrazami i coś bez związku nadmienilem o braku czasu, o wykończeniu sprawy mojej, o aktach mecenasa — Kazimierz z uwagą popatrzył na mnie i przyjął na pozór wymówkę, ale dla tego jedynie, że jak widać było, niechciał badaniem zdobywać ufności mojej — w głębi zaś duszy mówił mi nieraz potém, zakłopotanie się moje wytłumaczył sobie na pewien rodzaj przesadzonego ascetyzmu i niewczesnej dumy — zdawało mu się, że po rozmowie naszój lękam się z pełności męzkich uniesień w jednostkowe kochanie przerzucić, a może téż wstydę nawet tego objawu jako słabości nieodpowiedniej rozmiarom planów naszych. — Oho! jeszcze jedna litera! pomyślał sobie, i miał słuszość, była to jedna litera jeszcze — tylko się trochę w jej czytaniu omylił.

Za powrotem do domu chciałem dać zwykłą lekcję Helusi — pomówić z nią o dalszym nauk rozkładzie, wskazać dzieła z którychby mogła sama następnie zbierać wiadomości; chciałem ją w rady i objaśnienia na czas długi zaopatrzyć, ale mi powiedziano, że Marya-Regina wstąpiła po nią z Romualdem, i wywiozła na jakąś za miasto przejażdżkę.

— Ja tam z niemi jechać nie mogłam, zakończyła pani Agnieszka, ale téż mam nadzieję, że niedługo wrócą bo się przed dziesiątą wybrali — Marya-Regina prosiła aby Helusi białą włożyć sukienkę. — Bodaj czy mi jej tylko na Bielany nie zawieźli — coś tak się domyślam — niechże ich pan tutaj zaczeka.

Zaczekać?... aż się sam siebie przeląknę jak mi to słowo gwałtowną chęcią w serce uderzyło — była to i ciekawość rozdrażniona do najwyższego stopnia i potrzeba spotkania się oko w oko z tą kobietą, teraz, gdy wzmoc-

niony nowym nadpływem moralnego życia, tak silny przeciw niej się czułem, była to i duma i pragnienie odwetu — i tęsknota — bo jój dawno już nie widziałem — ach! dawno, całą dobę — w czasie której postanowiłem sobie że jej więcej widzieć nie będę — było to, ja sam niewiem co, lecz najpewniéj okropne głupstwo moje.

Juścić Marya-Regina kochać mię nie mogła, sam to dzisiaj rozumiem. — Któżby kochał człowieka, co kochać aż do głupstwa może? — fe! śmieszność i niedołęztwo — absolvo te Maria-Regina!

Otóż jednak w tamtéj chwili nie zgłupiałem zupełnie, tylko uciekłem z domu. Na ulicy obejrzałem się w koło i myśleć zacząłem dopiero gdzie pójdę i co zrobię z sobą? Pierwszy raz wtedy spostrzegłem jak mi dotychczasowe życie wsiąkało mimo wiedzy w te dwa magnesowe bieguny swoje — pałac Żałuskich, i dworek ślusarza. — Po za niemi cześć mię ogarniała zupełna, — im dłużej nad tém się zastanawiałem, tém zrozumiałszemi i świętyszemi stawały się dla mnie Kazimierzowe słowa — gdyby nie on, kto wie, czy marząc ciągle najwznioślejsze marzenia, przy bogatszem własnego szczęścia zasobie, niebyłbym karyery swojej ograniczył tém kółkiem czarowném — w każdej chwili miałbym piękne i dobre w około — zkadże by mi się wzięło niedostatku dobra i piękności, gwałtowniejsze uczucie? A gdyby téż znowu i kółko owe zamknęło się przedemną — to po za niem — tyle nudów, takie wyparcie z właściwej kolei — takie odurzenie wśród nieznanых przedmiotów, że aż serce schnie. — Najlepiej sobie ów stan wyobraziłem przez tę dnia jednego połowę, której nie mogłem ani do przyszłości obranej wcielić; ani Maryi-Reginie, lub Helusi oddać. Wyobraźcie sobie pudełko gdzie były klejnoty, a ktore dla przewiezienia kilku szpilek albo



tym podobnych gracików, trzeba sieczką lub otrębami dosypać — sypałem otręby i sieczkę — narady z mecenasem wizyty u ludzi, którzy mię nie, a nie nie obchodzili — gazety w kawiarni — krótką przechadzkę po niesmacznym obiedzie — nakoniec dosypałem aż do ciemnego wieczora. O tej porze, według wniosków moich — Helusia już od dawna do domu wrócić musiała, a jeśli Marya-Regina zabawiła u niej dłużej na pogadance, to zapewne teraz koniecznie odjechać jej wypadło, gdyż jako słyszałem z rana, pani pułkownikowa z panną Ireną w gości jej się obiecały.

Kiedy przyszedłem do domu, z wielkiem podziwieniem mojem, zastałem samego ślusarza tylko; powiedział mi że Helusi nie odwiedziono wcale i że przed wieczorem Romuald przyszedł prosić, aby matka jej także na wieczór do Maryi-Reginy poszła. Smutno mi się zrobiło. — Oni tam wszyscy zgromadzili się razem — czas im biegł przedko — swobodnie — na muzyce, śpiewie, rozmowie — i nikt zapewne ani wspomniał o mnie, za mną nikomu tęskno nie było! — Dziwne wrażenie osamotnienia padło mi na duszę — a padło tém boleśniej, że sobie powiedzieć musiałem: tak będzie teraz na całe życie twoje. Oh! gdyby to już można było wziąć się do krawej najtrudniejszej pracy! — W podobnych myślach zatopiony siedziałem u siebie przed stolikiem, na którym świeca zapalona stała i nowe jakieś dziełko nieczytane, lecz roztworzone leżało.

— Panie Ludwiku! zawołał niespodzianie czysty głos Helusi z ogródka.

Pobiegłem na balkon i ujrzałem ją opodal nieco wraz z matką w cieniu stojące.

— Jak też to panie późno dzisiaj wracają — rzekłem

z lekką wymówką—bom ja mimowiedzy powrotu ich niecierpliwie wyglądał.

— Prawda, że późno — ale nam trudno było się rozejść— odpowiedziała pani Agnieszka.

— I czemuż to pan nie przyszedłeś, kiedy, jak Małgosia powiada, tak wcześnie do domu wróciłeś? odezwiała się znowu Helusia—brak nam było pana bardzo—ja ciągle myślałam o tém, czy pan nie chory tylko—szczęściem że światło w okienku spostrzegłam, bo z niespokojną myślą aż do jutra byłabym czekać musiała — lecz pan nie chory przecie?

— Nie, zdrow i wdzięczny za poczeiwych serc troskliwość.

— No, to dobranoc już — wymówki do dnia jutrzejszego zostaną.

— Wdzięcznym będę i za wymówki.

— Wszyscy się na nie złożymy — Marya-Regina kazała powiedzieć panu....

— Marya-Regina? drżącym powtórzyłem głosem i przydałem: Cóż Marya-Regina powiedzieć mi kazała? gdyż Helusia nie kończyła zaczętych wyrazów i w największej zawiesiła mię niespokojności — odgadując niecierpliwość moję klasnęła w ręce tylko i zawołała:

— Ah! jaki pan ciekawy! mogę pana ukarać za to, że do nas w wieczór nie przyszedłeś.

— Proszę pani Agnieszki niech mię Helusia nie karze, doprawdy jam nic nie winien, — modliłem się do słuszarzowej.

— A więc, rzekła znowu na jej wstawienie się córka — Marya-Regina kazała panu powiedzieć... lecz znów urwała swą mowę — Już się téż i gniewać trochę zaczynałem.

— Cóż kazała — no, dalej, — rzekłem z naleganiem.

— To co pan słyzy dosłownie powtarzam — na pożegnanie wzięła mię za rękę i rzekła: „Powiedz panu Ludwikowi...” ale potém umilkła i nic więcej nie przydała. Czekałam przez chwilę, nakoniec przyrzekłam jej, że powtórzę milczenie — Marya-Regina się uśmiechnęła, pocałowała mię w czoło, i nazwała, ale to wyraźnie nazwała — swoim aniołem, — Anioł znaczy wiernego posłannika — jestem nim, wypełniłam zlecenie — żegnam więc pana — dobranoc!

— Dobranoc aniołowi, powtórzyłem za odchodzącą i błogosławieństwo żywym uczuciem z piersi mi się wydobyło: bodajbyś nigdy długo nie cierpiała, ty mój prawdziwy dobrych słów aniele!

Istotnie, w owej chwili najlepszem słowem dla mnie było owe niedokończone Maryi-Reginy polecenie. Czy w niém błyskała nadzieja, czy obietnica? niewiedziałem — czy nawet wróć do niej, czy się z nią widzieć jeszcze będę? sam sobie nie stawilem ostatecznego zapytania. — Ale pewny byłem, że w niedomówionym ciągu jej myśli jakieś wynagrodzenie okrutnego żartu leżało — pewny byłem zresztą, że wspomniała o mnie... jak? co? dla czego? nie przyszły mi do głowy te rozwagi. Pierś wolniej odetchnęła, zasnąłem pod wpływem nieokreślonych, lecz prawie pocieszających wrażeń — niech mi téż kto tłomaczy to wszystko?



## XII.

Nazajutrz bardzo wcześnie upomniałem się przez Małgosię o widzenie Helusi — za danem pozwoleniem zszedłem na dół i zastałem ją samą w pokoju, gdyż matka wyszła z Karolkiem po sprawunki na miasto, a ojciec dawno już był u warsztatu swojego. — Dziewczynka siedziała i szyla bardzo pilnie — czoło jej było tak pogodne, tak jasne myślami, że się aż bielszém niż zwykle zdawało — twarzy jednak swobodny uśmiech nie rozświecał — i owszem, głębokie jakieś zadumanie w rysach jej osiadło — na moje wejście podniosła spuszczone ku robocie oczy — i wyciągnęła rękę w mileczeniu — usiadłem naprzeciw niej równie milezący i patrzyłem w jej promienne ale zawsze promienne niby w głąb ku własnemu sercu spojrzenie.

— Byliście więc wczoraj na Bielanych? rzekłem wreszcie po chwili.

— Byliśmy — odpowiedziała krótko Helusia, a głos jej wydobył się z serca takim pełnym, dźwięcznym i wzruszonym, że się w nim odezwało całe bogactwo świeżo uzbieranych wspomnień.

— Śpiewaliście, mówiłem dalej — graliście, przez cały wieczór, rozmawialiście swobodnie i dobrze wam było na świecie...

— Prawda panie Ludwiku — dobrze nam było na świecie — tak dobrze wczoraj, że kiedy siadłam sobie nad brzegiem Wisły w Bielanych i kiedy Marya-Regina sia-

dła przy mnie z bratem swoim — to nagle uczułam, jak gdyby mi się przeszłe i przyszłe życie w obecną chwilę zbiegło — niepragnęłam, a używałam — wieczność świętych w niebie musi być niezawodnie ciągiem chwil podobnych — i dziwna rzecz nawet, bo teraz wielki smutek jest w naturze: pierwsze liście opadają — pierwsze ptaki odlatują — pożegnanie czuć w każdym słońca promieniu. — Mnie jednak zachciało się nieśmiertelności takiej — Mnie żal było, czy pan uwierzy? żal było, że woda płynęła!

— A więc był i żal jakiś? — to dobrze — szczęścia bez żalu zawsze się lękałam przesadnie.

— Doprawdy? — no widzi pan, ja przed chwilą o tém właśnie myślałam — lecz po cóż ja się mam lękać? Wszystko, co mi Bóg daje — wszystko, co mi serca ludzkie dają — wszystko to przecież są podarunki dla mojej umarłej nie dla mnie — gdybym w której bądź chwili, w jakimś bądź wrażeniu, z jej wspomnieniem rozdzieloną się spostrzegła tobym się niezawodnie przeraziła okropnie i samej siebie i szczęścia mojego — ale tak nie jest — oh! nie jest wcale — wczoraj nad Wisłą kiedy mi najradośniej serce uderzało to ja poczułam, jak gdyby według swej obietnicy, panie Ludwiku! ona mną się stawiała — aż oczy zamknęłam, aż twarz w ręce ukryłam, żeby mi to z myśli nie uciekło. — „Żyj, żyj teraz“ — powiedziałam jej nawet — a Marya-Regina nie zrozumiała mnie, zdawało się jej, że ja z tęsknoty jakieś życzenie rzuciłam tylko, i trochę połażała mię za to, że więcej uczucia w jednym grobie zamknęłam niż go teraz dać będę mogła, tym co mnie pokochają — nie chciałam się tłumaczyć — sama nie wiem czemu, ale zdarzają się chwile, w których nawet dźwięku jednego słowa skąpię. Moje milczenie musiało pana Romualda zniecierpliwzić, dokuczył mi też prawie, — odezwał się ta-

kim smutnym głosem, jak gdyby istotnie z duszy, a nie przez żart mówił: — „Wiesz co Maryo-Regino? kto Helusię pokocha umrzeć powinien prędko — sam dla siebie, żeby tę chwilę swej duszy wprost przed Bogiem stawil — a kto od Helusi kochanym będzie, umrzeć powinien prędziej jeszcze, żeby skarbów takiego kochania we własném ubóstwie nie zmarnował — żeby jej wiarę i pamięć zostawił.” Już téż na te słowa wytrzymać nie mogłam. — „Mój Boże! zawołam, co wy mówicie o grobach i śmierci? Czyż wy nie wiecie, że właśnie moja umarła zmartwychwstała i że mi w sercu żyje.” Pojęli mię nakoniec. Marya-Regina upieściła mię tak serdecznie i on był taki szczęśliwy — a ja!... panie Ludwiku — ot, gdy wszedłeś, myślałam sobie, czy to nie zbytkiem już.

Naprawdę zrozumieć tej Maryi-Reginy nie mogłem — czyliżby rzeczywiście w miłość Romualda nie wierzyła, a wzajemności Helusi nie przypuszczała nawet?... Lecz jeśli przypuszczała — to któż pozwolił jej dyamentowemu sercu, z serc krwią nabiegłych wydobywać nieodgadnięte w swych skutkach wrażenia? — Wspomniałem sobie mój bliski odjazd... położenie Helusi zatrwożyło mię tém bardziej.

— Siostrzyczko, rzekłem jej poufnie, gdyż od jakiegoś czasu nieraz już mówiąc do niej używałem tego wyrażenia, a zdarzało się nawet, że prostem „Helusi” zastępowałem je mianem — siostrzyczko, pamiętasz jakieśmy to pierwszy raz długo i szczerze rozmówili się w ogródku? Byłaś bardzo smutna i znękana — ja ci mówiłem wtedy, że nieszczęście grzechem jest — a szczęście prawem człowieka i siłą jego do cnoty — uwierzyłaś mi — dzisiaj tak szczęśliwą jesteś, że się już zbytku obawiać zaczynasz — niewiem, czy mię za wielkiego dziwaka nie weźmiesz, ale



bym chciał znowu tak cię przeciw radości uzbroić, jak przeciw cierpieniu uzbroilem, — prawda, że to okropnie potworna nauka — szczególnież gdy ją z pozorów kto sądzi — wymagać od człowieka aby wiecznie termometr jakiś we własnej piersi trzymał i nad wskazane przepisami stopnie ani mu spadać, ani wznosić się nie dozwalał, to jakieś bezbożnej arytmetyki zadanie — lecz ja go tobie nie narzucam siostrzyczko! bądź szczęśliwą o ile nią być możesz według natury swojej — tylko bądź szczęśliwą usposobieniem i stanem własnej duszy — nie bądź nigdy szczęśliwą rzeczą, zdarzeniem, osobą — wierz mi, Helusiu, rzecz każda się zużywa; zdarzenie każde przemija — osoba każda zawodzi...

— Panie Ludwiku, co pan mówisz?... przerwała mi z żywością. Osoba każda zawodzi... więc nie kochać nikogo?... więc po co żyć?

Smutnie się uśmiechnąłem.

— I kochać można, i żyć można — odrzekłem; tylko na ślepo ufać nie potrzeba — zawód nie jest oszukiństwem — zawód leży najczęściej w konieczności charakterów ludzkich — które się ciągle rozwijają z tła przyjmowanych i dawanych wrażeń. To co przyjmujesz, zaprowadza w osobistości twojej nową zupełnie kombinację, rozwija w niej nowe pierwiastki, lub już rozwinięte przekształca, — to co dajesz, pod pewnym względem, téż same sprawia skutki, wydobywa nowe siły z twojej duszy, w grę wprowadza nowe władze twego jestestwa. — Z drugiej strony zaś, dający i przyjmujący, tak jak ty, jest pod wpływem rozlicznych przemian w stanie ducha własnego — dziś, dajmy na to, masz serce ufne, spokojne, bezświado- mie bogate niewyczerpniętą zdolnością kochania — spotykasz człowieka namiętnego, któremu smutno na świecie

bo chce coraz więcej, coraz inaczej być kochanym—człowiek taki przeczuje skarby twojej miłości, zapagnie ich koniecznie i samem pragnieniem tak się upodobni z tobą, tak zjednoczy, tak uświęci, że ty która kochać możesz, pokochasz go niezawodnie. — Potém w twojej duszy kochanie rozwijać się będzie na wyrozumiałość dla błędów ukochanego, na wsparcie jego słabości, na uszanowanie dobrych jego przymiotów, na chęć wspólnego z nim po drodze czynów i ulepszeń postępu—na przyjaźń, ale zawsze jako wyższe i szlachetniejsze kochanie—W jego duszy uzyskana miłość twoja przyniesie chwile sytości, zaspokojenia — a z chwili następnej, niepohamowane pragnienie nowych wrażeń — potrzebę nowych i innowatycznych zasilków wywoła.—Wszakże to będzie zawodem Helusiu?..

— Brzydkim, szkodliwym zawodem, rzekła po chwili namysłu— ale gdyby się téż spotkały takie dwie dusze na świecie, któreby za każdą chwilą życia, szły w przemianę jednoczesną i odpowiednią sobie; — gdyby dar każdy i przyjęcie każde rozbudzało w nich zawsze takie władze jedynie, które się wzajemnie wspierać i uzupełniać mogą,—to cóż panie Ludwiku?

— Ha, to byłby ideał zapewne—lecz dzisiaj moja Helusiu! ideały tak obce naszej ziemi, żeśmy je aż wszystkie razem Panu Bogu do nieba wrzucili.

Chciała coś odpowiedzieć na to, ale dzwonek dał się słyszeć przy drzwiach wchodowych i lubo tyle osób przyjść mogło o tej porze — jam się domyślił zaraz, że to Romuald wchodzi; bo twarz Helusi ożywiła się rumieńcem, jej oczy blaskiem rozbliły.

Małgosi w domu nie było, poszedłem więc otworzyć—wchodzącego tak prędko do siebie na górkę zaprowadzi-

łem, że nawet czasu nie miał o domowych się wypytać—zdziwił się trochę widząc wszystkie moje papiery i książki w nieładzie—bo je też po całym pokoju rozrzuciłem—od samego rana pakowanie ich mając w zamiarze, chciałem każdą raz jeszcze przejrzeć, rozgatunkować, lub też gdyby się zdała na co, Helusi zostawić.

— Ludwisiu, cóż to znaczy przez Boga, czy do mojego cechu przystajesz na rzemieślnika—mógłby kto pomyśleć że już tutaj od tygodnia mieszkam.

— A tymczasem omyliłby się w chronologii, bo raczej po tygodniu mógłbyś tu zamieszkać.

— Jak to po tygodniu?

— Bardzo prostym sposobem—wtenczas gdy już wyjadę.

— Jesteś dzisiaj enigmatyczny jak kabala panny Lenormand—co to znaczy: „wyjadę”—gdzie wyjadę? po co wyjadę?—Zkąd wyjadę?

— Rozwiązanie jak najłatwiejsze—wyjadę na wieś—wyjadę po to, żebym gospodarował—wyjadę z Warszawy.

— Ta, ta, ta. Jakimże cudem ów projekt tak nagle do głowy ci przyszedł.

— Zdaje mi się, że od pierwszego ponowienia znajomości naszej, wiedziałeś już, że w Warszawie nie mieszkam i tylko w niej dla ukończenia majątkowych interessów bawię.

— Więc się ma rozumieć, że je ukończyłeś zupełnie.

— Tak jak gdyby...

— Jeśli nie zupełnie, po co wyjeżdżasz?

— Przypomnę ci tę małą okoliczność jedynie, że majątkowe interesa mogą mnie na wieś powołać także.



— Bodajbyś na wsi i w mieście wszystko co do grosza stracił, ty chciwoszu niezdolny, co nas porzucasz wtedy właśnie, gdy podstępami i sztuką magiczną w serca nasze najdalej się wkradłeś.

— Przynajmniej pocziwy ze mnie złodziej, bo wam z nich pewno nie wiele na tęsknotę i żale po sobie zabiorę.

— Tak ci się zdaje panie Ludwiku? No proszę, co też rozumiesz przez to słowo „wiele” albo: „nie wiele.”

— Wiele, znaczy tyle na przykład, ile dajesz operze włoskiej w Paryżu.

— A niech ją wszyscy djabli porwą!

— Ile dajesz śpiewom wielkopiątkowym w Rzymie.

— No, no, jeszcze bym ci mógł dzisiaj i te śpiewy darować.

— Więc ile dajesz piosnce Helusinej.

— Rozumiem, to ma być wiele—a nie wiele?

— Nie wiele, znaczy tyle ile dajesz mi.

— Masło maślane,—przecież ja właśnie chcę wiedzieć ile to według twojego rachunku daję ci niby.

— A zatem tyle, ile dajesz muzyce Glucka, Mehula.

— Bodajby się przepadła!

— Ile dajesz Don Juanowi Mozarta.

— Poszanowanie, poszanowanie najgłębsze.

— Ile dajesz tej zwrotce... co ją Anna śpiewała.

Romuald od początku naszej rozmowy ciągle chodził po pokoju, przerzucał w książkach, zaglądał w papiery—ale na ostatnie słowa moje stanął jak wryty, najpierw się zaczerwienił, potem bladł coraz więcej, oczy mu świecić

zaczynały, niby dwa migotliwe fajerwerki w głowie, skóra na policzkach drgała nerwowem swoim drganiem — widać było, że serce gniewem wzbiera — aż nareszcie gniew słowami wybuchnął.

— Oh! teraz już wiem wszystko, rzekł szyderczo wolnym i ucinanym głosem — chciałeś mi koniecznie w twarz rzucić to imię — boś słyszał, że się z niem zawsze jak z wróżbą nieszczęścia spotykam — arcy-szlachetnie doprawdy! — Chciałeś mię przestrzedz, że ja pustak szalony kocham i zapominam, więc też w żadnej chwili własnemu sercu i własnej pamięci wierzyć nie powinienem; — arcy-moralnie bez wątpienia! Chciałeś potem iść może i przed uczennicą twoją rozwinąć to w porównawczej lekcyi, któraby na korzyść profesora wypaść musiała — arcy-mądrze Ludwiku! — Trudno zaprzeczyć, szlachetnie, moralnie i mądrze! — niedarmo też Marya-Regina oddawna mówiła mi, że tobie tylko podobny człowiek może kochać Helusię — ja wtedy śmiałem się z tego, dziecinne przypomnienie... głos jakiś własnego serca wierzyć temu niepozwalał.

— Głos miał wielką słuszość, Romualdzie.

— Ale przypomnienie kłamało — nie, Ludwiku, gdybyś nie był pod wpływem osobistego rozdrażnienia — znam cię dobrze, nigdybyś żartobliwem wyrażeniem boleści serca mego nie potrafił. Żeby mnie się tak zdarzyło, niedziw zaiste! — ale tobie — przypadkiem, aż po wnętrności szarpnąć? oh! nie wierzę — musisz wyjeżdżać — żałujesz — kto wie może zazdrościsz — więc też na upominek; zwątpienie chcesz zostawić mnie i jej?

— Jaki ty niesprawiedliwy jednak — a zdaje ci się, że kochasz i szczęśliwym jesteś — powiedz mi, kiedyż ty ogarniesz świat cały miłosierdziem i przebaczeniem, jeśli

w chwili podobnej nawet, na gniew i potępienie, serca ci wystarcza?

Romuald już przez samo wypowiedzenie jęczącej go myśli, ułagodził się trochę, moje słowa smutno wyrzeczone rozbroiły go do reszty — ale niechciał tego dać poznać — wziął jakąś książkę, cisnął nią o stół, i niby przeдрzeźniającym odezwał się tonem.

— Herkulesowa siła argumentów, — gotów mi dowieść, że to ja mu na nogę nastąpiłem, a nie on mnie, chociaż ja siedzę cicho, a on w koło się kręci. Piękny talent, do pozazdroszczenia! słowo honoru daję.

— Po co szydzisz, kiedy się już gniewać przestałeś — rzekłem do niego z uśmiechem.

On mimowolnie rozśmiał się także, ale czoło do surowego marsa przymusił i odpowiedział jak dziecko rozdąsane:

— To mię przepros przynajmniej.

— Przepraszam za niedorzeczność twoją własną.

— O jezuita! — moja niedorzeczność? — a powiedz sam szczerze, czy mi nie chciałeś dokuczyć.

— Chciałem.

— A dla czego chciałeś?

— Żebyś mi powiedział co takiego, coby mi dało prawo do poufniejszej rozmowy.

— Patrzenie mi! jak Tayllerand — wstydz się Ludwiku, czy nie lepiej było wprost, jak przyjaciela, o co chciałeś zapytać — mnie na prawdę przykro się jakoś zrobiło — nie jest ci to zbrodnia tak wielka w dwudziestym roku zachować się szalenie, a potem zerwać wszelkie stosunki i miłość ową w niepamięć puścić, — lecz już ci się przyznałem



jakie to dziwne w duszy mojej zostawiło usposobienie, — słabość jakaś, czy przesąd, nie wiem, lecz wiem z pewnością, że mi dolega. Na cóż było dolegliwość wzruszać — by mi podkraść tajemnicę, by uczucie zbadać? a toż ja przecież nie wstydzę i nie ukrywam się z niemi.

— Wolno mi więc mówić o tém, że kochasz Helusię?

Romuald skoczył mi na szyję — wycalaował na wszystkie strony i zawołał:

— Ludwisiu! mów o tém od rana do wieczora, zobaczysz jak cię słuchać będę — a toć mi tylko tego już było do szczęścia potrzeba — chodziłem między wami niesmiały jak winowajca — zdawało mi się że kiedy wy wszyscy, którzy takie śliczne rzeczy o miłości rozprawiacie, jeszcze się nie poznali, że ja w Helusi na śmierć i życie zakochany, to chyba dla tego jedynie, żeście nie przypuścili bym ja łotr, ja niegodziwiec mógł się na taką świętość zdobyć — zaczynałem nawet sam o sobie wątpić — ale teraz pocieszyłeś mię Ludwiczku — kiedy już ty mój drogi, ty poważny, ty Kato, chcesz mówić o tém ze mną — to wszystko dobrze pójdzie. No, mówże, słucham jak widzisz.

Wesołość Romualda wydała mi się w tej chwili tak dziwną przynajmniej jak mazurek na organach w czasie mszy zagrany. Miałem jeszcze moje młodociane uprzedzenia; wszelką wzmiankę o miłości otaczałem taką uroczystością, jak pobożny katolik wzmiankę o przenajświętszym Sakramencie — zapisuję to jednak w rejestr pomyłek moich — bo indywidualnych uczuć nie trzeba według formy ich objawu sądzić — na wschodzie ten kocha kto bije — u nas ten co pięści nie zawsze kocha — a bywają ludzie którzy nie biją i niepieszczą, nie mówią ani poważnie

ani wesoło o miłości swojej — a jednakże kochają tak szczerze! — Prawda że jedno tylko takie serce znałem lecz i ono względem różnorodności gatunków świadectwo dać może — wówczas nie miałem jeszcze tego doświadczenia, ostrzej też niż było w chęci mojej przemówilem do Romualda — przyznane mu uczucie sprowadziłem do najdrobniejszego ułamku, dowiodłem że jest szaleńcem i uniesieniem — że nieszczęściem być może — Rozwijałem przed jego wyobraźnią złodowaciałe względy czasu — położenia Helusi i własnych jego przywyknień.

— Przypuśćmy, rzekłem nakoniec, że dzisiaj kochanie twoje prawdą jest, czego nierozumiałeś przy Annie, rozumiesz Helusi, wiesz że sława twoja, że majątkowe układy, że wszystkie kłopoty któremi zwykle straszą przybierających się do małżeńskiego stanu — są kłamstwem i nicością i mrzonką jedynie, gdy się je w porównaniu z chwilą szczęścia stawia — przypuśćmy że tak czujesz teraz — lecz od teraz do ślubu, mój Romualdzie, toć to całe trzy lata blisko — trzy lata w twojem życiu — oblicz się ino — jakie zmiany, jakie fantazyje, jakie podróże — jakie nowe namiętności! — a w życiu Helusi rozstrój i cierpienie — gdybym niewierzył że ją kochasz najwięcej jak tylko można kochać na dzień dzisiejszy, tobym nie śmiał mówić do ciebie: egoistyczne kaprysy, zdobywcze fanfaronady niełitościwemi bywają; nie ma po co do serca im kołatać — i przepowiednię nieszczęścia rozrzewniać — ale ty Romualdzie z całą tkliwością, rzeczywistego w obecności uczucia; pomyśl o tej Helusi, którą widzisz tak długo smętną po najpierwszej stracie, tak zwolna wracającą do życia i do siły; pomyśl co by się z nią stało gdyby drugi raz wszystko odzyskane utracić jej przyszło? — pomyśl sumiennie — zbadaj sam siebie, czy ci podobnem jest boga-

ctwu jej miłości wyrównać? — watłego szczęścia niezatruc wskrzeszonego ducha niepognębić? — Romualdzie! — to nie zapasy żadne — bądź poczciwym człowiekiem — gdy zechcesz, Helusia ukocha cię na wieki — lecz gdy ukocha, co tobie po miłości jej?

— Co tobie? powtórzył Romuald, a czarne oczy jego zaślnęły dziwném namiętnej radości spojrzeniem — co tobie? nie mówmy o tém — lepiej mi powiedz wyraźnie — do czego te wszystkie rady zmierzają? — Czy chcesz żebym przestał kochać Helusię? — i na to przypuszczenie śmiechem nieszczerem wybuchnął.

— Bodajbyś właśnie kochał ją całe życie twoje Romualdzie ale że tak ukochać nie możesz, więc ją opuść — wyjedź za granicę — pracuj, wslawiaj się — gdy wrócisz, albo ją będziesz mógł pojąć za żonę, albo.... zapomnisz i Helusia nigdy sobie rzuconych w jej duszę wrażeń, właściwem nie oznaczy nazwiskiem.

— Tobie się zdaje, że Helusia pokochać by mnie mogła?

— Tak jest w istocie, mogłaby cię pokochać.

— A to osobliwszy człowiek!

— Dla czegoż tak osobliwy?

— Wie, że ja kocham, rzuca mi w serce nadzieję, o której ledwo zamaryć śmiałem kiedy — nadzieję, że kochanym być mogę i potem chce, bym wyjeżdżał — staje między mną, a szczęściem. Osobliwszy człowiek!

Miał słuszość Romuald, wielkie głupstwo zrobiłem.

---



Na tych wyrazach przerwało się ostatnie wspólne czytanie nasze—przeszło w rok później dnia 24 października 184\* r. zabrano mi rękopism i zupełnie straciłam nadzieję, abym go kiedykolwiek odzyskać mogła; przepraszam więc łaskawych Czytelników, że im niedokończoną „Książkę Pamiątek” w niniejszym zbiorze „Pism Gabrielli” podaję.

---

Takiem to szczerem, najrzetelniejszem i pokornem wyznaniem już miałam wszystko rozstrzygnąć, gdy mi głos bardzo życzliwej, lecz bardzo zawsze wymagającej przyjaciężni sumienie zaniepokoił.

— Dla czego niechcesz „Książki Pamiątek” dokończyć?

— Dla czego niechęć? powtórzyłam z zadziwieniem niespodziewanie oskarżonej niewinności — ja nie chcę! a toć tygodnie płyną, miesiące mijają, ja nad tem właśnie mózg suszę i życie marnuję. — Są ludzie swobodni, co myślą o swoich zamiarach, lub kłopotach, pociechach lub obowiązkach. — Ja nie myślę tylko o Książce pamiątek. — Są ludzie co się martwią wypadkami jałemiś, co się radują tem lub owem zdarzeniem — dla mnie wypadków nie ma, zdarzenia się przerwały, zmartwień zapomniałam, radości nie doznaję — utonęłam w Książce Pamiątek — gdzie stąpię, gdzie usiedę, gdzie do snu głowę złożę wszędzie za mną, przy mnie, przedemną Książka Pamiątek się snuje. — Przeczytają co pięknego, mnie ona brzydka, na pamięci staje — zagra kto kiedy przesłicznie, mnie wspomnienie artysty Romualda dusi. — O zakochanych usłyszę — mnie wszystkie złości porywają, że się jakiś Ludwik kiedyś w Maryi-Reginie zakochał — że Marya-Regina kapryśnica w Ludwiku się nie zakochała. — Nawet, gdy ogień na kominku rozniecą, gdy wszyscy do koła zadumają się o głębokiej przeszłości, o przyszłości

dalekiej, ja dumać nie mogę, patrzeć na grę płomiennych języków nie mogę, bo przed moimi oczyma, niby w krzaku Mojżeszowym ciągle się pali tylko i spalić nie może, fatalny tytuł „Książka Pamiątek przy kominkowym czytana ogniu,” a kiedy się tak z nią biedzę, noszę, mocuję daremnie, ty właśnie wtedy się pytasz, dla czego dokończyć jej nie chcę! Spytaj, dla czego nie mogę? dla czego to jest niepodobieństwem największem? — przepadłością zupełną!..

— No to powiedz dla czego?

— Powiem, lecz pierwój muszę wiedzieć, czy dobrze rozumiesz jaka zachodzi między utworem wyobraźni, a rzeczywistością między powieścią a biografią różnica?

— Ta najpewniej, że powieść od biografii piękniejsza?

— Nie koniecznie—o piękności talent stanowi. Jedni piszą daleko piękniej, niż żyć umieją, drudzy znów żyją daleko piękniej, niżby to najślawniejszy autor opisać potrafił.—Nie, nie, piękności za cechową różnicę między powieścią a biografią nie godzi się uznawać, ale jest pewne stanowcze rozgródenie, które je gór alpejskich łańcuchem przedziela.— Powieść ma sens jawny i wybitny—biografia ma sens ukryty i najczęściej niezrozumiały. — W powieści zdarzenia, ze zdarzeń płyną, charaktery pod grozą recenzji muszą być utrzymane i konsekwentnie przeprowadzone—wszystko co do głównego wątku nie należy, co do jedności działania nie pomaga, co zasadniczej myśli i dramatycznego efektu nie podnosi, wszystko to jak nieużyteczne strzępki obcinać trzeba; gdyż powieść jest przedewszystkiem całością, jest dziełem skończonem—niech jak chce w analizę psychologiczną się wdziera, zawsze od wypadku do wypadku jej wątek rozsnuty, zawsze musi być określona tem „co się stało.” Życie zaś do pewnego sto-



pnia nie określa się, nawet bym powiedziała „stać się“ nie może nigdy — życia sens i ład na tem polega „co się staje“ ciągle, co się rozwija i unieśmiertelnia. — Artyzmem powieści jest zręczne nawiązanie szczegółów — artystyzmem życia ogólność władz duchowych zbogacona. — Prawda powieści dowodzi się faktami, — prawda życia urobieniem osobistości naszej. — Autor bierze pewne dane moralne i z nich rysuje arabesk odpowiedni: cnoty, występki, namiętności, uczucia wszelkie dla autora są materiałem przygód i dziejów — przygody i dzieje są dla człowieka żyjącego materiałem tylko uczuć, namiętności, występków lub cnoty. — Powieść rozwiązuje się ostatecznie dołą lub niedołą — szczęściem lub nieszczęściem — biografia dołą i niedołą, szczęście i nieszczęście przetwarza w niedowidzianą, nie dosłyszana, niedocieczoną, wewnętrzną historię zbawienia — powieść z kilku nieskończoności atomów, skończone dzieło tworzy, biografia przez wszelkie dzieła skończone, ku nieskończoności idzie.

— I to wszystko w takim się ma stosunku do „Książki Pamiątek“... jak wymówka, lub z francuzka mówiąc, jak exkuza do winy, a subtelność do prostej prawdy.

— Mylisz się — w takim stosunku, jak usprawiedliwienie do niemożności, a niemożność do słusznego powodu. — Istotnie „Książka Pamiątek“ daleko więcej biograficznych niż powieściowych obejmuje żywiołów. Gdyby szło o powieść tylko, łatwiejby mi przyszło według pewnych wymierzonych linii drugie niedomierzone nakreślić. — Cuvier z jednego zęba wywnioskował całą postać mammuta, kto powieści czytuje, z jednego szczegółu potrafi niezawodnie cały plan artystycznego rozkładu zdarzeń odgadnąć i gdy tego trzeba odpadle cząsteczki dorobić — lecz biografii, tej biografii, co się upadkiem, lub podwyższeniem władz mo-

ralnych tłumaczy, téj, co nie dzieje, lecz postępy, wrażenia, uczucia ludzkie rozwija, téj nikt się domysłuć nie może i nikt bezkarnie dopisywać nie powinien.

— Przypuśćmy, że masz słuszość, ja cię pomimo tego od dokończenia „Książki Pamiątek” uwolnić nie mogę — Dość długo przecież jej rękopism był w twojem ręku, jeśli nie głośno z ukochanemi, to po cichu sama z sobą do ostatniej kartki pewnie go odczytać musiałaś; przypomnij sobie teraz, co tam było w dalszym ciągu.

— Przypomnij sobie!... przypomnij!...jako prędko się drugim dysponuje! — a wiesz ty, że między chwilą obecną, i chwilą w której straciłam ten zwitek papierów killkanaście lat już przepłynęło? — a wiesz ty, co ja przez owe lat killkanaście robiłam? nad czém w duchu pracowałam? do czego wdrożyłam całą naturę moją? — Oto najpierw, nierozglądałam się nigdy w jednostkowej przeszłości mojej. — Żeby ludziom przebaczyć, żeby Pana Boga nie obrazić, żeby nie zgorszyć, nie skłamać, nie zniechęcić się, nie zaszkodzić, nie zbluźnić, nie rozmazgać się, nie upaść — żeby iść naprzód, a jeśli nie naprzód, to chociaż, żeby iść co raz, co raz dalej, żeby dożyć, a jeśli nie dożyć, to chociaż żeby doistnieć, dotrzymać, dociągnąć po dzień dzisiejszy, żeby mniej grzeszyć i mniej cierpieć, ja nigdy w tył się nie oglądałam. — Wszystkie zdolności moje, wszystkie władze mej duszy ku temu skierowałam, żeby się zapominać nauczyły — i powiodło mi się doskonale — nie pamiętam niczego. — Zła, czy dobra metoda? nie ma dziś żaden trybunał dostatecznej na rozsądzenie powagi, bo przed żadnym nie mogłabym jeszcze z obronnemi artykułami i wyszczególnieniem łagodzących okoliczności „circonstances atténuantes” wystąpić. — Wierz mi tylko, że zapomniałam — zapomniałam, co kto mówił do mnie —

gdzie i kiedy widywał się ze mną — jak i o kim opowiadał — ile przyrzekał, ile czynił — za czem się ujmował, przeciw czemu powstawał z oburzeniem — komu był przyjacielem, komu wrogiem. Ach! niechaj śpią w pokoju dawni znajomi moi.... żadnego z nich nigdy nie upokorzę, nie zawstydzę, na niekonsekwencyi, lub na kłamstwie wierutnem nie schwyćę.... bo zapomniałam! zapomniałam! Lecz niestety! i dalszego ciągu „Książki Pamiątek” zapomniałam także. — Z początku byłam pewna, że temu prędko da się jakoś radę — przysztukuje się trochę fantazyi, rozsmaruje trochę atramentu i biografię na powieść, długi szlafrok na obeisły kaftanik przerobi. — Wzięłam tedy jeden arkusz, zapisałam — podarłam; wzięłam drugi, podarłam — wzięłam piąty, dziesiąty, podarłam — Myślałam przez dzień jeden, myślałam przez dzień drugi, przez piąty i dziesiąty — myślałam przez trzy miesiące, a doprawdy myślałam pracowiej, sumienniej niż nad pokierowaniem własnej historii, niż nad planami najważniejszych dla mej osobistości przedsięwzięć, niż nad wszystkimi listami i powiastkami jaki mi się dotychczas napisać zdarzyło — I cóż powiesz?... niczego, a niczego wymyślić nie mogłam — To, co byłabym chciała przyczepić z własnego natchnienia, razilo szkaradną dysharmonją z tem, co już niegdyś wydrukowane zostało — Teraźniejszy sąd mój o ludziach nie mógł się w żaden sposób doстроить z sądem i opisami wyprowadzonych na scenę indywidualności, zawsze był to o pół tonu wyżej w zasadzie, to o całą kwintę niżej w szczegółach, faktach, rozmowach apostrofach!... Łamałam sobie głowę, biedziłam się na próżno. — Widzę, że nie podolałam zadaniu — „Książkę Pamiątek” pisał człowiek z wiarą w siebie i w drugich — jego krytyka nawet była uwzględnieniem, jego skarga na-



iczną wymagalnością. — Kiedy przeciw złemu piorunował, to się ohyda z poddźwiękiem mimowolnego zadziwienia mieszała — Kiedy się nad czym entuzyazmował, to mu kretowiny z łąk zielonych, amerykańskiej Kordyliery dosięgały wierzchołków — Kiedy czego zapragnął, to mu się, jak żółw' Chińczyków, do podtrzymania świata koniecznem zdawało — W najnierówniejszych wyrazach, tegoż samego używał iloczasu, kładł przycisk na nie równiuteczki — czuł w sobie płomień życia i tym płomieniem wszystko illuminował do koła — stoczki, lampy, kandelabry balowe, szabasówkę, pochodnie, kinkiety! Oh! ja dzisiaj tak pocziwie nielogiczną, tak bezświadomie rozrznąą bydź już nie potrafię — Muszę sobie i wydawcy i czytelnikom stanowczo oświadczyć, że „Książka Pamiątek” nigdy, nigdy, a nigdy skończoną nie będzie!

— Nie oświadczaj — „Książka Pamiątek” skończoną bydź powinna i skończoną bydź musi. — Ty mnie pytałaś, czy wiem jak długie lata od jej zawieszenia przeplęły? Czy wiem coś przez ten czas robiła, myślała, czuła? — Ja się nawzajem spytam, czy wiesz co to jest publiczność? czy wiesz, że przed tłumną zarówno jak przed nie liczną, każde słowo rzucone jest wexlem na osobistą odpowiedzialność wystawionym — kto wexlu nie spleca.....

— Tego do kozy pakuja, — więc gotowa jestem — wolę w kozie siedzieć, niż pisać bez myśli i właściwego usposobienia.

— Bardzo wierzę — ale w tej sprawie o coś ważniejszego niż o karę chodzi. — Kto wexlu niespleca, ten zły przykład daje i kredyt ogólny psuje. — Właśnie dla tego, że dzisiaj między publicznością, a pojedynczemi osobistościami wszystkie władza tak haniebnie się rozpuściły, właśnie dla tego, że wzajemne poszanowanie osłabło, wzaje-

mnę prawa się zachwiał, że czujność sumienia pod tym względem coraz bardziej drętwieje, że jawność udowodnionych pretensyi coraz więcej się lekceważy, właśnie dla tego, rzetelniejszą niż kiedykolwiek, uważną aż do drobiazgów, pilną aż do pedantyzmu, ty bydyś powinnaś Gabryello — Zaiste „Książka Pamiątek” sama przez się nie nie znaczy — jeden tom więcej, albo mniej w księgarni, nie z bogaci i pewnie też nie zuboży literatury naszej, — lecz w stosunku do zasady, w stosunku do uznanej przez ciebie prawdy „Książka Pamiątek” znaczy zawsze jawnie wypowiedziane przekonania, znaczy imieniem twojem podpisaną współkę z autorem. — Możesz mnie zbyć lada odczepką i lada egoistycznym wykrzyknikiem, żeś zapomniała!.... ja cię zrozumieć nawet — Nie obrażę się, gdy mi ciśniesz zuchwale na głowę te słowa: „czy wiesz ty, co ja robiłam?....” ale publiczność....

— Zbyt szumnego używasz wyrazu.

— Nie, wyraz jest najwłaściwszy — choćby tylko jeden człowiek przeczytał to, co za pomocą pras drukarskich wszystkim do czytania podałaś — już ten człowiek względem ciebie, publicznością — już on przedstawia istotę moralną, zbiorową, uświęconą, istotę, w której służbę się zaciągnęłaś, której cerograf na siebie wydałaś, której się nie odejmiesz, póki się nie odejmiesz najświętszemu życiu obowiązkom — No, nie przybieraj tak ironicznej miny, niech ci się nie zdaje, że przez publiczność rozumiem tutaj gawiedź ciekawą, lub koteryjki plotkujące, choćby i literatów współcechową rzeszę, — nie — nie — Gabryello: publicznością twoją są ci, których miałaś na myśli, gdyś pierwsze kartki znalezione go rękopismu ogłaszać zaczęła — publicznością twoją ci, z którymi jak chleba kawałkiem, chciałaś się każdym spostrzeżeniem, każdą

nadzieją, każdym zamiarem podzielić — publicznością swoją, cała massa takich, dla których wszystko, co było najlepszego w twojej duszy pragnęłaś na wspólny oddać użytek, ku wspólnej zaprzędz pracy, do wspólnego przyrzucić majątku. — Tej publiczności nie traktuje się tak hardo, nie odprawia się jej z kwitkiem. — Ta publiczność ma prawo pytać, co robiłaś i czego dorobiłaś się nakoniec? — Przed tą publicznością, musisz złożyć swój bilans, musisz objaśnić wszelkie w obec niej wygłoszone słowo — musisz odpowiedzieć każdego zdania wynikłość... I czemuż tak posmutniałaś znowu?....

— Posmutniałam, bo czuję, że słusznie mówisz, a nie czuję, bym przez to zdolniejszą do pisania po autorsku się stała. Cóż ja temu winna? „Krzycz, wrzeszcz jak czajka, nie przyjdzie bajka.”

— Nikt też się bajki u ciebie nie dopomina — w prawdzie tylko zadłużyłaś się ludziom — prawdą uścić się trzeba. — Według twojego zeznania „Książka Pamiątek” jest biografią, nie powieścią; zapomniałaś jej ciągu, nie pamiętasz szczegółów — a rozwiązania ostatecznego w wyobraźni swojej znaleźć nie możesz. — Mniejsza o to, podobne rzeczy dość często wielu innym zdarzają się ludziom — jednak temu nie zaprzeczysz Gabryello, że gdy pierwszy raz do czytania tej biografii przy kominkowym ogniu zasiadłaś, była ku temu jakaś w twojej duszy przyczyna; gdy sama ją odczytywałaś, był jakiś z jej stronnic wyciśnięty twojej własnej rozwagi wniosek — Otóż daruję ci wątek naracyjny, daruję zaspokojenie mej ciekawości względem losu krążących w Książce Pamiątek pseudonymów, ale tego wyrobu twojej krytyki, tego sensu moralnego, tej zasady, co ją sobie stawionemi przykładami objaśniałaś — darować ci nie mogę. — To już nie do cudzej zapomnianej, tylko do twojej



własnej, za którą odpowiedzialna jesteś biografii należy — Mam prawo upominać się o to — Musisz mnie i nam powiedzieć, jakie wrażenie na tobie znaleziony rękopism uczynił? Jaką cię myślą przeczytanie jego z bogaciło? W jakim celu z nim na wieczornych wystąpiłaś zebraniach? Tego wszystkiego nie wolno ci było zapominać.

— Ja też to wszystko pamiętam dotychczas — rzekłem po chwili głębokiej zadumy. — Tak jest — wrażenie, myśl i cel pamiętam — lecz wrażenie się zmieniło — myśl dalszych zastosowań nie wytrzymała — cel uznałam pomyłką.

— Nie mniej wszelako ruchunek z nich przed „twoją publicznością” złożyć jesteś obowiązana — dalej więc, śmiało, przyznaj się najpierw jakie było wrażenie.

— Okropnie smutne — aż się dusza zamąciła. W początkowych rozdziałach spotkałam osobistości pocziwe, natury wcale zamożne, dążności zupełnie sympatyczne — przy końcu, wszystko to razem łamało się, krzywiło, cierpiało, ginęło — Helusia najlepiej jeszcze wyszła, biała duszyczka uleciała w nieskończoność, biała lilijka na zielonym zakwitnęła grobie — ale ten biedny Ludwik! dostał rozdrażnienia nerwów i lekarze go do Ostendy wyprawili; jestem pewna, że w Ostendzie się zaznajomił... no, co mędo tego z kim się zaznajomił... nie on sam o tem w swoich wspomnieniach nie pisał — pisał natomiast bardzo wyraźnie, że Marya-Regina skamieniała — artystka, piękna, dumna, zrobiła się skąpą gospodynią dziwaczego ojca i rozrzutnego brata. Romuald po śmierci Helusi zaczął się coraz gorzej łotrować — widziano go pijanym przed południem, a nieumytym po południu nawet — Kazimierz niby wierzchem w tej ogólnej powodzi płynął, lecz płynął samotny i gdzieś daleko samotny się rozbijał — A dla

czego? dla czego? pytałam wtedy srodze zniechęcona — Dla czego całą ową gromadkę prąd życia ku boleści i zepsuciu niesie? Jest-li to groźbą? sarkazmem? przestro-  
gą? Nakoniec zdawało mi się, że dosłodziłam prawdy — Wspomnienia Ludwikowe przestro-  
gą bydlę miały — i on i wszyscy do koła niego jeden, tenże sam właśnie popełnili występki — Helusia rozstała się z Romualdem, bo Romuald zatrul życie jej pierwszej ukochanej — Ludwik na wieki Maryą-Reginę pożegnał, bo jej śmierć Anny-Klary i Helusi przypisywał — Marya-Regina oderwała skłaniające się ku Ludwikowi serce, bo w jej przekonaniu prawnym obowiązkiem niewieściego uczucia, był wybór i uznanie najlepszości w wyborze, — ona tak dla swej pychy, czy dla swego rozumu ideału najlepszości potrzebowała, jak Romuald do podparcia swej niemocy, do utrzymania swego charakteru kochającej i kochanej potrzebował kobiety — Kazimierz pobłdził tylko zbyt surowym sądem, pobłdził zbyt nielito-  
śnem przeciw sobie męstwem, ale pobłdził także — i choć zaszedł najdalej — nie zaszedł tam gdzie dojść pragnął — Jak widzisz, wszyscy mniej więcej, przeciw miłości zgrze-  
szyli — jedni ze zbytku sentymentalnych skrupułów — drudzy z teorii, lub z niedołęstwa, lub jeszcze ze źle zro-  
zumianej cnoty — A więc.... proszę jednak pamiętać — co się mówi, to się mówi wedle dawniejszej o lat kilkanaście przeszłości — a więc, taki sobie sens moralny zdobyłam, że nigdy nikt miłości wyrzekać się nie powinien. — Kie-  
dy przy kominkowym ogniu wznowiono o tem rozpra-  
wy, ja wzięłam pełną żywych i żyjących pamiątek Książkę Ludwika, a wzięłam do głośnego odczytania dla tego je-  
dynie, by na końcu powiedzieć: — „Patrzcie, co się z te-  
mi ludźmi stało — tak i wam będzie gdy własnemu sercu skłamięcie — Wam się zdaje, że miłość wyłączna, że u-

kochanie tej, a nie innej istoty od dowolnych rozporządzeń waszych zależy — nie jesteście pewni, czy skłonność podobna jest przypadkiem, czy upadkiem, szumowiną czy mętem? — Ona jest przecież wielkim darem Bożym, jest aniołem który raz na rok — raz na całe życie wasze do serca zstępuje i drzemiące wody tej martwy sadzawki Bethsaidy porusza. — Jeśli ukrytych na dnie szatanów nie wyrugujecie, to może jeszcze miłosierdzie Pańskie wam przebaczyć — ale jeśli dobrowolnie odpędzicie anioła, przez kogoż Bóg was uratuje potem? — Wiem, że jest pełno udania i fałszu — pełno niedokładności i pomyłek — tylkoż właśnie fałsz i udanie — pomyłka i niedokładność wszelka silniej do duszy przywiera zupełnie ją wyczerpuje — z namiętnością téż ludzie nie walczą; zajmującej fantazyi nikt porzucić nie chce — a byle nad wiecznością, prawda uczucia zaświtała, tak łatwo nam oczy zamknąć! tak łatwo w inną stronę spieszny krok skierować! — Oh! bardzo łatwo — Miłość jest siłą, miłość ukrzepia, ośmiela — uzbraja — Miłość tak wzmacnia, że samą siebie zwyciężyć jest zdolna i my szaleni korzystamy ze zdolności owej. — Zamiast cobyśmy objawiającej się potęgi użyli na ogarnięcie ziemi i nieba — na pokonanie piekła i niepokoleństwa — na stworzenie ideału i doskonałości — My jej używamy, na jej samej zniszczenie. — Powiedźcie najdrożsi moi, czy z was kto widział kiedy zalotnicę wypuszczającą ze swych szponów ponętą ofiarę? czy widział mazgaja rozstającego się ze zgubną dla swej duszy i dla worka swojego czarownicą, czy spotkał opętaną kłamstwami diaboliczną, któraby przed głosem zwodziciela uszy sobie zatknęła? — czy zakochana w rozpustniku dziedziczka, dała się kiedy o nikczemności posagowego łowca przekonać? Nie, nigdy — przeciw takiem skłonnościom i przywiąza-



niom nie ma energii, oporu nie ma żadnego — Ale gdy czasem, czasem... bo to arcy-rzadko bywa i mało kogo spotyka — gdy czasem kwiat paproci rozkwitnie — anioł do Bethsaidy zstąpi — zorza, słońce słońce błysnie i miłość prawdziwa do nieśmiertelnej duszy zawita wspomnieć jedynie, że ona przeszkodą w natchnieniu, niewygodą w rodzinnych stosunkach — że się papie, mamie, stryjowi, wujowi, siostrze, bratu, cioci, nie podoba w mgnieniu oka poświęcenie gotowe. — Przyjaźń częstuje się, ofiarą miłości; rozsądek zaświadcza się, ofiarą miłości; karyera ubezpiecza się, ofiarą miłości, wykształcenie zdobywa się, ofiarą miłości — Zawsze i wszędzie, w każdym zdarzeniu ważnem i fraszce nie ważyj, najłatwiejszą, najprędszą bywa, ofiarą miłości. — Samsony dają sobie długie włosy obcinać — udarowane wieszczek chrzestne dzieci wyrzucają za okno kosztowny talizman i później dziwią się na iwnie, że — nie mówię zawór utwierdzonych, żelaznych bram miasta podważyć i wiaść na plecy — lecz najprostszej furtki, najokropniej sprężyniałej rogatki po drodze swojej uchylić nie mogą — dziwią się dla czego, ani familii lepiej się nie powodzi, ani im samym nie weselej na świecie? dla czego pomysłów, tryumfów, arcydzieł w ich życiu nie przybywa? Zapominają biedni, że przez odstępstwo jednej prawdy, wszystkim prawdom się sprzeciwili! Nie rozpromieni szczęściem do koła, kto sam w głębi swej piersi własnego szczęścia nie świeci gwiazdeczką — nie nakarmi, kto sam głodny; nie nauczy, kto sam bezwiedny; nie wesprze, kto sam bezsilny; nie stworzy, kto sam umarły. Bez miłości nie ma rodzin, nie ma mistrzów, nie ma bohaterów, nie ma artystów — a gorzej jeszcze z miłością zaprzeczoną w czyjejś przeszłości! — bo z taką są w dalszem życiu, dziwacy, skąpcy, systematycy ka-

mienni, łzami przesiąknięte gąbki, woski szkaradnych odcisków biorące piętna — są pijacy, niedołęgi, zbrodniarze — lub trupy!... — Otóż ja temi słowy chciałam się niegdyś przy końcu „Książki Pamiątek” odezwać.

— I czemuż dzisiaj nie odzywasz?

— Bo dzisiaj wiem z pewnością, że zaprzeczona, czy uznana, podzielona czy odparta, skojarzona czy rozbita — każda miłość z lat koleją, choć innemi ścieżkami u tegoż samego punktu błotnistej rozłogi staje. — Wszakże miałam czas w różnych przerobach, najróżnorodniejszych jej gatunków się rozpatrzeć — Lat kilkanaście!... pomnij tylko, lat kilkanaście!...

— Tak jest, pojmuję — Te lat kilkanaście fatalnie jakoś usposobiły cię do sarkazmu i do mizantropii.

— Ani do sarkazmu, ani do mizantropii — Owszem, nigdy może więcej uwzględniającą, szczerzej wyrozumiałą nie byłam, a zwłaszcza dla tej garstki znajomych Ludwika — ah!... i dla tej garstki moich znajomych także. Codziennie widzę tłumy stokroć występniejszych, lecz o połowę przynajmniej szczęśliwszych, o ćwierć przynajmniej użyteczniejszych ludzi — widzę morskich korsarzy jak świetnie do wspaniałych portów zawijają — widzę raz po raz jak skalaném ręką udaje się cegielkę do najtrwalszej budowy przyrzucić — widzę szachrajów zbagaconych i przestających szachrować — widzę nikczemnych pod przymusem opinii publicznej wdrażających się zwolna we wszystkie obowiązki człowieczeństwa — widzę egoistów, którym okoliczności ich własny interes do rydwanu ogólnego dobra przyczepiają, — widzę masy ulepszeń, poprawek, instytucji korzystnych, wznoszące się na masach obłudy, próżności, kłamstwa, niechęci — a biednym Ludwika przyjaciółom nic się nie wiedzie — nad każdym

ich usterkiem ciężka wisi kara — dla żadnej ich cnoty nie ma zastowania na świecie — przedsięwzięcia nie dojrzewają, zapal stygnie, wytrwałość się zniechęca, życie całe jako prawdziwa rzeka z góry na dół ciągle płynie — Wypadki i skłonności, złe i dobre jednakowo zupełnie ku chemicznemu rozkładowi dąży — Ten się chwieje dla tego, że ubogi, tamten drętwieje dla tego, że bogaty — We-  
 soła pomyślność osuwa się nieznacznie w samolubstwo bezczynne — ci, którym ciężka dola ramiona ugniata, siadają, niby żebraki pod krzyżem przy drodze i świecą swemi łachmanami, lub oburzają swoim próżniactwem — Głupcy, marnują swoją swoją pracę; rozumni marnują się bez pracy. Nad wszystkimi straszliwa zda się klątwa zepsucia lub nieużyteczności zawisnęła — Oh! i ja byłam w Arkadyi! — znałam pasterzy i pasterek twarze jasne radością, wzajemną ukochania — chciałam wrócić na te łąki, chciałam odpocząć przy nich w gaju zielonym, nad kryształowym strumykiem — łąk ani śladu — gaje wyrąbane, strumyki wyschły już do dna — a co się z twarzami stało? — twarze tak znudzone i cierpkie jak gdyby je spekulacya, a nie błoga sympatya obok siebie ustawiała — lub tak zakłopotane, utrudzone, tak sobą tylko zajęte, jak gdyby świętość uczucia żadną łaską sakramentu na wspólną nie zaopatrzyła ich pielgrzymkę, jak gdyby skarby entuzjazyzmów, uniesień, zachwytów żadną nie były obciążone względem społeczeństwa odpłatą. — Co się stało ze szlachetnemi serc młodych chęciami? w czym się ziściły zamiary pocziwe? jaka dziś jest różnica między kolegami, co to od ławek szkolnych na przeciwne niby porozchodzili się drogi? Jedni gonili za posągami i wziętkiem, za znaczeniem i próżnością światową — drudzy z gatunku owych strzelców balladowych — chożych i młodych na



progu swego zawodu jak w Mickiewiczowskim lesie, „przy-  
 klękli wszyscy, wzięli w dłoń piasku — piekielnej — ha!  
 i niebieskiej — wzywali potęgi — Kleli się przy srebrnym  
 księżycu blasku — Czyż dochowali przysięgi?...” Oto la-  
 da świtezianka, lada ognek fosforyczny na moczary, na  
 bagna ich zawiodły — zblakali się, ubłócili, połamali  
 wszystkie kości — Jeśli teraz pierwsi ich towarzysze, o-  
 twarcie z zachowawczemi występujący doktrynami na po-  
 rzadniejszych nie wyszli obywateli — no, to przynajmniej  
 bliźnięco upodobniły się ich szeregi — i tu — i tam —  
 martwota! — Lecz ja ani zmartwiałym, ani rozkruszonym,  
 ani zepsutym, ani niepoprawionym, ani wszelkim innym  
 upadłym, zawodnym, kamienia potępiającego na głowę nie  
 rzucę. — Może ci się zdaje, że nie mam prawa, bo sama  
 lepszą nie jestem? Zaiste, nie mam prawa lepszości, pra-  
 wa sędziego — ale mam prawo odwetu, i dałoby się to  
 nawet powiedzieć, tylko wyraz zbyt pogański.. Mam pra-  
 wo zemsty! W ogólnej upadłości ogromne, na różnych  
 bankach poumieszczane summy, bezpowrotnie mi przepa-  
 dły — z ubożałam oto wszystko, co wszyscy moi stra-  
 cili — Ja pomimo tego jednak nie skarżę ich przed Pa-  
 nem Bogiem, nie wodzę się z nimi po trybunałach — za-  
 płacę nie raz nad ich i swoim losem — serce mi wzbiera  
 bolesną litością i gdy się gorzki wyrzut do ust czasem  
 tłoczy, to — Panie odpuść mi... — Wolę zgrzeszyć przed  
 Tobą, niżeli im złorzeczyć — Ot, myślę sobie, w Ludwi-  
 ka otoczeniu nie było przecież skażenia wywołującego  
 piorun Najwyższej Sprawiedliwości — po większej części  
 nawet były chwalebne i odważne choć nieskuteczne zry-  
 wania się ku cnocie, były z Damona i Pytyasa naślado-  
 wane heroizmy, ascetyczna była tu i owdzie przesada —  
 lecz to wszystko razem, choćby stokrotnie zasłużyło na

próbę cierpienia, jeszcze od chłosty najsroźszej, chłosty moralnego upadku wolnem być powinno. — I dla czegoż ta właśnie oszczędzona im nie została? Dla wad, grzechów, ułomności?... Wady, grzechy, ułomności właściwego postępu nie tamują nigdy — jako pewna konieczność i nieoddzielność ludzkiej natury, w wielu swoich kombinacjach pomagają do niego nawet. Ze szkodliwemi walczyć, zbyt rozwinięte wypleniać, za nikczemne wstydzic się trzeba — Taka praca poprawcza już sama przez się połowę postępu stanowi — a prócz tego wady, grzechy i ułomności do przyrzędu maszyny społecznej zręcznie zastosowane naprzód ją pędzą także niepohamowanym rozpędem — tylko tu, w mojej okolicy inne prawa, inny rozwój biograficzny! Złe się nie poprawia, dobre się psuje — szermierstwo siły wycieńcza, rezygnacya ducha nie wzmacia — byle nieroztropność, to śmiertelną chorobą grozi, byle katar letargiem — ocet z żółcią smak przytępia, a cukier z miodem rozmdławia — nie możemy stosownych dobrać sobie pokarmów — i kuracye szkodzą i cierpliwość nie leczy — A dla czego? dla czego, mój Boże? pytałam znowu po tych latach kilkunastu, jako przed temi latami pytałam — Dla czego szczere intencye, wiacher po śmieciach rozrzuca? Dla czego wypadki losu szydzą z tych, co ku pięknu, lub wielkości wyciągną ramiona? Dla czego wszelkie indywidualne zwycięstwo silniejszych rozbraja, a kropla pomyślności słabszych nie krzepi, mniej hartownych nie ożywia? Dla czego ruchliwa pracowitość materjalizmem, a idealna bujność wyobraźni zniechęceniem, lenistwem się kończy? Dla czego wszystko, krótko mówiąc, wszystko jest ciąglem niebezpieczeństwem, boleścią lub trucizną?... Boże mój! Boże! daj mi zrozumieć, bym Imienia Twojego nie brała nadaremno... I sko-

ro tylko myśl ku Bogu wzniosłam, wnet niepojętość się wytlomaczyła, zakręty manowców wyprostowały się przedemną — Już wiem, już wiem dla czego?... Nie bawię się po dawnemu w subtelności romansowe, nie prawie moim słuchaczom o braku szczęścia, o braku uznanej miłości — o zorzach na niebie i archanielskich wizjach — czuję że gwałtowniejsze cisną nas potrzeby, rozpaczliwsza dokucza nam nędza. — Żeby kiedyś szczęśliwi mogli bezkarnie szczęścia używać — żeby kiedyś zakochani kochać wzajemnie i święcie umieli — to im brakuje czegoś więcej niż tkliwych spojrzeń i pieszczot miłosnych, czegoś więcej niż szczebiotania dziatwy rozigranej — czegoś więcej nawet niż zdolności umysłowych, niż szlachetnych popełdów — niż majątku, niż poczeiwości, niż zdrowia.... im przedewszystkiem brakuje.... Ale czyż to mój obowiązek przypominać najprostsze katechizmowe dogmata?.... czyż każdy sam o sobie i sam w sobie wiedzieć nie powinien, co mu jest do zbawienia duszy najpotrzebniejsze? Mamże koniecznie powiedzieć czego mu brakuje?...

— Nie, nie powiedaj — zbyt prędko gniją cudzego morału owoce — własnem tylko szukaniem znaleziona prawda leczy i wspiera, bogaci i oświeca — Nie, nie powiedaj czego im brakuje — niech sami sobie szukają.....

— I niechaj znajdą sami, co daj Boże! Amen.

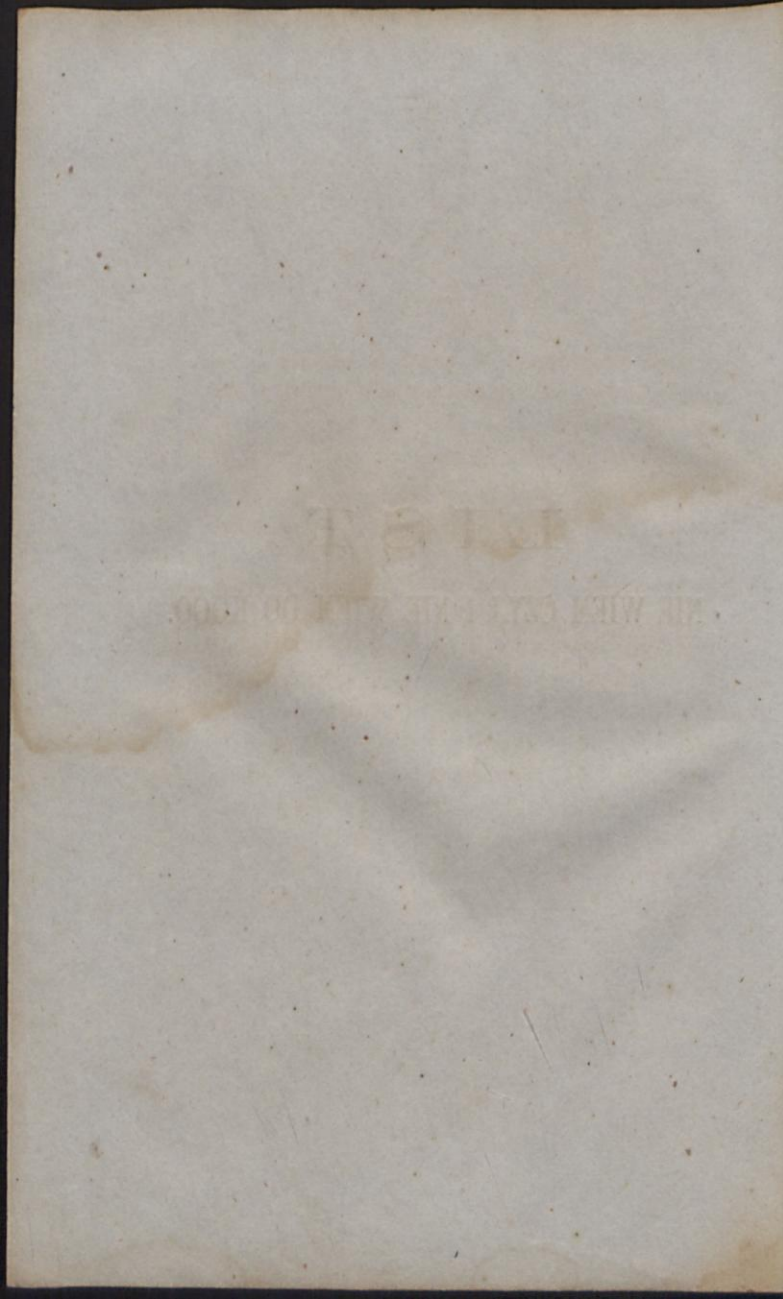
---





# LIST

NIE WIEM CZYJ I NIE WIEM DO KOGO.





Ustęp niniejszy był drukowany w Bibliotece Warszawskiej jako *wyjątek z domowego dzienniczka*, bo Redakcyja zmieniła tytuł i stosownie do tej zmiany całe zakończenia obciąła, dla tego podobno, by mi upokarzającej triologii oszczędzić. — „List nie wiem czyj — nie wiem do kogo” toć lada rozweselony czytelnik mógł zaraz: „i nie wiem o czém” dorzucić. — Powinnabym z wdzięcznością, jak się zdaje, utrzymać łaskawej Redakcyi poprawkę — a przecież, zuchwała i uparta, wystawiam się na wszystkie żarty, sarkazmy, krytyki, wszystkich dowcipnych lub niedowcipnych, bystrych lub niedomyślnych czytelników i do pierwotnego wracam tytułu — gdyż kartki po nim następujące rzeczywiście były *listem* nie zaś *wyjątkiem* z żadnego domowego dzienniczka. — Jeśli autorka listu nie wiedziała o *czem* jej się w nim napisało, to ja nie — autorka, wiedziałam doskonale *czemu* rzecz napisana, drukiem wówczas ogłosiłam i wiem teraz nawet, *czemu* jej właściwą formę listu zachowuję.

---



## L I S T.

    Bądź pokorną przed Bogiem, a meżną przed ludźmi, Elżbieto: doktor nie ma już prawie żadnej o Lucyanie nadziei. Raz jeszcze jutro spróbuje sondę zapuścić, ale wątpi, czy znajdzie tę kulę nieszczęsną, która zdaje się coraz dalej usuwać. Chory tymczasem nie traci przytomności, spokojny jest, cierpliwszy niż był kiedykolwiek w pełności sił i zdrowia, gorączka nawet nie zachwiała sił jego umysłowych; owszem podniosła je nieomal do stopnia natchnienia i jasnowidzenia! Mój Boże, jakiż to zapas siły w tym organizmie!... Poczciwa Milcia ustąpiła Lucyanowi własnej izdebki, ostatniego zakątka, gdzie sama czasem wypocząć mogła na chwilę. Nie jest to jeszcze cichość pożądana i zupełna, lecz w obecnem położeniu jest za co Bogu dziękować, że się i takie schronienie znalazło. Pokoik wprawdzie nie wielki, ale dość wysoki, czyściuteczko biały, okno na ogród wychodzące, przy łóżku w głowach czarny z lekarstwami stoliczek, a w nogach krzesło, na którym zawsze ktoś z przychylnych siada i czuwa. Chciałabym ci temi drobnymi szczegółami osłodzić nie na dzisiaj, ale na kiedyś stratę, którą poniesiesz. Już cię gdy lata, lata miną, gdy mniej z boleścią, a więcej ze wspomnieniem żyć zaczniesz, błogo ci będzie pomyśleć



że twój Lucyan, wśród pogodnych i dobrych wrażeń umierał, że mu nie brakło na pożegnanie ani światła, ani powietrza, ani widoku rodzinnej ziemi, ani starań tkliwych przyjacieli. Pojmuję, że teraz wszystko ci jeszcze obojętnem będzie: uczujesz żal jakiś rozpaczliwy za szczęściem co z twego życia odpada, jak ja go czuję, ciągle za ubytkiem piękna i dobrego, które dla świata ginie. Później dopiero, może się obie nieraz pocieszymy, że twój ukończony a mój piękny i dobry, odszedł sobie w pokoju przed jakąś chwilą wielkich boleści, gorzkich zawadów, prób ciężkich i doświadczeń nad siły człowiecze. Tobie dziś trudno przypuszczeniu takiemu dać wiarę: ja ci mówię, jednak, ja, dwa razy wiekiem starsza i świadomsza wszystkich żalów serdecznych, ja ci mówię, tak bywa najczęściej. Płakałam tylu drogich zmarłych moich szczerem nientulonym płaczem, i zawsze prędzej czy później, musiałam ręce złożyć, a Bogu dziękować, że już nie ma ich ze mną!... Przyjdzie godzina w której się pewnie także śmierci Lucjana smutnie radować będziemy. — „Ach jakie szczęście że on tego nie dożył, że on tego nie widzi, że jemu to przynajmniej oszczędzonym zostało!..”

Zobaczysz Elżbieto, mimowolnie kiedyś powtórzysz słowa podobne, masz prawo nie wiedzieć o tém, lecz ja wiem; tylko, z tej całej wiedzy i mnie jakoś hartu nie przybywa; tak cierpię, tak się moczuję z koniecznością, takbym chciała wydrzeć zniszczeniu ten piękny obraz Boży, jak gdybym miała dla niego przyszłość najświetniejszą i najwygodniejszą na ziemi miejsce. Oh! bo Lucyan jest rzeczywiście „pięknym” obrazem Bożym: im więcej rysy jego się zmieniają, tém więcej rys każdy uwydatnia się w duchowej prawdzie swojej i ze śmierci nieśmiertelnym wybija pierwiastkiem.

Widziałam go przed miesiącem, zdawał mi się tylko trochę wyższy, trochę przystojniejszy od innych młodych ludzi, którzy mój salonik napelniali wtedy. Zapytana o niego wątpię nawet, czy byłabym umiała komukolwiek charakterystycznie go opisać; dzisiaj już pewną siebie jestem, że nie zapomnę nigdy tej twarzy na rzymskich zdaje się kościach czysto-słowiańskim ciałem powleczonej; gdyby ją w profilu suchym odznaczyć konturem, toby kto myślał, że z jakiego medalu przed cesarowych czasów rysowana; kontur wypełnić tylko cieniami i kolorytem, nikt się już nie omyli, że syna poczciwych naszych Piastów wizerunek. Czoło, znać jeszcze rzymskie, gładkie, trochę niby dumne, nad brwiami wzniesione lekką wypukłością, nos rzymski także, w przejściu z orlego na cudny typ grecki, jak gdy niegdyś drapieżne zbiegi Romula na rycerskich przerabiał się Scypionów; ale usta, ale oczy, ale całe wypełnienie czystego twarzy obwodu, to bezzapreczenia, to zupełnie nasze Elżbietko. Usta mają takie rzewne a serdeczne uśmiechy, taką dzieciinną czystość w swojej pełni, taką prostotę w swoim rozwarciu; oczy mają takie błękitne spojrzenia, a takie ciemne źrenice.— Nie domyślałam się nawet podobnego wzroku, bo to nie owa hardość i przenikliwość bystrych promieni dyamentowego kalejdoskopu, ale trudno powiedzieć: na mnie oczy Lucyana robią wrażenie gwiazd z głębokości przepaścistej świecących; im więcej się pochylić, im więcej spojrzeniem w ich spojrzeniu zanurzyć, tém one coraz jaśniejsze, coraz spokojniej we własnej światłości utkwione, a dalekie, a głębokie jak nieskończoność.

Wczoraj dopiero spostrzegłam się Elżbietko, że mimowolnie wszystkie dotychczas widziane obrazy i wszystkich prawie spotkanych w życiu ludzi, przyrównywał sobie

do tego młodzieńczego oblicza, które mi się stało już pewną miarą na ocenienie wartości, na wytłumaczenie prawdziwego znaczenia, wszelkich kształtów zewnętrznych. Gdzie czoło jest podobne, a brak podobnego uśmiechu, i spojrzenia, tam pycha tylko intelligencji, tam siła woli bez miłosierdzia; gdzie uśmiech i spojrzenie, a brak odpowiedniej kościstej podsady, tam miłość do słabości posunięta, lub idealność w rozmarzenie zapadła; trzeba koniecznie takiej zgody, jaką twarz Lucyana przedstawia, żeby do pierwowzoru najdoskonalszego się zbliżyć, ale też na to trzeba mieć i duszę Lucyana, co to niby z pogańskiej wszechwładzy i chrześcijańskiego czucia urobiona, w naszej przeszłości, Regulusowe uszlachetniła cnoty, w naszych boleściach z Katoniskiej rozmiękla twardości, naszemi ofiarami Maryuszowe spłaciła błędy. I pomyśleć że za dni kilka, za kilkanaście może godzin, garstka ziemi przysypie tyle jeszcze nieużytych skarbów, że ze szczupłej gromadki sprawiedliwych i poświęconych, ubędzie i to najgłodniejsze sprawiedliwości najchętniejsze do poświęceń serce, pomyśleć, że gdy co dzień rodzą się kalleki, potwory, samoluby, wydzierycy, tutaj umiera on — piękny i dobry, — on wyższych zdolności a miłującego ducha... Pomyśleć to i nie sarknąć... Nie sarknąć — broń Boże, Elżbieto — gwałtem sobie przypominać trzeba, że Pan i Ojciec nasz w Niebiesiech jest Mądrością i Łaską Najwyższą, tylko my nie zawsze mamy, nie ciągle pamiętamy nie odrazu pojąć jesteśmy zdolni. — Przyszłość dopiero objaśni, bo przez wieki wieków „Bóg się usprawiedliwia w sądach swoich.” Przecież czujesz, że tych słów z prostego zwyczaju nie piszę, mam niemi sama duszę przepełnioną, nie daję ci rady, ani pociechy; daję ci żywy przykład i kommunję spełnionego czynu, a niech ci się nie



zdaje żem obca, — więc téż obojętniejsza, — więc téż łatwiej się z wyrokami Najwyższego zgadzająca. Kto wie, czy mnie nawet nie trudniej jak tobie upokorzyć się przed niemi? — Ty tracisz własność swoją, — ty możesz w każdej chwili powiedzieć „oddalam,” ja tracę część wspólnego bogactwa, — i załamuję ręce, — bo najbliższem wrażeniem mojem jest to: że mi wzięto!..

List mój przerwałam gdyż Lucyan kazał mię prosić do siebie; zaledwie się zbliżyłam i przy łóżku stanęłam, popatrzył mi w oczy badawczo i spytał łagodnym głosem.

— Czy kto umarł znowu?

Spostrzegłam się dopióro, że mi łzy nieotarte po twarzy płynęły.

— Nikt dzisiaj jeszcze — odpowiedziałam pospiesznie.

— Więc na zadatek płaczecie po tych, którzy jutro umrzeć mają? — rzekł z uśmiechem w jednej wolnej ręce moję rękę ściskając.

Nie dla tego, by jemu wzruszenia oszczędzić, lecz dla siebie samej, by się w głos nie rozplakać, — chciałam inny dać naszej rozmowie kierunek.

— Ot, zwyczajnie, odpowiedziałam z udaną swobodą, pisałam listy, a zawsze jest więcej smutnych, niż pomyślnych wieści do rozdania. Czego to jednak było tu potrzeba?

— Ot zwyczajnie, powtórzył żartobliwie mnie prze-drzeźniając — leżałem sobie nie śpiący, a zawsze wtedy choremu więcej dziwactw, niż zdrowych myśli do głowy przychodzi, i mnie także zachciało się z łóżkiem trochę bliżej ku oknu powędrować.. Prosiłem posługacza, żeby tu pani zawezwał, a pani jako najrozsądniejsza i najwszechmocniejsza opiekunka moja raczysz mi to zachcenie z głowy wybić, lub zadość uczynić mu każesz.

Skłopotalam się okropnie, bo nie mogłam przewidzieć, czy jakkolwiek lekkie poruszenie stanu chorego nie pogorszy; jednak z drugiej strony tęsknota jego do powietrza i szerszego na świat boży widoku, tak mi się poczuć dała, jak gdyby mi z własnego wydarła się serca. — Lucyan odgadł zapewne jedno i drugie wrażenie, kiedy w namysłach stałam, on znów prosić zaczął.

— Jestem pewny, że mi to nic szkodzić nie będzie, a słońce zachodzi (tak pięknie — ztąd go nie widać, lecz pełno złota i purpury w powietrzu — czyż warto się pozbawiać takiej dekoracji dla... zatrzymał się i dodał po krótkiej rozwadze — dla trochę mniej lub trochę więcej bólu.

Poszłam się poradzić z chirurgiem, wezwałam kilku zręcznych pomocników i udało nam się, dzięki Bogu, łóżko bez żadnego wstrząśnienia przenieść — gdy już Lucyana dobrze koło okna ustawiono — cała twarz wyrazem ucieszył się i drzewom ogródka i tuż za ogródkiem płynącej rzece, ale najdłużej wzrok jego spoczął na ramionach drewnianego krzyża, który się trochę dalej wznosił przy zakrzywionej do sąsiedniego miasteczka drodze. Nic nie mówił bo znać lękał się, by z głosu nie poznano, że go trochę przenośna podróż umęczyła, łatwo tylko odgadnąć było może dziękczynną w myślach modlitwę, pobożne, a rokoszne w sercu uniesienie. Tymczasem wszyscy się oddalili, ja sama dla pilnowania chorego zostałam, przysunęłam sobie krzesło, usiadłam naprzeciw Lucyana, wydobylam z kieszeni moją podręczną robótkę i chciałam się nią zająć szczerze, ale robótka mimo wiedzy na kolana opadła, raz wzniosłszy oczy przed siebie, już ich spuścić ani odwrócić nie mogłam. W orzeźwiającem cieple majowego wieczoru Lucyan zdawał się powoli do sił przychodzić, oddech jego był coraz równiejszy, cera coraz czer-

stwiejsza, usta lekko pierwszej nerwowym bolem ściągnięte wypełniały się krwią i życiem, jak gdyby jeszcze pełen nadziei toast im się należał. Ujęłam ową nieprzybandażowaną rękę, która po mojej stronie leżała wyciągnięta, ręka była jędrna, miękka, niespocona, niezbyt sucha także, jak najwyraźniej gorączka zawisła na chwilę, prąd swobodnego ducha zranione ciało przenurtował i wskrzesił.

— Dobrze mi tutaj, ach jak dobrze! — zawołał czystszy i pełniejszy niż w całym biegu choroby głosem — oto mi są podarowane chwile w których prawdziwie warto i błogo umierać. No czemuż pani zaraz łyzy się w oczach kręca — a rozumna kobieta — a chrześcijanka...

— Niech mnie Bóg broni od takiego rozumu i takiego chrześcijaństwa, co pocziwe łyzy w oczach wysusza — rzekłam mu do spokojnego zmuszając się uśmiechu; gdybym nie zapłakała czasem na widok tyłu nieszczęść i klęsk tyłu — poczemże by mnie w dzień sądu ostatecznego anioł wskrzesiciel rozpoznał.

Lucyan znów się zadumał.

— Masz pani słuszność — odezwał się wreszcie; — są łyzy świadectwa, tylko ja bym chciał i pani i wszystkim moim, gorzkich łez żalu oszczędzić. Mówmy otwarcie, wszak prawda, że bliską śmiercią zagrożony jestem?

Nie starczyło siły na potwierdzającą odpowiedź: mocniej tylko trzymaną w dłoni dłoń jego ścisnęłam, i usta coś niewyraźnie o nadziei szepnęły.

— Wszak prawda, powtórzył z lekkim naciskiem — ja to już wiem, że prawda, ale czemuż wy, dobra opiekunko moja, razem ze mną do wspólki wiedzieć tego nie chcecie.

Tyle pewności i prośby zarazem było w tych słowach ostatnich, że nagle zrozumiałam całe usposobienie i wszystkie moralne potrzeby Lucyana, on chciał, póki mu wła-



dze umysłowe wiernie służyły jeszcze, z całą uroczystością ducha obchodzić wielkie swego przerodzenia święto; miałamże ja dziecinną troskliwość i kłamliwemi obietnicami, narzucać mu jakąś względną dla żalu mego obłudę? miałamże rozrywać skupiające się w jedną pracę myśli, żeby go niepewną możliwością życia, z najwznioślejszego piękna śmierci wydziedziczać! — Nie Elżbietko, na mojem miejscu byłabyś także znalazła odwagę powiedzieć, jak ja powiedziałem mu wtedy:

— Prawda Lucyanie, doktor zawyrokował wielkie niebezpieczeństwo, ale gdzie sztuki lekarskiej nadzieja się kończy, — tam się nadzieja chrześcijan zaczyna.

Oczy chorego zabłysły wszystkimi jasnościami duszy.

— Dziękuję wam za te szczere i religijne słowa — rzekł z głębokiem wzruszeniem — wyswobodziliście mnie od wszelkiego przymusu, rozpowinęliście z wszystkich moich bandaży. Mam teraz wolne ręce, mam skrzydła, mam siły. Będę przy was umierał swobodnie. — Wy tacy dobrzy, jak matka rodzona. Każdą myśl podzielę z wami i dla moich najdroższych, w waszej pamięci złożę. — Jak oni wszyscy żałować mię będą! — Najpierwej stryja mego wam polecam. — Starajcie się go uspokoić i pocieszyć, niech aby częstką waszej przyjaźni odpłacił mu ten morderca z jakim mnie za swoją trzech tysięczną emeryturę wychował. — Ilu on sobie surdutów nie sprawił, — ilu filiżanek ulubionéj czarnej kawy nie dopił, żeby tylko mnie na szkoły, mundurki, książki i kajeta potrzebnych pieniędzy dostarczyć. — Pewny byłem, że mu to kiedyś zwrócę stokrotnie, że odśluzę w miłości i synowskich staraniach, ale inaczej Opatrzność zrządziła: to téż stryj moim żalem jedynym, — bo jedynym — osobistym, — a niespełnionym życia obowiązkiem; chyba duch się z pod niego nie wyłamie

wszak prawda? Obowiązek rzecz święta, obowiązek to rozkaz Boży, wyższy nad wolę i wybór człowieka: nie ja go sobie znażyłem; z tajemnic przeszłości wypłynął, w tajemnicach przyszłości dokonać się musi. Dziwną mam jakąś pewność, że mego biednego stryja nie opuszczę: ale bo ja nikogo z moich nie opuszczę: będę służył, kochał, czuwał innym sposobem może, nie inną duszą przecież. Im śmierć bliższa, tém silniejsze téj nieomyślności poczuć. Wszelkie stosunki moje, rozjaśniają mi się tylko i gątkują według złożonej w nich prawdy. Są takie co nikną z oczu, są, co jak grzech zapomnienia łaski potrzebują, są, co jak niepotrzebny ciężar złożą się nad grobem lecz gdzie raz wiekuistość się przebiła, tam już zaginać nie może. Wiekuistem jest wszelkie ukochanie myśli Bożej, prawa Bożego, obietnic Bożych. Z kim się choć raz podzielimy opłatkiem wspólnej wiary w dobre, wspólnej tęsknoty za sprawiedliwem, wspólnych nadziei zbawienia, z kim wymienimy słowo pokoju, wzajemnej przestrogi lub zachęty ku pocziwej pracy, z kim się aby w jednym szlachetnym połączymy zamiarze, aby w jednej odmówionej razem zgodzimy modlitwie, z tym i wieczność nas nie rozdzieli. Oh! ja to czuję głęboko teraz właśnie; gdy ostatnia chwila się zbliża, a światłość wiekuista pierwszym promykiem swoim rozprasza wszelkie sądów i nawyknień ludzkich ciemności. Spotkałem przecież i złego wiele na ścieżkach żywota; i nieprzyjaźń mnie potrafiła, i zawiść obdarła, i fałsz oszukał mnie często, a w obecnej chwili, mam tylko pamięć dla moich najlepszych, mam tylko miłość dla tego co ukochać warto. Że mię kto ranił ledwie wspomnę sobie; żem. piersią własną ołtarz wioski rodzinnej zasłonił, za to jeszcze pod skalpelem chirurga,

z lancetem w rozkrajanem ciele, jutro Panu i Bogu memu dziękować będę...

Powiedzcie wy im wszystkim, że ich kochałem aż do śmierci.

Mój poczciwy Paweł... brat ośmioma latami starszy, popędliwy, nerwami gwałtowny, a sercem jak wata miękki. W dzieciństwie bardzo przewodził nademną, czasem i prętem bez litości wytrzepał, aż w siły wyrosłem i z przewodzenia do wzajemnych walk przyszło, a z walk do równości, a z równości do przewodzenia znowu, lecz już mojej głowy. — Ileż to razy zastanawialiśmy się nad tą dziwną koleją naszych stosunków. Paweł nie czuł się nią, bynajmniej upokorzonym; on mię tak kochał.. Ot, zdaje mi się, że tak, jak to nas tylko siostry kochają.

Wszystko so zrobiłem zawsze mu się podobało: w przeprowadzeniu każdego zdania, lub zamiaru, moje uwagi zdawały mu się najwłaściwszém uzupełnieniem jego własnych pojęć; nigdy w niczem żadnego współzawodnictwa; na każdy wypadek pomoc nieochybna, na każde moje żądanie macierzyńskie ustępstwo; ojcowska do poświęcenia swego inieresu gotowość. Drogi ten, jedyny Paweł! co ja mu świetnych ideałów do grobu z sobą poniosę: ministra spraw wewnętrznych, poetę, hetmana, bo w jego przekonaniu tem wszystkim być mogłem. Zadziwi się nie mało, gdy mu przyjdzie dalszy ciąg dziejów bez mego historycznego imienia wyobrazić sobie. Co ja się też nażartowałem z téj braterskiej zarozumiałości: „Mamą Pawlunią” przezywałem go często, i rzeczywiście twarzą, jak mówiono, był do naszej matki podobnym. Kto tam zgadnie, co za dziedzictwo wraz z podobieństwem rysów od umarłych się przejmuję. Żegnaj Pawle! nie miałem czasu urzeczy-



wistnić najdrobniejszej cząsteczki, twoich świetnych marzeń, ale też i skłamać im czasu nie miałem.

Tu głos chorego przycichł, w odrywanych przestankach jedynie poszeptywał sobie z niewymownej błogości uśmiechem:

— Mój dobry Paweł! mój najserdeczniejszy — widać, że zbierał myślą bliższe i dalsze o nim wspomnienia. Później znów inne w pamięci stanęły postaci.

— Książd Euzebi nieraz pewnie westchnie za moją duszę, on ją też ubogacił całą przeszłością niejako. W pierwszych chwilach zagorzałego nowatorstwa, byłbym jak drugi Mieczysław kruszył i topił wszystkie dawne ludzkości bożyszcza: Grecy, Rzymianie, to były prochy pod stopą moją; klassycyzm, to był powijak geniuszu; sława, to przesąd; wielkość, to egoizm. Książd Euzebi najpierwszy dał mi w ręce źródłowe dzieła prostomyślnych tytanów zmarłego świata: „czytaj mówił do mnie, czytaj i nie pogardzaj, ale czyń lepiej.” Pod jego wpływem za jego przywódem zwiedziłem Troję, siedłem z Milcyadesem na pola Maratonu, widziałem Temistokla pod Salaminą; słuchałem Periklesa na pogrzebnej uroczystości w Atenach, obradowałem z senatorami Rzymu i żyłem jako obecny wśród tych mężów, wśród tych zdarzeń.

Dopiero wtedy pojąłem jak ciężką powinność, włożyły na nas owe pogany starożytności którym sprostać już trudno, a których jednak przerość my chrześcijanie konieczne musimy. Co tam za pewnoś samego siebie w duchu, co za forma wykończona, wspaniała i spokojna na zewnątrz! Oh! ja ze ślepym Homerem i z ojcem Herodotem pewnie się gdzie zejść, na drogach mojej dalekiej przyszłości. Decyuszów także powitać muszę, ale wy może nie wierzycie w Homera i Decyuszów, a Herodot sta-

rym bajarzem jest dla was tylko? — zagadnął mię nagle z pół-uśmiechem wesołym. Jakie na mnie wrażenie zrobił ten smętny żart przedśmiertny, chyba poczujesz Elżbieto: ja się tłumaczyć nigdy nie poważę. Wielkie szczęście, że Lucyan odpowiedzi nie czekał: z przypomnieniem Homera, z przypomnieniem zaczerpniętej w książkach nauki, myśl jego popłynęła ku szkolnym towarzyszom, ku młodym przyjaciółom... Wszystkich imiona wspominał kolejną, nie wiem tylko czy o wszystkich ja z równą wiernością słowa jego powtórzyć potrafię.

— Leon mówił on — Leon byłby gotów do boju stanąć przeciw każdemu co śmiał osobistości Homera zaprzeczać i w siedmiu królów rzymskich nie wierzył: germańskim wymysłem nazywał to zawsze. Drażniłem się z nim często, że nie German, lecz Włoch najpierwej rozbił na rapsody całość Illjady i Odyssei. — I cóż to znaczy — odpowiedział z gniewem — o Włocha pomyśle nikt przez lat tyle ani słowa nie wiedział, bo Włoch się jał nie swojej rzeczy. Włoch nie umie niszczyć i przeczyć. German dopiero jak cisnął grubą księgą swoją, tak wszyscy usłyszeli że się coś druzgoce i wali. — Według zdania Leona teutońska rassa jest wielkim taranem do rozbicia pogańskiego świata przeznaczonym: o ile w chrześcijaństwie byt się jej przedłużył, o tyle znaczył swoje ślady rozbiciem i skruszeniem. Zaborczosć, analiza, nihilizm, to jej kolej dziejowa. Fryderyk Wielki, Niehbur, Strauss, to trzy logiczne po sobie następujące aforyzmy, trzy najwyższe w Walhalli niemieckiej posągi. Wartoby słyszeć Leona jak on tę myśl rozwija. Dzielny chłopak, jest w nim prawdziwie natura jego imienia, a najwybitniejsza z plemiennością germańską sprzecznosć. Bo to dziwna mieszanina właśnie lenistwa i twórczości. Kiedy wszyscy gonią za

szczęściem na los ciężko pracują, on pewny swojej siły z boku przylega, i zdarzenia, jak lew łupu swego oczekuje beczynnie; ale niech tylko sposobność byle jaka, niech prawdopodobna nadzieja o jeden rzut od jego legowiska się przesunie, jużci na nogach i trzyma szponami. Całe życie składa mu się z chwil pogardliwej apatii, po której następują nieźrównanej energii chwile. Do wytrwałych usiłowań wcale on się nie przyda, do śmiałych czynów jedyny; zawsze mu wróżyłem, że jeśli kiedy żołnierzem będzie to albo w długich marszach ze zmęczenia padnie, albo przy jakim oblężeniu fortecę nieprzyjacielską w powietrze wysadzi i zginie jak Samson pod rumowisk gradem. Gdzie on się też obraca? W ostatnim liście Józefa, żadnej o nim nie było wzmianki, trochę mnie to dziwi i niepokoi... ale dowiem się przecież. Śmierć jest niezawodnie jakimś stopniem wszechwiedzy, o tych przynajmniej których kochamy i którzy nas kochają; a mnie z Leonem syamskimi bliźniętami przezywano. Zawsze nam było dobrze i wygodnie razem, chociaż nie powiem żeby to była przyjaźń najtkliwsza, była jednak najzupełniejsza zgoda. Józef kochał mnie więcej nierównie z pewnością nawet słabością; gdybym tylko jego i Pawła miał na świecie, to mógłbym zwolna rozpieścić się, rozgrymasić jak despota, a spyszczyć jak głupiec... Ej nie... nie... ja przesadzam i wybyście uwierzyć gotowi, że czyjabądź miłość szczerą, jakiego bądź człowieka zepsuje na ziemi. Nigdy mnie, ani Józef, ani Paweł nie zepsuł: właśnie ich wszystkie z dobrą wiarą osobistości mojej narzucam idealiki, czyniły mnie sumiennie za ich urzeczywistnianie odpowiedzialnym. Co sił starczyło dociągałem się do wyznaczonej miary: a Stefan za to na łokcie, na ćwierci, na cale i na linijki wiedział ile mi jeszcze brakuje; w razie



chwilowego zaniedbania przestrzegał surowo, chłostał dowcipem, przypiekał ostrą prawdą. Wam się to jednak bynajmniej osobliwem nie wyda, że Stefana więcej prawie niż Józefa, więcej niż Pawła kocham. Gdyby ten człowiek był palcem na mnie skinął, tobym przez płomieniejący ogień pobiegł ku niemu; gdyby mi był powiedział, że jest prorokiem tobym uwierzył; gdyby mi kazał co złego zrobić tobym usłuchał, bo miałem przekonanie, że on wszystko jaśniej widzi, gruntowniej pojmuje, sprawiedliwiej odemnie sądzi. Nie przyznawałem się do tego fanatyzmu sam przed sobą nawet, lecz dziś spostrzegam dopiero jak głęboko tkwił w mojej duszy. Może to było trochę grzeszne uczucie; nigdy człowiek w tak bezwarunkowe poddaństwo względem człowieka wprzagać się nie powinien, ale charakter Stefana był po części mojem uniewinnieniem. Rozum ważąc nie wiem, czy go miał więcej odemnie; wiadomości to już bez wątpienia zupełnie równą mieliśmy dozę, lecz gdy szło o kierunek spraw życia, chcąc niechcąc, musiałem uznać, jego zwierzchnictwo. Pewność w rzucie oka, prędkie objęcie wszelkich okoliczności, rozpoznanie warunków, wyprowadzenie wniosków, zastosowanie sposobów, nadewszystko krew zimna, niczem zieżachwiana powaga, żadna przeciwnością niezłamana wola, te go czyniły niby Jazonem naszej młodej przeciw światu i przeciw biędzie argonautyki. — Ot, wiecie pani, gdyby Stefan chciał wejść na iglicę Marjackiej wieży, to najpierw potrafiłby dowieść i wam i mnie i wszystkim koło siebie, że to jest nieodbitie potrzebną rzeczą; potem sam szedłby z nami; a czy on, czy kto inny upadłby, czy nogę złamał, dla Stefana byłoby to zupełnie równej wartości wypadkiem. Możeby wołał trochę aby na niego spadło to nieszczęście, lecz nie przez miłość dla cierpiącego, tylko

przez miłość dla zamiaru, bo nieochoybnie wstałby prędzej niż kto inny i szedł dalej swoją drogą; jemu zaś wszystko na tém zależy jedynie, by dojść, by stanąć u celu. Dzięki Bogu, cel piękniejszy i świętszy, chociaż wyższy niż Marjackie wieże. Cel jest mądrością, cnotą i szczęściem, jakże więc tego Stefana nie kochać. Przy nim zawsze krew w sercu się rozgrzewa, pomimo tego, że on sam zimny z pozoru; przy nim zawsze prędzej się biegnie, choć krok wymierzony; niepośpieszny, ale on też chyba siedmiomilowe buty z francuzkich bajek wielkoluda nosi. Niedawno wybrał się w drogę a gdzie już zaszedł.... Wpływ, opinia, majątek, to materiały które bez żadnego przyboru własną pracą uzbierał, i z których wie, że dopiero ma czynić służbę ludzkości. — Ah! Bóg jest bardzo dobry, bardzo litościwy, że go dłużej odemnie na zagonie trzyma; kiedyś, gdy się za moję duszę będziecie modlili, módlcie się także niech wam Opatrzność Stefana w sile i spokoju zachowa. Prędzej czy później przekonacie się, co to za użyteczny, możny w pracach dla bliźnich człowiek z niego będzie....

Nasz Karol także innemu zawodowi się poświęcił, lecz pewny jestem, że go chlubnie i pocziwie przebieży. Jeśli okoliczności sprzyjać mu będą, wyrośnie z niego prawdziwej nowej szkoły, nowych pojęć artysta. My w artystach przyzwyczailiśmy się widzieć ludzi niekarnych, fantazyjnych, dziwaków jednem słowem. Według ogólnie przyjętej opinii, artyście wolno być gorszym od drugih ludzi człowiekiem; jeśli namiętnościom swoim puści wodze, jeśli się zawieruszy w gwałtowne wrażenia, w życie bez ładu i związku, to nam się zdaje, że większej siły zaczerpnie na wydanie owych arcydzieł, które nam właśnie ład, związek, potęgę i czystość objawiać mają. Karol nie u-

znaje tak potwornej sprzeczności: z natury jest on trochę burzliwy, ale z natury także głębokiem obdarzony uczuciem, i religijnie czujném sprawiedliwém sumieniem. Miłość dla prawdy jest w jego organizmie tém, czém miłość dla sztuki w organizmie innych malarzy, tylko trzeba wiedzieć, że jego prawda nie ogranicza się wierném oddaniem rzeczywistości, nie jest owym realizmem, co przeciw idealizmowi walczy: jest prawdą prawd wszelkich, prawdą zbawienia i myśli Bożej. Ta cześć dla prawdy, ten jej instynkt żadnym sofizmem nieskrzywiony, stanowić kiedyś będzie cechowe piętno wszystkich dzieł Karola, jeśli się szczerze i zupełnie malarstwu poświęci. Obrazy jego nie zginą w tłumie: nie liczbą jedynie powiększą liczbę po galerjach rozwieszonych płócien, ale szeregiem nowych wyobrażeń, szeregiem nowych poglądów z bogactwem przypatrujących się im znawców i nieznawców. Może to was dziwi trochę, że względem powołania Karola wyraziłem lekką wątpliwość; i mnie się niegdyś zdawało, że się artyści na konieczną pracę według swego talentu rodzą, bo też spotykałem takich jedynie, w których talent był pochłaniającą inne, lub wyłączną władzą: dopiero osobistość Karola przekonała mnie, że talent wielki nawet, znakomity bardzo talent może być i być powinien tylko naddatkiem, jedną kosztownością więcej przyrzuconą do skarbnicy ducha ludzkiego.

Karolowi z łatwością przyszloby się wyrzec ołówka i pędzla, bo Karol po za talentem swoim jest człowiekiem, który potrafi to wszystko co my potrafimy, chociaż potrafi i to do czego my zdolni nie jesteśmy. Mam przecież ufność w Bogu, że ten dar łaski przydatniejszy, że to „więcej“ co Karol przyniósł z sobą na świat, nie obciąży go żalem ani zmarnowania swojego, ani swojej bezużyteczności.



Dla niego malarstwo nie jest fatalistycznie potrzebném, ale dla mnie on jest potrzebny malarstwu. On ze sztuki nie weźmie utrzymania, wrażeń przyjemnych, wykształcenia umysłowego, i owszem sam jej przyniesie dań własną, dań jasnego rozumu i szlachetnego serca. Trudno bo sobie wyobrazić, o ile te pierwiastki są niezbędne we wszelkich utworach artyzmu; ludziom się zdaje, że zdolność może je zastąpić: niech zdolny mistrz wykona piękne dzieło a najsurowszy krytyk o nie dopominać się nie będzie. Tymczasem pięknego dzieła wykonać nie można bez prawdy, prawdy poczuć nie można bez właściwych do jej przyjęcia organów, bez jasnego rozumu i szlachetnego serca. Krąży to już oddawna w liczbie spowszedniałych maxym, tylko tak z powszedniałych właśnie, że przez zaniedbanie aż nowemi się stają. Każdy dzisiaj powtórzy: „prawda jest warunkiem piękności, gdzie brak prawdy, tam piękności nie ma;” ale któż się zastanowi choćby tyle co Pilat pontski i kto spyta Chrystusa w sumieniu swoim: „a cóż jest prawda?” Gromady całe biorą za piękność to, co im się podoba, nim gromadom całym, to co jest prawdziwem podobać się zacznie; długo oh! pono długo jeszcze ziemia czekać będzie musiała.

Wysoko już w hierarchii godności człowieczeń ten stoi, komu się prawda podoba. Karolowi właśnie owa prawda jedyna, owa moralna i religijna, jest przewodnią gwiazdą życia, i dla tego nie wątpię, że się w jego utworach odbija, że się stanie ich oryginalnością najwłaściwszą. Ileż razy mogłem się o tém przekonać w naszych poufnych stosunkach! Każdy sąd jego o cudzej pracy, każdy pomysł do nowego dzieła rozszerzył mi zawsze widnokrąg dobrego lub sprostował jakąś duchową omyłkę. Raz pamiętam zachwycalem się wyborną kopią Magdaleny Cor-

regia; Karol wzruszył tylko ramionami i rzekł smutnie wzdychając: „Biednej pokutnicy jeszcze za grobem cię-  
żą grzechy jej żywota,” a kiedy z uniesieniem broniłem  
mego upodobania: „Gdyby to była Julietta, mówił spo-  
kojnie, gdyby śliczna Wenecjanka za swoim Romeo tę-  
schniąca, pewnie cześćbym oddał mistrzowi; ale pokutni-  
ca!... ja myślę, że nawet Julietta po oddaleniu Romea,  
Dydona po wyjeździe Eneasza trocheby więcej schudła i  
zczerniała niż ta jawnogrzesznica rozpamiętywająca mękę  
swego Chrystusa i utratę swojej niewinności.” Zrobiłem  
uwagę, że jawnogrzesznicy, sam Chrystus przecie wszyst-  
kie już winy odpuścił: to może być piękną i cichą w żalu  
swoim. „Nie, nie, zaprzeczył Karol, Chrystus przebaczył,  
ale ona sama nie przebaczyła sobie jeszcze.” Chcesz być  
mędrszym od katechizmu Lucyianie i dla tego się błąkasz;  
w katechizmie znajdziesz mój drogi, że odpuszczenie grze-  
chów z pokuty nie zwalnia. Znów ci się zdaje, że to jest  
tylko surową ustawą kościelną, to jest prawdą chrześci-  
jańskiej natury. Odpuszczenie grzechów zmienia skłon-  
ności nasze, rozjaśnia ciemność naszych wyobrażeń, lecz  
nie umarza pamięci. Chciej tylko uprzytomnić sobie ży-  
cie takiej duszy, co już świętość najwyższą ukochała, a  
musi wlec za sobą kawał powalanej uśmieconej przeszło-  
ści, z którą się rozstać na żaden sposób nie może. W nie-  
bie, zbawiona, zapewne dostanie od Boga jakąś nową wła-  
dzę, nowe uczucie przeciw jej wspomnieniom oddziały-  
wające, wielkiem miłosierdziem je ogarnie, jak gdyby to  
były bliźniego tylko wspomnienia; lecz tutaj na ziemi, po-  
myśl Lucyianie, gdybyś ty sam na przykład, w chwili obłę-  
du, złego pojęcia rzeczy, przez bojaźń lub namiętność  
zdradził dobrego przyjaciela, a jednak masz zarody pra-  
wości: cud łaski Bożej rozwija je w tobie, stajesz się na-

gle prawym, szlachetnym, wstręt czującym przeciw wszelkiemu brudowi, młodzieńcem. Cóż? czy bardzo godne zazdrości byłoby twoje położenie? Czy w obec hartownej cnoty Stefana nie czułbyś się na proch startym, i upokorzonym; czy choćbyś znalazł przyjaciół, choćby oni tobie ufali, mógłbyś ich zupełnemu przebaczeniu zawierzyć, a zdradzonego czybyś pozbył z myśli, jak sennej mary po ranném obudzeniu? Toć wyobraź sobie teraz, że zdradczynym przyjacielem Magdaleny jest Bóg Chrystus; że wzorem który jej na oczy staje, jest Marja bez zmazy. Sam zmarłychwstały Rabboni: „Nie dotykaj mnie” — woła: On co później niewiernemu Tomaszowi ran swoich dotknąć pozwala. Zrozumij, uprzytomnij sobie tę miłość bez granic, Izraelitki dla Messjasza, wyciągniętej z kału; dla Jezusa na którym nikt grzechu nie dowiedzie; przykuty jeszcze do ziemi dla Syna Człowieczego co już w Niebo wstąpił, choć jedną chwilę przeżyj w tej miłości, a niebędziesz zachwycał się pokutnicą malowaną w taki sposób, że widok jej rozbudza wszystkie wrażenia ponęty i roskoszy, które ona gorzkimi spłakała łzami.” I żebyście wiedzieli, droga pani, jak zawsze ten Karol umie się przenieść w chwilę podaną, na obrazie, umie się wtajemniczyć w osobistość przedstawionych osób, a rozsądzić je według niezmiennych prawd Bożych sprawiedliwości, to doprawdy historyk mógłby mu pozazdrościć. Niezbyt dawno przed tą całą zawieruchą, odwiedzałem go w jego szczupłutkiej na poddaszu pracowni; jak mi zaczął o religijném malarstwie mówić, tak ja sam w duszy czułem, że się religijniejszym staję. Pierwój zdawało mi się, że Włochy zamknęły całą serją religijnych obrazów; Karol mi dowiódł, iż są nawet nietknięte żyły w tej obfitej kopalni: prawda chrześcijańska nie wyczerpnięta dla dziejów ludzkości, ma i dla sztuki



ki coraz świeższe, coraz nowsze, coraz wyższe natchnienia. Choćby tylko uzupełnić dotychczasowe omyłki, jużby wiele do roboty się znalazło, a cóż jeszcze gdyby zacząć rozprzestrzeniać, tworzyć, zdobywać, gdyby świętość zawartą dzisiaj w postaciach modlących się lub zachwyconych, przenieść w postacie czynne i skarbiające sobie zachwycenia żywioły; gdyby jej promieniem rozświecić wszystkie władze ducha ludzkiego, wszystkie pocziwe serc ludzkich uczucia i wszystkie prace dni dziejowych naszych. Wiemy, czém jest rozum, wyobraźnia, nauka, czém miłość kraju, rodziny i własnej godności, czém mężstwo, wytrwałość, szlachetność; ale jeszcze artyści muszą nam stawić przed oczy, czém jest to wszystko właśnie. Świętości podsycone pierwiastkiem, jakże wzniosłe kombinacje się tworzą, z owej najwyższości ludzkiej, w najwyższość Bożą podniesionej; a toćto całe przestworza, wieki całe, toćto nieskończoność przed artystami. Karol pokornie mi się przyznał, że mu jeszcze typów odpowiednich jego pomysłom brakuje: ogranicza się więc nateraz wymiarem, jak mówi sprawiedliwości kilku pokrzywdzonym. Zaczął najpierwej od Sary i Izaaka, którzy głośniej niż wszyscy obdarci, zrabowani i spotwarzeni o pomstę na malarzy do nieba wołają. Karol utrzymuje, że wypędzenie Agary szczególnie, przez najbieglejszych mistrzów było zawsze z Hogartowskim humorem traktowane. Agara jest wszędzie prześladowaną pięknoscią, Izmael ślicznym jak mitologiczny półbożek dziecięciem, Abraham zawojowanym mężem, Sara jędzą zazdrosną, a Izaak rozgrymaszonym żydziakiem. Tymczasem to wszystko jest kłamstwo i błąd w sztuce, bo jest kłamstwo w prawie duchowém i herezja w religijnych podaniach. Gdyby ludzie nie sądzili się mędrszymi od Pisma Świętego, łatwiejby

im przyszło, w jednej częsteczce chociaż tak mądrymi jak Pismo Święte zostać. Według biblijnej myśli Agara, powinna stanąć jako harda naloźnica; Izmael jako syn niewolnicy, syn zmysłowego uścisku; Abraham jako patriarcha z władzą i prawem sędziego; Sara jako żona i siostra, a Izaak jako dziecko anielskich obietnic. Tak ich pojął Karol i tak ustawił na obrazie swoim. Nie jestem dość biegłym znawcą, bym szczegóły wykonania ocenił, lecz wrażenie ogólnego układu, mojem wrażeniem sądząc, za najlepsze uznaję. Przy rozwiniętych kształtach gniewnej a jednak ciałem powabnej jak namiętność Egipcjanki, stokroć artystyczniej niżeli we wszystkich innych dziełach odbija postać dziewięćdziesięcioletniej Sary z niespożyta, swoją moralną przedstawiana pięknnością. Mimowolnie trzeba w niej uczcić kapłankę rodzimego życia, spełnionych obowiązków i czystych zawsze myśli; twarz jej stara bez zgrzybiałości, przywiedła bez zmarszczek, rysy wydatne a nie ostre, spokojne a nie martwe, poważne i smutne a nie dumne i oburzone. Kto w sercu nie ma uznania takiej kobiety, niech co chce czyni, takiej też twarzy dla niej w żadnych nie dobierze ideałach, trzeba koniecznie duszą Karola pojąć niewiasty duszę, we wszystkich jej przejawach od kolebki aż do grobu, od pieszczoty córki do błogosławieństwa prababki trzeba ją uznać i kochać, żeby stworzyć równie doskonały jak Sara pierwowzór.

Niezawodnie jest-to ta sama kobieta co ją Paweł apostoł „wolną” w swym liście nazywa, wolną, przez prawdę która nas wyswabadza, przez miłość która jak śmierć jest silna; wolną od ciemnoty i niewiadomości od potępienia i zmysłowych szalów; wolną od zwycięstw czasu i kajdan niedołęztwa, wolną w uczuciu, w rozumie, w możności, bo wolną w zbawienin swoim. A co za przecudna sprze-

czność między dwoma chłopiętami tych dwóch tak sprzecznych matek! Izaak w obec Izmaela maluczki, pokorny przed gwałtownikiem potężnym; skrzywdzony przed krzywdzicielem; osłonięty łaską Bożą, przed pysznym; silnego ramienia, pasterz przed łucznikiem, protoplasta Chrystusa przed protoplastą Mahometa, a zawsze, zawsze syn wolny przed synem niewolnicy, dziedzic Królestwa Bożego przed poddanym, co w jego dziedzictwie części mieć nie będzie. Karol nie tylko stworzył dwa typy. Karol przeczuł dwa kierunki ludzkości i zrozumiał proroków obietnice. Ach, czy mu danem tylko będzie skończyć ten obraz? może w dzisiejszych trudach ręka mu ociężyć. Może tak szkicu odejść będzie musiał, jak ja odchodzę pierwszych pieśni, wielkiego mego o Życiu i Śmierci poematu. Niespodziewalibyście się po mnie takiego zuchwałstwa, jednak trzeba grzech wyznać, porwałem się na ogromny w dziesięciu pieśniach poemat. Przez wszystkie historyczne i nie historyczne wieki prowadziłem ducha człowieka ku zwycięztwu nad śmiercią i ku wszechmocy nad życiem, chciałem pokonać śmierć której się lękałem instynktem jak zwierzęta, którą szerzymy rozumem jak szatany, której znowu tak czasem pragniemy jak zwyczajni utrudzeni i cierpiący ludzie. Ale widać śmierć się o-brazila za to i chciała koniecznie na rękę się ze mną spróbować, do tej chwili nie czuje, przecież by mocniejszą była....

Z tém słowem Lucyan zrobił trochę dłuższy przestanek, nie było na nim znać większego zmęczenia, lecz trochę głębsze zamyślenie, jak gdyby własnego sumienia chciał pytać czy prawda jest to co powiedział? Zapewne sumienie mu przyświadczyło, bo po chwili bardzo spokojnie zagadnął mnie znowu:



- Wszak Karol już wie o mojem niebezpieczeństwie?
- Doktor właśnie dzisiaj miał mu powiedzieć.
- A jego tu jeszcze niema! zawołał z lekkim, jedynym w ciągu całej rozmowy, osobistego żalu poddźwiękiem.

Łatwo mi było usprawiedliwić Karola, który istotnie tak prędko przybyć nie mógł, gdyż sam o pół mili ztąd przy chorym bracie dnie i noce trawił. Skorom przyczynę jego nieobecności wyznała Lucyanowi, strasznie się zaniepokoił, aż mu kilkakrotnie powiedzieć musiałam, że choć brat Karola cierpi straszliwie i ciągłego dozoru potrzebuje, wszelka jednak nadzieja, prawie pewność jego ocalenia pozostała.

— To niechże Karol siedzi przy bracie — mówił znów szczerze jego położeniem przejęty; biedny Ignacy! żonę i troje dzieci w kłopotach majątkowych zostawić, toby mu okropnie było, lecz kiedy wy za jego przyjście do zdrowia ręczycie, muszę wierzyć, choć żal mi serce ściska, boć jemu gorszy los niżeli mnie wypadł.

— Za przedłużenie terminu wypłaty, on cierpieć musi srodcze, dla mnie żadnej prekluzji; lecz też ból wcale znośny. Tęskno mi jednak, że Karola nie zobaczę, miałem do niego wielką proźbę ostatnią....

I znów Lucyan zamilkł, a ja dziwiłam, się czemu tak długo twego nie wspominał imienia. Czy dla ciebie jednej miał więcej żalu rozstania i sam się drażnić nie chciał? Czy tak wierzył w serce twoje, że mu zbytecznem się zdało przez cudze pośrednictwo wiadome i odczuwane z całą rzeczywistością swoją, przesyłać wyrazy? Rozwahałam to sobie w duszy mimowolnie, a Lucyan tymczasem wypoczywał po zbyt może długim wysileniu i tylko natężonym wzrokiem przypatrywał się objętej framugą

okna okolicy. Samego zachodu słońca nie było widać w tej stronie, ale jaskrawe smugi jego promieni grały po drzewach więcej pączkami kwiatów niż liśćmi okrytych, przesuwwały się zwolna po krzakach dobrze już zielonego agrestu i po zagonach kielkujących niedawno zasianymi kwiatkami. W oddaleniu rzeka zwykle błękitną, złocistą się ublaszkowała czerwonością. Złoto posypało się na trawę łąk pobocznych, nawet krzyż ciemny, ostatni punkt w dowidywanym krajobrazie, od jasnego złota niby rozgorzał cały. W miarę jak słońce ku ziemi się spuszczało, różne części tego złotego pejzażu w coraz głębszą, nie stopniowaną, lecz wydatnie odciętą, zapadały ciemność. Najpierw grządki jedna po drugiej zaczęły znikać i w jednolitą stapiać się masę, potem woda swoje topazy i rubiny w połyskliwy zmieniła szafir; potem utonęła we zmroku drobna dziatwa agrestowych i porzeczkowych krzewów, potem na wierzchołkach tylko grusz, śliwek i jabłonek zostało kilka gorętszych barw i blasków; potem już tylko ramiona krzyża ostatnie zatrzymały promienie. Lucyan wiódł oczyma za ustępującem światłem, jak gdyby magnetyczną siłą wzrok jego ciągnęło ku sobie, kiedy sam krzyż jedynie widniejszym pozostał. Spojrzenie Lucjana na krzyżu odpoczęło. Nie potrzebował mówić: z uśmiechu i lzy jego odgadłam co za wdzięcznym, co za pobożnem uczuciem serce mu wzbierało, na ten przypadkowy symbol ostatnich światła połysków, w ostatnim życia wieczorze żegnającym go znakiem ofiary i zbawienia, dopiero gdy i krzyż pociemniał, lekka niespokojność na twarz Lucjana wybiła, uniósł głowy nad możność prawie, szyję wyciągał, popatrzył o ile mógł najdalej... lecz i najdalej wszystko do koła przygasło.

— „Tymczasem słońce bywaj mi zdrowe” rzekł z głę-

bokiem westchnieniem i głowa jego bezsilnie na poduszki opadła, oczy się przymknęły, mocniejsza bladość po licu się rozlała. Zatrwożona wstałam co prędzej, przyłożyłam rękę do czoła, do piersi, czoło było zimne, wilgotne, ale serce biło równo choć silnemi uderzeniami. Luccan wzniosł na mnie ociężałe powieki, ścisnął moją rękę i chciał się trochę roześmiać, żeby mię uspokić; nie powiodła mu się jednak ta próba, ledwie że wargi zadrgnęły nieco boleśnie. Trudno oznaczyć jak długą chwilę w milczeniu spędziliśmy oboje; ja trzymając mu ocet z wodą na skroniach; on ciągle miłą intencją uśmiechu dziękując: nareszcie po jego woli się stało, uśmiech prawdziwy, nieprzymusowy rozpozgodził całe jego oblicze.

— Nie potrzebnie się tak trwożycie — rzekł znowu pewnym i silniejącym w każdym słowie głosem — to moje zwykłe, organiczne usposobienie. Przyznam się wam, że gdy najzdrowszy byłem, zawsze widok zachodzącego słońca okropnie przykre ale to fizycznie przykre robił na mnie wrażenie. Ma się rozumieć, że przy zdrowiu i muskularniej ciała krzepkości nie omdlewałem co wieczór jak powój lub anemona, nie mniej wszakże z godziną zachodu biła dla mnie dzień po dniu jakaś chwila przelotnej boleści; teraz górę wzięła nademną. Lecz już złe przeszło, wierzajcie mi; przeszło zupełnie, jutro zobaczę jeszcze wschód mego kochanego słońca.... a zachodu.... nie doczekam. Chwała Panu na wysokości. No czemuż tak stojcie moja droga pani? Ręczę wam, że mi przed jutrzejszą operacją, całą noc siły i spokojności podarowano z nieba; siadajcież na swoim miejscu, tam was lepiej mogę widzieć i lepiej rozmawiać z wami. — Gdy go usłuchałam, on mię usłuchać nie chciał i zamiast do snu w cichości się sposobić:



— Czy też wam, spytał, nie zdarzyło się kiedy zauważać, jaki to dziwny stosunek, bardzo często imię na chrzcie dane człowiekowi z jego losem, albo też z jego usposobieniem łączy się w dalszym ciągu życia. Ja przynajmniej. wdzięczny jestem matce, że mię Lucyanem nazwać kazała, to imię w świetle ma swój źródłosłów; od dzieciństwa też nie potrafię wam wypowiedzieć jak ja kocham światło, jak gonilem za światłem, czy natury, czy ducha, byle świeciło oczom i rozumowi, a nie mogę się skarżyć, jasno było w mojem życiu. Dwódziesięć lat przeszłość moja, jest ciąglem wstępowaniem na coraz pełniejszą blasków widownię. Jakież rokosze! jakie to uniesienia, kiedy nauka zaczęła świat mi rozpromieniać, kiedy codziennie prawie dowiadywałem się czegoś, rozpoznawałem nowe przedmioty, odkrywałem nowe przestrzenie i wieki, a kiedy serce żywiej wszelką miłością piękna i dobrego zapłonęło, o Boże mój! o Boże, rozumiałem ja wtedy twoje: „Fiat lux“ wiekuiste!... Wszystko co kiedykolwiek uznałem jako wielkie, mądre i święte: wszechmoc, wiedza, cnota, wszystko mi zawsze tłumaczyło się pewnem poczuciem światła, ognia, gwiazd, słońca, słońcem dla mnie była Elżbieta. Nie mogę sobie zdać sprawy czém byłbym został, gdyby jej brakowało w mojem przeznaczeniu, bo też nie mogę sobie wyobrazić czém byłaby ziemia, czém księżyc, czém planety w warunkach bezsłonecznego systematu. Może z tych samych złożone pierwiastków, też same wydałyby twory w inną skombinowane atrakcję, po tych samych krążyłyby drogach, tylko z odjęciem barwy i połysku. Miałyby zapach kwiaty, ciężkość gatunkową metale, przezroczystość kryształy, róża by jedynie wdzięcznej swojej krasy nie miała, złotoby się nie świeciło, a djament nie iskrzył. Tak i ze

mną bez wątpienia; gdybym Elżbiety w darze od Pana Boga niedostał, trzymałbym się prawdopodobnie obowiązkowej drogi, nie szkodziłbym nikomu, pracowałbym jak koń po stępaku na kawałek chleba i nie domyślił się nawet, że piękną jest ta ziemia boża, co mię na sobie dźwiga, że najpiękniejsi są ci ludzie, co ją wraz ze mną prawem ukochania wspomnień i nadziei dziedziczą. Bez Elżbiety jabym nigdy w życiu nie pojął, co to jest kobiecia, a więc nie pojął całej jednej świata połowy; szczęście i cierpienie, ohydę grzechu i cześć świętości nawpół tylko znałbym, czuł, doświadczał. Możebym szalał za jaką ładną i zalotną dziewczyną, możebym się ożenił z jaką posażną lub świetnie wychowaną panienką; żonę bym stroił, pieścił, a do znoszenia kaprysów moich układał, wraze oporu jeszczebym pewniej pono dla świętej spokojności jej znów dziwactwom ulegał, lecz przy tej całej dyplomacyce wygladzającej dwóch nieprzyjaznych sobie interesów chropowatość, nigdybym się wprawa harmonii nie wtajemniczył. —

Elżbieta jedynie objawiła mi prawdziwe znaczenie tych słów Bożych w Genesis Mojżeszowej: „Nie dobrze być człowiekiem samemu, uczynimy mu pomoc jemu podobną.” Tak jest: Elżbieta była ciągle pomocą podobną, ani górująca nademną ani przezemnie górowana, miała te właśnie przymioty i te wady drobniutkie, których ja do uzacnienia mojej duszy potrzebowałem i w których jej dusza tylko odemnie rozświecenie i wsparcie wzięść mogła. Za co ją więc kochałem, czy za to, że mnie lepszym czyniła? czy za to, że widziałem jak sama przy mnie lepszeje? Nie wiem: po niemiecku w ostatniej chwili analizować nie będę. Kochałem ją, ze wszystkiem i za wszystko na raz, kochałem za uprawdzenie każdego mego o prawdzie prze-

czucia i wyobrażenia. Czasem nęciło mię ku sobie coś takiego, czego rozumem udowodnić, nauką zastosować w ogólną zasadę nie umiałem; czasem też wstręt czulem a wstyd mi było samego siebie że instynktowi brakło ludzkiego usprawiedliwienia, ona przeszła, rzuciła słów kilka zajęła się tém lub owém we właściwy sposób, i choć to na pozór żadnego związku z przedmiotem mojego ulubieńca lub wstrętu nie miało, znalazłem zaraz nić Arjadny z labiryntu wszelkich wątpliwości, na jasność dnia Bożego mnie wiodącą. Ktoby mi był na przykład bez herezii, bez jezuityzmu wyrozumował dość logicznie wyższość ducha nad literę, wolność wprowadzie doskonalszą niż wolność w prawie najliteralniejszym, to co w kościele zowią łaską, świętsze niż to nawet, co w świecie zasługą posłusznosci jest zwane? Nikt podobno, gdybym nie miał obok siebie takiej przeczystej, wyższemi władzami ubogaczonej duszy, co więcej żyła natchnieniem, niż przykazaniem Bożem, a żyła dobrze, pięknie, spokojnie, głęboko jak koral w morzu, wysoko jak zwyczajnie moje słońce na niebie. Zdaje mi się, źle mówię, nie zdaje mi się tego pewny jestem, że choć mię wiele serc pocziwych żałować będzie, w niczyjem sercu moja osobistość tak długo się nie przeciągnie jakimś współtrwaniem nierozdziel-ném, jakąś współpracą bezprzestanną, jak w najpełniejszém miłości sercu Elżbiety mojej.

— Pierwsze chwile jęj żalu będą nawet mniej łzawe, mniej utęskliwe, nie jeden aż się zadziwi czemu tak mało płacze, kiedy tak wiele kochała? Lecz ona po co ma płakać: ona co wie i czuje, że my się nigdy nie rozstaniemy!..

Odczytuj sobie te słowa Elżbieto, powtórz je kilkakrotnie, boć dopiero przed dwiema godzinami wyszły z ust Lucyana. Możesz w nich czuć jeszcze tchnienie jego piersi



możesz dosłyszeć akcent ich wymówienia musisz im wierzyć i musisz żyć niemi. Gdy Lucyan w chwili zadumania zbierał najlepsze, najserdeczniejsze myśli swoje, by mi wszystkie dla ciebie przekazać, drzwi się uchyliły i wszedł posługacz z zapaloną lampeczką, chory nie dał jej przysłonić sobie.

— A toż wiecie — proszącym odezwał się głosem toż wiecie, że ja nietylko allegorycznie światło lubię, lecz bez przenośni każde co świeci, już z tym płomyczkiem zaraz jakoś raźniej i weselój.

Nim dogodziłam naszemu najdroższemu w ustawieniu przyniesionej lampki, znów się klamka poruszyła i niespodzianie wszedł Karol na palcach, ostróżnie, cichuteczko, jak to się wchodzi do śpiącej matki, lub do konającego przyjaciela. Możesz sobie jego zadziwienie wyobrazić gdy ten przyjaciel uśmiechniętą twarzą i radośnym wykrzykiem, jak najzdrowszy człowiek go przywitał.

— Karol! pocziwy Karol — w tejże chwili jednak zaraz mu choroba Ignacego na myśli stanęła — ale po co i ty brata odstąpiłeś! — dodał ze smutnym wyrzutem.

— Brat się ma lepiej, siedzi przy nim teś i żona — odpowiedział Karol ściskając w obu rękach wyciągniętą ku sobie rękę Lucyana, i patrząc w oczy jego pełnym łez powstrzymywanych wzrokiem. — Biedny chłopiec, uwiadomiony od południa już o niebezpieczeństwie grożącym jutrzejszej operacji, przez kilka godzin tak się zmienił, tak pomizerniał, że aż mu oczy wpadły i twarz zzieleniała prawie. Ileżto szczerzej przyjaźni, ileż tkliwego braterstwa otaczało Lucyana! Szczęśliwi oni wszyscy co się tak kochali wśród obojętnych i nienawistnych tłum!

— Czemuż więc smutny i zbiedzony jesteś kiedy brat zdrowszy? zapytał Lucyan swego najdroższego artysty.

— Powiedz raczej zmęczony trochę, bo właśnie miałem wiele u Ignacego do roboty, przyszedłem tu piechotą — usprawiedliwiał się Karol.

— Ej! ty obłudniku! — przerwał mu chory wesoło — czy myślisz, że już nie wiem o wszystkiém? Przyszedłeś się pożegnać ze mną, więc żalci serce ściska, a nie chcesz dać tego poznać po sobie. Wielka nam obu krzywda ztąd się dzieje, czas na płożnem udawaniu tracimy, a mamy przecież w chwili rozstania coś ważniejszego do powiedzenia sobie. Najpierw zastanów się Karolu, czy śmierć moja warta łez lub skargi? Są ludzie którzy umierają w rozpacz, w zniechęceniu, przygnębieni troskami, znużeni długą chorobą, tych żałuj kiedyć masz litościwe serce, ale ze mną Karolu dziel tylko samą uciechę i wdzięczność dla Boga. Ileżto razy dawniej rozmyślałem już o tej chwili stanowczego przejścia duszy naszej, zawsze mnie jakaś bojaźń ogarniała, żeby na mnie bez przygotowania wśród złego usposobienia, z moralnem niedołęztwem nie spadła, bo śmierć to najogólniejsze podsumowanie życia człowieka — „bo wieczność taka jak śmierci godzina,” woła Juliusz poeta nasz ulubiony: z ostatnich myśli i wrażeń umierającego, tworzą się w przebywającym kędyś duchu nowe zdolności i władze. Litowałem się zawsze nad temi próżniakami, co do śmierci jak do łóżka spoczynku się śpieszą; nad temi głupcami co się w nią z najgłośniejszym jękiem bólesci swojej rzucają. Wyobraźcie no sobie mój malarzu, jak szkodną na tamtym świecie plamą występuje każda taka rozmazgajona osobistość. Nie, ja zawsze błaganiem uprzykrzałem się Bogu, żeby mnie od nagłej, niespodziewanej i złej śmierci bronił. Nie chcę w łachmanach bez szaty godowej, skrzywiony i wyziębły jasnym zbawionych lub zbawiających się chórom przed-

stawiać, chcę wziąć szatę najlepszych moich wspomnień i uczuć, koronę myśli najczystszych, chcę z uśmiechem i młodością, chcę z całą pełnią władz i zdolności moich uchylić głowy przed Tronem Najwyższego i czekać dalszych wyroków. Otóż Pan stokroć dobry, stokroć miłosierny wysłuchuje mnie, Karolu...

Nazbierałem do serca samych klejnotów i kosztowności Mam was tylko, Elżbietę, pamięć wspólnej pracy naszej, wiarę we wszystko, cośmy wierzyli z dobrem imieniem u ludzi, możność czynienia dobrego ludziom, dla wszelkiego mojego ukochania, dla wszelkiej mojej nadziei, mam dotykalnie całą wieczność przed sobą — a ty smutny Karolu?... ty mnie żałujesz?

— I czemuż się nie mam przyznać — odrzekł Karol; a lzy mu już bez przeszkody dwoma strumieniami po twarzy ciekły. — Żałuję cię nasz Lucyianie bo ty masz wieczność bliską, ale my bez ciębie mamy jeszcze doczesność tak długą — tak ciężką i ciemną.

— Bezemnie? nie wierz temu. Bezemnie? a gdzież ja bym się podział? Toć mówiłem ci właśnie, że w śmierci czuję tylko nowego życia początek i czuję, że nowe życie z uzbieranych na chwilę śmierci pierwiastków rozwinąć się musi. Cóż ja przynoszę Panu do ostatniego porachunku? Cóż mię teraz zajmuje? Czy gwiazdy, czy dróg mlecznych, czy niewidzianych i niepojętych splendorów blaski. Nie, przed chwilą właśnie nim wszedłeś rozmawiałem z panią o tém, że kocham światło, ale je kocham i w tej lampce maleńkiej i w odbiciu na każdym proszku ziemi, kocham dla tego bo lepiej widzę stawy, lasy, łąki, jeziora i twarze pocziwych ludzi: kocham światło, bo w świetle wy wszyscy moi, bo was wszystkich kocham, Karolu: a jestże sposób rozłączyć duszę z miłością



jej? — To niepodobna. W jakich warunkach moja wieczność splecie się z czasu waszego promieniami — tego nie wiem, to zostawiam do wyprorokowania doskonalszej przyszłości i potężniejszym duchom, lecz że się spleść musi, czuję wszystkimi władzami umysłu i serca. Powinneś zaufać świadectwu takiego, co umiera — i wzięwszy rękę Karola położył ją na swojej piersi, jakby znakiem jakiejś przysięgi chciał dopełnić i uważnić wymówione słowa.

Karol uległ wpływowi któremu ja sama uległam pierwój jeszcze, bez względu na to czy się chory nie trudzi, stał jak przykuty obok łóżka i z chciwością słuchał wszystkiego, co Lucyan pełną duszą wypowiadał przed nami, ale nakoniec mężka hartowność przedź się w błędzie od mojego kobiecego oczarowania spostrzegła; przyznaję ci się, że sama pierwsza nie pomyślałam o odejściu. Lucyan potrafił mię jakoś przekonać, juścić nie o wytrwałości swego zdrowia, lecz o potrzebie złożenia nam testamentu wszystkich skarbów, pojęć i marzeń, wspomnień i nadziei, zmiarkowałam się dopiero, gdy go troskliwszy Karol napominać zaczął.

— Jabym cię słuchał, słuchał do białego dnia Lucyanie; to się nie godzi jednak, już zbyt długo mówileś, trzeba koniecznie odpocząć i zasnąć, jutrzejsza operacya nie wiele dobrego zwiastuje, tém mniej właśnie na kartę stawiać możemy.

— Stawiajcie wszystko — przerwał Lucyan udając niecierpliwość i zadąsanie — co postawicie to naszą wygraną będzie, gdyż z wielkiego banku, ani wy już, ani ja się choć jednej doby więcej nie spodziewamy przecież.

— Czy spodziewamy, czy nie spodziewamy — rzekł Karol bardzo stanowczym głosem — to inna rzecz mój

drogi, tymczasem póki żyjesz naszym obowiązkiem jest tak z tobą postępować jak gdybyś miał żyć najdłużej. Nie chciejże nas zostawiać z gorzkim wyrzutem sumienia żeśmy się w czemkolwiek do twojej straty przyczynili. Sam wiesz najlepiej jak po doznaniem nieszczęścia, ludzie zawsze to sami siebie, to drugich oskarżają, uwolnijże nas dwoje przynajmniej od okropności tego przypuszczenia, że mogło być ci lepiej gdybyśmy z lepszą i serdeczniejszą pilnowali cię surowością.

Zdaje się że te ostatnie wyrazy proszącym głosem wypowiedziane zrobiły dość silne na Lucyanie wrażenie.

— Dobrze, już dobrze — odpowiedział pokornie — każecie to będę cicho; każecie to będę spał; każecie to będę się pieścił i oszczędzał jak gdyby było warto, lecz pierwszy musisz mi przyrzec Karolu, że jednej proźbie zadosyć uczynisz....

— Aż strach mię bierze Lucyanie, cóżto za prośba co aż obietnicami wspierać się musi....

— Bądź spokojny, nie idzie mi o przekupienie twego sumienia, tylko o przełamanie lekkiego może wstrętu, o zniesienie małej przykrości. Jak umrę pierwszego dnia zaraz dopóki jeszcze będzie ostatnia prawda życia w moich trupich rysach, zrobisz mój portret i prześlesz go Elżbiecie, ona cały zakres uowej kolei odgadnie z pośmiertelnej twarzy, od niej najwięcej o mnie będziecie się mogli dowiedzieć.

— Karol nie odrazu zdobył się na odpowiedź, jednak po chwili rzekł stłumionym głosem — przyrzekam.

— Was droga pani, to już nie proszę nawet, byście do niej pisali....

— I macie słuszność — odrzekłam — list zaczęty już leży na moim stoliku.

— Więc idźcie naprzód spocząć trochę, a potem go dokończycie. Kiedy wy, surowi ja także surowym będę, nie chcę was widzieć wcale aż do jutra do odwiedzin chirurga i doktora.

Karol poparł bardzo silnie rozkaz Lucyana.

— Próżnobym się sprzeczała z wami — rzekłam zwyciężona ich nielitościwą koalicją — pójdę sobie kiedy wiem, że mię ktoś lepszy zastąpi, ale jutro nie myślę czekać na lekarskie odwiedziny, wrócę razem z pierwszym brzaskiem wschodzącego słońca, Lucjanie, i przyprowadzę ci naszego księdza Cyrylla. Jestem pewna, że nam obojgu rad będziesz....

— Wam chyba Elżbieta swojej duszy pożyczyła — odpowiedział mi tylko serdecznie, jak syn ręce moje całując i rozstaliśmy się jeszcze z nadzieją, jeszcze ze słowem „do widzenia.” Co jutro będzie o tym czasie? Niechcę rozmysłem psuć sobie danych od Lucyana wrażeń, pójdę lepiej zobaczyć czy Milcia nie potrzebuje mojej wyreki. Zmówię pacierz — spróbuję zasnąć na godzinkę a pewnie téż i słońce długo na siebie czekać nie da, bo już noc dobrze się przepołowiła. Żegnam cię Elżbieto — nie żegnam uściskiem na jakiś czas rozstania, ale w myśli i uczuciu żegnam znakiem krzyża świętego, na wielką boleść i na wielkie męztwo...

(W dalszym ciągu listu pośpiesznym i prawie nieczytelnym dopisano charakterem).

Kula wydobyta; Lucyan jeszcze żyje, za dwadzieścia cztery godzin jeśli gangrena nie przystąpi, doktor powiedział, że będzie można mieć nadzieję. Póki losy się ważą, póki modlitwą uprosić co można, módl się Elżbieto, módl



się taką wiarą i takim głośnym jękiem, żebyś aż wymusiła na Bogu miłosierdzie, Chrystus przecież natrętnie w nocy do drzwi śpiącego z całą rodziną gospodarza kołatać pozwolił — O! módl się, módl się Elżbieto....

I co później się stało nie wiem; ten list przerwany znalazłam w odesłanych mi z dalekich stron papierach. Że bez daty, bez podpisu, nie dziwi mnie to wcale, bo takie zwykle bywają nasze kobiece pisma. (Te, co następują wyrazy, lub do nich podobne o ile mogę zapamiętać przez redakcyę Bibl. Warsz. wyrzucone zostały). Ale że śladu osób w nim wymienionych nigdzie nie spotykam, to mi jest coraz przykrzejszem zaciekawieniem. Gdzie żyje owa plejada szlachetnych i wzajemnie się kochających towarzyszy? Gdzie jest ta Elżbieta stokroć błogosławiona, co umiała pocziwe serce, tak pocziwem natchnąć uczuciem, że kiedy ją konające usta wspominają, mnie wywnioskować prawie niepodobna, o siostrze-li to? żonie, czy o młodej narzeczonej mowa? — Jak dla siostry jest przyjaźń ufna i szczerą, jak dla żony jest przez drugich szanowana i przyznawana miłość — jak dla kochanki jest akcent entuzjazmu, jest niby echo rozręsnionej nadziei. — Wspólna wiara, równy dział w prawdzie, wzajemnie coraz wyższej lepszosci wymagania, sprawiedliwe dokonanych usiłowań ocenienie — a przytem tkliwość pamiętna, względy pieszczotliwe, zwrót jakiś myśli opiekuńczy i uległy zarazem — toż to aż zazdrość bierze — toż to aż niespokojność porywa, gdzie jest kobieta, której się to wszystko dostało? Czém ona sobie na tyle skarbów zasłużyć umiała? A stryj ów z ojcowskiem sercem? a brat Paweł z macierzyńską duszą? — a ojciec Euzebi z klasykami w rękę, a Józef, Leon odważny — Stefan wytrwały — Karol pobożnie natchniony — gdzie oni wszyscy?

Przyglądam się do koła — widzę ludzi zajętych samolubnem zbieraniem, lub traceniem majątku — widzę bogatych, ubogich lub pracujących na to, by się z ubóstwa ku bogactwu wzniesli — widzę takich którym wygodnie, lub nie wygodnie na ziemi, którym ciasno lub przestrono, a czy ciasno czy przestronno, czy wygodnie, czy nie wygodnie, wszyscy się ciągle potracają, rozpychają jak gdyby miejsca już zabraknąć miało. — Kto tylko może ten się nie uczy, nie kształci, kto tylko musi, ten się uczy dla zarobku, ten się kształci przez spekulację. Talent, dowcip, odwaga, rzetelność — różne zdolności i cnoty któremi by można doczesność z nieśmiertelnością, a nieśmiertelność odeszłego na wieki wieków wybawić — dzisiaj pieniędzmi procentować zmuszone — Słyszę jak ojciec oblicza synowi jaka gałąź nauki do zyskowej kariery sposobniejsza, a matka dzieciom tłumaczy, że ostatecznie na poczciwości zawsze się lepiej niż na oszustwie wychodzi. — Dobrze imię, to szyld ułatwiający przeprowadzeniu wszelkich interesów — Bystrość pomysłów — to wędka na miliony. — Gotowość do rzucenia się w sam wir niebezpieczeństwa — to przedsiębiorczość zdobywcza — Złe — to brak złota zawsze — Dobrze — to zawsze tegoż złota ofitość — i trudno, trudno zaprzeczyć — przez nędzę szerzy się zepsucie — przez dostatek moralność się zabezpiecza — Tylko list znaleziony jakby zupełnie pominął te względy, z pod innej strefy, inną atmosferą otoczone przedstawia postaci — każda z nich w życiu i w śmierci — każda rozumem i sercem dobaduje się prawa Bożego — szczęściem i zdrowiem płaci za zdobytą prawdę — w miłości i radosnej prostocie, niesie bliźnim krwi swojej i trudu swojego ofiarę — No, proszę, gdzieby się tacy ludzie bez wiadomości, bez słyhu zapodzieli? Znam agro-

nomów, uczonych, malarzy, znam bardzo wielu młodych i starych literatów, lecz między nimi, a przyjaciółmi Lucyana żadnego podobieństwa dopatrzeć nie mogę—Chciałam tego i owego na słowo wyprowadzić, przekonałam się że nie a nie o tej garstce prawowiernej nie wiedzą. — Tymczasem mnie do niej aż tęskno, aż niecierpliwie tęskno bydz zaczęło — Więc, cóż na to poradzić? — Szukałam, nie znalazłam — czekałam, doczekać się nie mogłam—patrzyłam, nie dojrzałam nikogo—Nakoniec taka mi do głowy myśl przyszła: — żeby się wszystkich od razu zapytać. — List bezimienny wyzwaniem publiczności rzucę, może go chociaż jeden z tych wspomnianych, wybranych przeczyta i może... może odpowiedź mi przyśle— Czy żyją? czy są tacy, jakimi ich opisano? Czy też mnie daném będzie na własne oczy któregośkolwiek z nich zobaczyć kiedy?....

Lublin w dzień ŚŚ. Apostołów Szymona i Judy 1854 roku.

(Ma się rozumieć, że ponieważ Redakcja Biblioteki Warszawskiej tych właśnie zapytań moich nie umieściła, odpowiedzi na nie dotychczas odebrać nie mogłam — ha! kto wie? pono lepiej się stało — wolno mi przynajmniej ciągle sobie wyobrażać, że byłabym ją odebrała pomyślną, zaspakajającą, wszelkiem życzeniom odpowiednią gdyby... gdyby tytuł przez Redakcyę nie został zmieniony).

---





ADEODAT.

ADRIAN



## ADEODAT NA PUSZCZY.

Piękną jest natura! piękne są wszystkie stworzenia Two-  
je, o Boże! olbrzymie i najdrobniejsze, wdzięczne i potwor-  
ne, użyteczne i groźne — wszystkie Panie są dziełem woli  
Twojej, i cudem Twej mądrości! Ze czcią spoglądam na  
dęby wspaniałe, na wysmukłych jodeł konary; pieściłbym,  
jak dziatwę moją, gęste krzaki leszczyny i błękitne wśród  
zielonych paproci dzwoneczki! Widziałem wczoraj króla  
tych lasów, wilka z paszczą zakrwawioną, jak na dzikiego  
wołu zwycięzko się rzucił, i uwielbiłem siłę Twoją o Pa-  
nie! w siłach bezrozumnych zwierząt działającą. Zaszele-  
ściły listki na drzewie, pod którem stałem: zwinna wie-  
wiórka wychyliła się ku mnie; przez chwilę popatrzyła  
żywemi oczkami i nagle schowała się pierzchliwie; choć ją  
tylko przyjaźną myślą pogoniłem za nią. Na gałązce drzą-  
cej od lekkiego tchnienia wietrzyka ozwał się głos piegży  
wesolej; — zbudzony puhacz smętnie zadał żalobnem wo-  
łaniem i ucichł znowu, a kukulka, kukła i kukła, że  
aż się echo rozlegało wszędzie. Co to życia, ruchu, wdzię-  
ku! co tonów nieprzesłuchanych daleś, Pani! ziemskiej  
bryle naszej! Gdzie oczy zwrócić, tam nowe arcydzieło

Twoje, Mistrzu wszechświatów potężny! Skrzętna mrówka, co u stóp żywicznych pieńków gospodarzy, — złocista pszczoła, co do wysokiej barci kroplę miodu niesie, — komar niewidzialnie w powietrzu brzęczący, — gąsienica listkiem ulubionego sobie ziółka spowinięta, — nad wodą czystego źródła, drżąca niby odłamany tęczy kawałek, leciuchna panna o czterech skrzydłach gazowych, — jakież to śliczne! ciekawe! zajmujące! po całych godzinach przypatrywałbym się i słuchał. Mnie się nawet podoba ten wąż jadowity, między wilgotnymi trawami promieniem słońca ze snu przebudzony: — oto wzniosł się na ogień, żądłem niebu pogroził: lecz pierś jego w błocie się nurza, i od błota odstać nie może; a teraz ślizga się cicho, prędko, — wylamuje się w tajemnicze półkola i hieroglificzne znaki O! wiekuisty symbolu wiedzy ziemskiej! i ty musiałeś swój haracz mi opłacić, — musiałeś dać chwilę przyjemności, dać myśl dobrą i przypomnienie zbawienne! Tak ci Pan twój rozkazał, — tak mnie Ojciec mój, który jest w niebie, wziąć i użyć pozwolił. *Gloria in excelsis!*...

Długo, bardzo długo tęskniłem do Ciebie, Boże mój! niby piskłę z rodzinnego gniazda wyrzucone. Pierwsze lata pierwszej młodości przejeżdżałem w modlitwie ciągłej skargi i ciągłego utrapienia. Roztworzyłeś przedemną skarbiec darów Twoich; postawiłeś mnie wśród świata, jako wśród przybytku swojego, a mnie lży dziecinne wzrok przysłaniały i wzdychając do nieba; przez Ciebie stworzoną ziemię zupełnie z oczu traciłem. Rozżalone serce moje szukało Cię poza stronami sklepień gwiazdzystych, — myśl niespokojna zazdrościła białych skrzydeł aniołom Twoim lub się roztopiała w marzeniach o blasku Cherubów, co na oblicze Twoje patrzą; o szczęściu Serafinów, co w zachwyceniu nad doskonałością Twoją nieskończone

nie bytują. Wzrastał i wzrastał mój smutek, aż dorósł prawdy Twojej, aż z niemocy i osłabienia, wielką siłą stał się we mnie. Zerwałem się według słów Psalmisty „jako mocarz pijany, którego budzą z uspienia; jako mocarz pijany, który wykrzykuje po upojeniu swoim.” Patrzyłem: gdzież jest droga powrotna do Ojca mego? i duch widział,—duch poczuł, że to jest droga nie *żałoby*, ale *miłości najwyższej*. O Panie! o Boże! więc ja *kocham*,—ja nie tęsknię już!

Kocham wszystko w imieniu Twojem i dla imienia Twojego. Przez miłość *rozumiem* wszystko: nie gardzę niczém nie potępiam niczego, Przez miłość odgaduję, czém były, czém będą wszechtwory Twoje i widzę jako na dłoni, że każdy z nich był lub jest, będzie lub być może doskonałością według praw Twoich i według swego gatunku. Na co spojrzę, to mi się rozjaśnia chwałą Twoją, w spełnionem lub spełniającem się, lub możliwém do spełnienia przeznaczeniu. Czy gad co pełza w kałuży, czy tygrys, co krew ciepłą chlepie, czy nawet człowiek, co bluźni i grzeszy. Panie! przed Tobą i przed miłością moją w Tobie święci się wszystko celem i środkiem,—nadzieją i obietnicą zbawienia. Gad w stosunku do pełnego wyziewów trzęsawiska, tygrys w stosunku do pustyni nieplodnej bluźnierca w stosunku do mnie, jest najlepszością i jest łaski Twojej objawem. Gdzie martwota wbrew Twojej ustawie rozpostarłaby się wszechwładnie, tam siła życia zdobywca dzikich wysłańców Twoich popycha. Gdzie piekło na zniekształcenie i upadek czycha, tam zasługi otwierasz pole, tam prowadzi mnie ręka Twoja, i uczy natchnienie Twoje, jak mam cierpliwie łagodzić zawziętość, rozbrajać nienawiść — ciemnotę światłością Twoją, fałsz słowem Twojem odpięrać.



Dawniej przed obrzydliwością spustoszenia i przed występku szkaradą, jako Cezar przed zabójczem żelazem Brutusa, odwracałem się ze wstrętem i skrajem pustelniczego płaszcza zasłaniałem sobie twarz upokorzoną... Upokorzoną, a nie *pokorną*, Panie mój! — bo mię tylko zgroza przejmowała bolesna, wstyd ogarniał trwożliwy, poczucie jakiejś hańby w lasów pędziło samotnie; bo mię dręczyła współodpowiedzialność rodowa, i poniżył we własnych oczach bliźni związek z takimi, co obrażali Ciebie. Dzisiaj — nawet w zbrodniach mych braci błogosławię Ci stokrotnie. Więcej jest we mnie chęci służenia dobremu, niż oburzenia na złe; więcej o tém myślę, co dla drugich zrobić, co poświęcić mogę, niż o tém, czego oni jeszcze nie zrobili, co wydarli sobie wzajemnie, co zepsowali i skazili. Niepragnę już samotności; rzucam bez żalu pustelnię moję. Ty, Panie! dałeś mi braci, których mogę pocieszać, upominać, którym służyć i pomagać winienem. Idę do nich z imieniem Twojem na ustach! Wiem że mię wyszydzą, jako Ciebie wyszydzili, Jezusie Nazareński. Przebaczę im, jako Ty przebaczyłeś. Posądzeniem na mnie, cisną, jako cisnęli na Ciebie, gdyś rozwiązywał opętanych i kaleki uzdrawiał. Nie zrażę się, jako Ty nie zraziłeś się Baranku cierpliwy! Umęczą mnie może, jako Ciebie umęczyli za świadectwo prawdzie, przed ludem całym Izraela złożone. Modlić się za nich będę jako Ty na krzyżu Kalwaryi modliłeś się, i dam cześć, dam uwielbienie Tobie za największy łaski Twojej dowód; bo gdy śmierć koniecznością naturze ludzkiej sądzona, czyż nie wybranym; czyż nie uszczęśliwionym Twoim jest ten, co musiałby z choroby, z przypadku, lub ze starości umierać a on umiera dla myśli Twojej i dla zbawienia swych bliźnich!

Nie, nie zazdroszczę aniołom; — nie, Cheruby i Serafy

„na krótki czas” tylko wyższe są odemnie: one posłuszne one światłe one radosne; ale ja, syn człowieczy ja współdziel-  
 dzie Chrystusa — *więcej* od nich kochać mogę; bo mogę się  
 poświęcić, pracować i cierpieć! Dzięki! dzięki Tobie o Boże.

Ciężyło mi pierwaj ciało moje, jako namiot niewygodny;  
 dłużył się każdy dzień życia, jako dzień wygnania tęskli-  
 wy; dziś lekki jestem duchowi własnemu, — dziś uznaję, że  
 najkosztowniejszym z kosztownych podarunków Twoich,  
 zawsze i dla każdego, jest ów kawałek wieczności na trud  
 na bojowanie, na pokusy i upadki może; ale nie mniej  
 przeto, na tworzenie własnego zbawienia lub na pomoc ku  
 zbawieniu innych wypożyczony. Bądź ty, jakim chcesz,  
 człowiecze, prędzej czy później *musisz* stać się takim, ja-  
 kim cię mądrość i sprawiedliwość wiekuista mieć chciała.  
 Bądź jakim chcesz, prędzej czy później *musisz* zbawić sam  
 siebie; lub, chociaż oporem szatańskim, *musisz* wywyż-  
 szyć drogi tych, co nad twojém zbawieniem pracują: *mu-  
 sisz* być świętym lub przysparzać męczenników, co krwią  
 swoją i łzami możliwość odpokutowania twych grzechów  
 wyjednają u Boga. Tak to w jedności celu, tak to w po-  
 jęciu zbawienia wszystkie pozorne sprzeczności godzą się  
 i tłumaczą, a dla cnotliwych i występnych życie równem  
 się dobrodziejstwem Bożem okazuje. Więc dzięki Tobie,  
 Panie, że mi dałeś życie! więc dzięki, choć dasz cierpie-  
 nia, trudy i pokusy!

Wracam do *ludzi*, żeby im świadczyć o Tobie, żeby ich  
 pozyskiwać dla prawdy i miłości.

Patrz w siebie, duszo moja! ozwij się najtajemniejszym  
 zarzutem, o! sumienie moje!.. Czy jest gdzie w skryto-  
 ściach mego serca samolubstwo przebrzydle? czy jest pró-  
 żności okrucz najdrobniejszy? czy jest zuchwalstwo i lek-  
 komyślna zarozumiałość?.. Może pragnę roskoszy, dostat-

ków, znaczenia? może zbyt ufam własnym siłom, a przyłożywszy rękę do pluga, za byle ponętą, za byle cackiem w tył się obejrzę i skrzywię brózdę ojczystego zagonu?..

*(Namysłą się bardzo długo).*

Nie, Panie! Ty, co czytasz w głębi ducha mojego, Ty wiesz, że ja nie pytam nawet, czy mi dziś zapracowany kawałek chleba na jutro wystarczy; nie dbam o przychylność dla mnie, bo całej miłości bratniej chcę dla słowa Twojego. Dasz chwilę radości, Panie! — przyjmę na wsparcie i orzeźwienie; nie dasz, — wyrzeknę się jej z pokorą. Oklask lub przygana równie są obojętne przeszłości mojej: ucieszą mnie lub zmartwią tym jedynie, że będą przyznaniem lub zaprzeczeniem mej wiary. A wiara moja?.. to nie wymysł przecie własnego rozumu, to nie systemacik żaden. Wiara moja — to słowo Twoje — obietnica Twoja — prawda Twoja, wyrażająca się przez wszystkie wieki *miłością* i coraz wyższem w świętości *udoskonaleniem*. Wiara moja — to każdochwilowa dążność ku rzeczywistnieniu i wypełnieniu Ewangelii Twojej, — to potrzeba nienasycona ideału Chrystusowego w sobie i w drugich — na ziemi i w niebie. A więc ja nie samolub — nie pyszny, — nie zuchwalca. Próżną kału jest dusza moja, i sumienie moje bez trwogi. A więc ja mogę pójść między dzieci Twoje grzeszne, spracowane i smutne, — a więc ja mogę cieszyć, pracować i zbawiać. — Idę, — idę, — Boże Ojcze, błogosław!

*(Wychodzi z puszczy).*



## ADEODAT W SALONIE.

MŁODA OSOBA.

Jakże się panu muzyka Roberta Djabla na wczorajszem przedstawieniu podobała?

ADEODAT.

Najpiękniejszą była modlitwa Alicyi przy krzyżu.

MŁODA OSOBA.

Oh! ja na to się niezgadzam; arya Izabelli więcej mię zachwyciła.

ADEODAT,

Czy dla tego, że namiętniejsza?

MŁODA OSOBA (*lekko zarumieniona*).

Dla tego, że silniejsza przeciw złemu. Alicya odparła tylko postrachy szatanów, przetrzymała tylko wichry i błyskawice. Izabella rozbroiła namiętność człowieka, przezwyciężyła własną słabość swoją. Im bardziej się zastanawiam, tém więcej prawdy i piękności w tej operze widzę. Robert, to każdy młodzieniec z namiętną naturą

i chciwą wrażeń wyobraźnią na świat wstępujący. Bertram to każdy współuczestnik wesółych hulanek. Na byle zielonym stoliku rozgrywa się też sama partya, co nieszczonego Roberta rzucaniem kości do nędzy przywodzi. Scena pokusy, w teatrze dla fotelowych widzów kilkakrotnie na tydzień rzeczywistością się staje. Niech to więc Pana nie obraża, jeśli przez wzgląd na ogół, Roberta Diabła nazwę prawdziwym typem dziewiętnastowiecznego mężczyzny. Szaleniec, szuler, rokosznik, zawsze on zbyt późno przybędzie, gdy heroldowie przeraźliwym trąb głosem zawezwą na turnieje, czy po wieniec zwycięzki, czy po rękę szlachetnej oblubienicy czy po zdobycie miejsca i czasu przestrzeni i teraźniejszości dla obietnic Bożych. Któż go z hańby wtedy wykupi? kto z kału oczyści? kto przed nim kościół gorejący światłem i brzmiący hymnami dziękczynienia otworzy? kto? — Kobięta. Kobięta pan słyszysz w najcudowniejszych pieśniach tej opery. Wspomnieniem matki, opieką siostry mlecznej, Alicyi, Robert walczy przeciw poszeptom Bertrama. Głos Izabelli pierwszy go uczy jak stanowczo zwyciężać je może. Tercet z ostatniej sceny jest tylko zaokrągleniem artystycznym, summa niejako rozsnutych przez całą sztukę pomysłów; lecz rozwiązaniem właściwym jest śpiew błagalny pięknej księżniczki; koroną moralną dzieła jest tryumf kobiety przez miłość nad piekłem i namiętnością.

#### ADEODAT.

Czy pani wierzy temu, że kobięta, która kocha, jest silniejszą od piekła i od namiętności?

#### MŁODA OSOBA (z uniesieniem).

Jakżebym wierzyć nie miała? toć w tém upewnieniu jest jedyna pociecha, jedyna wielkość nasza; jedyne pra-

wo nasze do życia na ziemi i do zbawienia w niebie. Odbierz pan kobiecie tę świętość nierozłączną z każdym jej serca uderzeniem, wydziedzicz ją z tej natury, dla której doskonałość ukochanego przedmiotu równie a może więcej niż jego szczęście jest potrzebną, cóż nam zostanie? Jako matkom — instynkt; jako siostróm i przyjaciółkom — wspólność interessu; jako żonom i kochankom — niewola. Oh! zaiste, wierzę, i mocno wierzę, iż w sercu kobiety, pod grozą nieszczęścia lub spodlenia, uczucie każde musi się w cnotę i świętość rozwijać; bo — bo niebyłoby uczuciem, niebyłoby miłością.

ADEODAT.

Dziękuję pani za te słowa!

*(Młoda Osoba z zadziwieniem na Adeodata patrzy).*

ADEODAT.

Tak jest, szczerze i serdecznie dziękuję. Pani jesteście bardzo piękna.

*(Młoda Osoba spuszcza oczy).*

Na mnie wdzięki kobiece zawsze wielkie czynią wrażenie.

*(Młoda Osoba rumieni się; Adeodat spostrzega jej pomięszanie i spieszy z dalszem objaśnieniem).*

Zachwycam się przecież wschodem i zachodem słońca, różowemi smulkami, co na łąkach rosną, wodą bieżącą, rzeczulek, odłamkiem kamienia połyskliwym; zachwycam się byle ptaszyną, byle muszką częstokroć. W tych wszystkich martwych lub bezrozumnych tworach, znajduję zawsze nowe do uwielbienia Stwórcy powody, nowe do ukochania Najwyższej Mądrości zachęty. A piękność ko-



bieca, ta którą chciał mieć Pan Bóg wieńcem najcudniejszym swojej *genesis*, ta jedna miałażby dla mnie martwym pozostać tylko kształtem? — Nie, ja się nie zapieram, że głowy przed nią uchylam, ile razy na drodze życia mego ją spotkam; bo spotkawszy, zaraz przypominam sobie, czego ona powinna być objawem; i nie pojęcie kształtu budzi się we mnie; lecz pojęcie cnót i przymiotów odpowiednich kształtowi; — nie jasne lub ciemne warkocz, nie rumieńca lub ust świeżość na moje zmysły działa wtedy; lecz duchowi mojemu uprzytomnia się czystość niepokalana, wiara pełna spokoju, pokora pełna godności i nadewszystko miłość, — owa miłość, co jako śmierć jest mocna, a jako prawo Boże święta i niewzruszona. Dla tego więc powiedziałem pani, że piękność kobieca wielkie na mnie robi wrażenie. Wiem jednak, że świat kłamie i grzeszy. W świecie kłamstwa i grzechu piękność, jedyna forma, co godną jest po ludzku wyrazić myśl Bożą o Maryi Dziewicy, — w świecie, mówię, piękność próżna wewnętrznej prawdy, *pukusą* tylko zwykłe i *nieszczęściem* się staje. Dla tego to widok jej choć mię zachwyca, to mię i smuci także. Kiedy z daleka przypatrywałem się pani, „Szkoda! szkoda!” mówiłem sam w sobie — „ona, piękna, rozmarzy się o szczęściu, przyzwyczai do pochlebstw i do wymagań, wartość życia na wartość doznanych przyjemności obliczy, — dla niej, dla pięknej, świat niegodnym pobłażaniem się ublichtruje; bezczelnie od niej wrażeń rokosznych i chwilek zabawy żądać będzie — a za Chrystusem kto się upomni? kto w marnotrawstwie i poniżeniu to biedne, odurzone, ślepe, duchem nie wyrosłe jeszcze dziecię próżności, surowo przestrzeże?” Pani mię wywiodłaś z mojego niepokoju, — sama wskazałaś, którą drogą iść będziesz, — droga dobra i prosta przez

wszystkie uczucia serca i przez wszystkie szczęścia przydatki zawsze ku wyższej doskonałości zawsze w górę, ku zbawieniu. Teraz już wolny troski, mogę Bogu dziękować, że panią piękną stworzył, i dziękowałem też pani, że jej słowa dały mi prawo do tego. Niechaj mi danem będzie jeszcze o ich zreczywistnieniu się dowiedzieć. Czy pani kocha kogo?

MŁODA OSOBA (*z półuśmiechem*).

Rodziców, siostry i brata.

ADEODAT.

A kochanka?...

MŁODA OSOBA (*śmiejąc się bardzo głośno*).

Co za dziwne i śmiałe pytanie!

ADEODAT (*poważnie*).

Dla czego tak dziwnem i śmiałem pani się zdaje.

MŁODA OSOBA.

Bo dosięga najwyłączniejszej własności ludzkiego serca. A panu co do tego, czy ja bogata czy uboga? (*śmieje się znowu*).

ADEODAT.

Śmiech pani od lez jest smutniejszy. Tym jednym śmiechem zaprzeczyłaś pani prawdzie lub raczej szczerości powiedzianych przy początku rozmowy naszej wyrazów. Gdyby w duchu i w naturze pani wszelki objaw uczucia był, jako mówiłaś, cnotą i świętością rozwinięty, wspomnienie o kochanku nie wywołałoby częściej pustoty na usta. Spotkany już, albo oczekiwany jeszcze, łączyłby się on zawsze w wyobraźni pani z pojęciem surowych ży-

cia obowiązków. z religijnem sercem ku Bogu wzniesieniem z nadzieją tego dobra, które przy wspólnej pracy, jemu, rodzinie i ziomkom zapewnić będziesz pani mogła. Widać jednak, że tak nie jest. To słowo „kochanek“ przywodzi pani tylko na myśl pewną sumę przyjemności, czułych oświadczeń, zadowolonych wymagań, może nawet z dosyć arytmetyczną pewnością obliczonych zysków. Dla tego samej sobie niezdając sprawy z tych wrażeń, czujesz pani potrzebę ukrycia ich w głębi swej duszy. Dla tego zowiesz je własnością swoją najwyłączniejszą,— i masz słuszość: najwyłączniejszą własnością człowieka są jego *słabości i grzechy*. Wszystko, co w nim jest czyste, nieskażone, pocziwe, wszystko to zawsze do Boga i do ludzi braci należy.

#### MŁODA OSOBA.

Jaki pan młody! Jaki pan naiwny! Prawda, że co u nas dobre jest, to należy do Boga; ale nie wszystko co do Boga należy, do ludzi należeć może; są perły, których na zdeptanie rzucać nie wolno.

#### ADEODAT.

A któraż perła kosztowniejsza od tej, którą już pani podarowałaś mi pierwej? Jeśli godny byłem przyjąć wyznanie jej osobistego przekonania w rzeczach największej wagi, czemu mię pani od zatwierdzających je szczegółów usuwa? Gdyby pani cisnęła w moją stronę kwiat wonnej róży lub kamień, czyżby ją zadziwiło, że pytam: „dla czego?“ a kiedy do objaśnienia uczynku, jego moralna zasada, jego wewnętrzne słowo jest mi potrzebném jakże stokroć więcej jeszcze do zrozumienia słowa każdego jest mi wiadomość o jego sposobie wykonania konieczną.



## MŁODA OSOBA.

Ha! to już purytanizm przesadzony! Jeśli każde ogólne zdanie przyjdzie spowiedzią uczynków swoich popierać, wszyscy zamilkną podobną, i nie znajdziesz pan nawet kwakra amerykańskiego do towarzyskiej rozmowy.

## ADEODAT.

Czy to ma znaczyć, że nie znajdę człowieka, któryby według uznanych przez siebie zasad, *postępował*?—No to lepiej, niech milczą wszyscy, wszyscy zapominający, że Bóg ich własnymi słowami sąd im kiedyś głosić będzie. Co do mnie, ja zawsze o tém pamiętam, i nigdy sobie rozmowy o przedmiotach czci mojej, o zasadach mego przekonania, jako chwilowej rozrywki, nie lekceważę.

## MŁODA OSOBA.

Szkoda, że mi pan z góry tego nie zapowiedziałeś, byłabym ostrożniejszą.

## ADEODAT.

Ach! pani, gdybym mógł był przewidzieć, że takie zapowiedzenie jest dla niej potrzebnem, jużby się tém samem dla mnie nieużytecznem stało.

## MŁODA OSOBA.

Rozumiem. Pan nie zacząłbyś nawet mówić ze mną.

## ADEODAT.

Muszę przyznać że pani dość sprawiedliwie myśl moję odgadła: nie zacząłbym z nią mówić, a przynajmniej mówić o prawdzie, o miłości, o Bogu.

## MŁODA OSOBA.

Czy pan dziwak tylko, czy rzeczywiście lepszy od drugih człowiek? trudna do rozsądzenia sprawa. Żeby jednak przypadkiem „lepszego“ nie obrazić, wolę już nawet dziwakowi dogodzić. Odpowiem na pana zapytanie, odpowiem śmiało i wyraźnie; bo ja przez skąpstwo może, a nie przed wstyd i lekceważenie milczałam. Chciałeś pan wiedzieć, czy kocham?—Więc *tak jest*, —kocham, wkrótce nawet za mąż pójdę. A szczęśliwa, a dumna jestem wyborem moim: to ramię, na którym się wesprę, dobrych uczynków ułatwi mi spełnienie; to serce, któremu zaufam, nie zmarnuje miłości mojej na marzenia bez celu i samolubną pomyślność. Oh! gdyby pan wiedział, jaka to dusza czysta, szlachetna, poświęcona! jakie wzniosłe o przeznaczeniu człowieka pojęcie! jakie na przyszłość zamiary!... Lecz panowie przecież mogą się z sobą zapoznać... on tu dzisiaj będzie.

## PRZYJACIÓŁKA NOWO-PRZYBYŁA

*(zbliżając się do młodej osoby).*

Witam, witam piękną narzeczoną. Ach! moja droga, cuda słyszałam o twoich przedślubnych upominkach: dyamenty w broszce szczególnie mają być prześliczne. A co za ekwipaż się gotuje!.. Brat mi powiedział, że najpiękniejsze konie z całego Ciechanowieckiego jarmarku dla ciebie są kupione...

MŁODA OSOBA *(do Adeodata z uśmiechem).*

Niech pan się tém nie gorszy: to są małe ustąpienia światowym zwyczajom. Przed wydaniem stanowczego sądu proszę osobiście poznać się z zapozwanym.

## ADEODAT.

Choćby mię pani na ten raz bez litości w dziwactwo odsądzić miała, przyznam się jednak, że jestem do zgorzenia się trochę usposobiony. Kiedy zwyczaj światowy niema w sobie chrześcijańskiej prawdy, komuż to łatwiej powstać przeciw niemu, jak ludziom z pod władzy światowej wyzwolonym? a zaiste nie znam zupełnie, swobodniej nad ludzi, co się przed Bogiem i przed bliźniemi wzajemną ukochali miłością. Czyż do ich szczęścia kilka okrucich zbytku cośkolwiek przydać może? W tych ważnych chwilach życia, które o kierunku całej przyszłości stanowiąc będą, stokroć potrzebniejszą jest *laska Boża* niż wszystkie ziemskie dostatki, a połączenie się w świętej myśli, w szlachetnym zamiarze i *pięknym czynie jakim* lepszą trwałości uczuć rękojmią, niż połączenie się w odurzającym, najartystyczniejszych przyjemnostek zachwycie.

## MŁODA OSOBA.

Ma pan wielką, wielką słuszność. Tylko czasem jedno drugiemu nie przeszkadza.

*(W tej chwili młody obywatel do salonu wchodzi).*

Otóż latwem się staje moje usprawiedliwienie.

*(Młoda osoba wita narzeczonego, zapoznaje go z Adeodatem i po kilku wymienionych grzecznościach zostawia samych żeby swobodniej rozmówić się mogli).*

## PRZYJACIÓŁKA

*(do odchodzącej młodej osoby, półgłosem).*

Kto jest ten pan, co tak długie prawil ci morały?



MŁODA OSOBA (*także półgłosem*).

To jakiś zacny oryginał, któremu jednak miałam szczęście się podobać.

PRZYJACIÓŁKA.

Biedny! za późno przybywa.

(*Adeodat słyszy to wszystko i dziwi się*).

OBYWATEL (*do Adeodata*).

Pan od niedawnego czasu dopióro, i nawet, jeśli się nie myślę, po raz pierwszy w stolicy naszej gości?

ADEODAT.

Tak jest, całe życie moje dotychczas, zdala od świata samotnie przepędziłem

OBYWATEL.

Jestem pewny, że pan znowu zatęszchni do swojej ustro-  
ni. Niech co chcą mówią, my potomkowie Piasta, rolnika,  
wśród pól i lasów tylko czujemy zdrowe dla piersi na-  
szych powietrze.

ADEODAT.

Jednak gdy piersi zdrowe, to i powietrze miejskie im  
nie szkodzi.

OBYWATEL.

Prawda, lecz też tylko nieszkodzi; na wsi zaś ożywia  
i utrzymuje: tam praca, tam nagroda jedyna. Może pan  
dał się uwieść tegoczesnym przemysłowym teoryom?..

ADEODAT.

Oh! bynajmniej, bynajmniej!...

## OBYWATEL.

To wielkie szczęście; bo owe sztuczne trephauzowe nowości przygłuszają tylko rodzinne gruntu naszego płody.

## ADEODAT.

Przez ostrożność, zbytęcną może, ale chciałbym się dowiedzieć przecież, co pan właściwie „nowością” nazywa?

OBYWATEL (*z uśmiechem*).

Widzę, że pan się lęka, czy tym wyrazem wszelkiego nie objąłem postępu. Bądź pan spokojny. Uznaję postęp, szanuję go i pragnę; ale pragnę w pojęciu „ulepszenia” więcej, niż w pojęciu odkryć, wynalazków i spekulacyi. Pierwej, nim rzeczywiście tych dodatnich środków zapotrzebujemy, wiele nam jeszcze do roboty na miejscu, kóło siebie zostaje. Gospodarstwo wiejskie dzisiaj w kolebce dopiero. Każdy obywatel jest raczej ekonomem, niż panem w swoich dobrach: zasieje, zbierze i co się da z reszty, do kieszeni schowa. To jeszcze zupełnie służalcze zatrudnienie, to stan w połowie barbarzyński, a całkowiecie pogański. Otóż—zamawiam sobie chwilę pobłażania, póki się jaśniej nie wytłómaczę. — Otóż, mówię, jabym chciał, żeby każdy z nas był na glebie swojej panem prawdziwym, żeby rządził i urządził, żeby królował w dziedzictwie swoim według tego systematu, jaki mu się najlepszym wydaje. Nie wchodzę w rozbiór, czy najlepszym będzie istotnie, ale niech będzie jakikolwiek, byle z przekonania szczerzego wysnuty a wytrwałością podtrzymany. Zdaje się, że to nie zbyt trudne zadanie; jednakże siedmiomilowe buty przydałyby się naszej generacyi, gdyby chciała tę jedną stacyę postępu przed zejściem swoim ubiedz. Ile razy gazetę lub zagraniczny dziennik weźmie-

my do ręki, każdemu z nas, mniej więcej przyjdzie jakiś koncept o lepszym, lub właściwszym, lub śpieszniejszym kierunku teraźniejszej historyi państw europejskich; — żaden nie pomyśli, że on także historyą małego państwa swego kieruje, że ma pod ręką sposobność i obowiązek zastósowywania swoich pomysłów w tej mierze; bo na nie-szczęście jak to wspomniałem, żaden się panem i królem nie czuje. Kawalek kraju, kawałek królestwa na własność mu oddany, a słuszniejby się rzec godziło, *wydzierżawiony* przez Opatrzność, zdaje mu się tylko materyałem, utrzymanie i przyjemności życia zabezpieczającym. Nikt względem niego szlachetniejszych nie pojmuje obowiązków nad obowiązek prostego wyzyskiwania. Są przecież, są ogromne moralne obowiązki. Właścicielowi jakiegobądź cząstki na tej ziemi, nie wolno się samolubnym odgradzać interessem, nie wolno zasklepiać w ciasnem kółeczku swoich potrzeb i życzeń. Myśli jego, prace, przedsięwzięcia wszelkie silnym cementem z *całością* łączyć się winny. Jakąby chciał kiedyś ludzkość widzieć całą, taką powinien starać się ojcowiznę swoją uczynić. Jeśli uznaje, że ludzkości byt dobry potrzebny, to niech się stara o byt dobry w ojcowiznie swojej: niech zasiewa odłogi, osusza błota, wznosi obszerne i porządne chałupy, hojnemi rękoma niech płacę zarobku sypie. Jeśli oświata jest w jego mniemaniu potrzebniejszą, to niech szkoły dogląda, dzieci examинуje z przesądami starszych walczy. A jeśliby serce jego za religią głównie, za cnotą, za braterstwem między ludźmi tęskniło, to niechże cnotę i braterstwo szczepi: niech od pijaństwa odzwyczaja, rodziny godzi, obyczaje poprawia, niech się wspólnie krząta, smuci, pociesza i modli. Widzi pan, ja to zowie królestwem, panowaniem obywatela. Na *tym* gościńcu przedewszystkiem



chcę postępu i wszelkich możebnych udoskonaleń; nowości przyjdą później, znajdą się w swoim czasie i miejscu, będą nawet pomocą te, co trucizną dzisiaj.

#### ADEODAT (*rozrzewniony*).

Niech pan raczej bez wszelkiej przerośnięci powie, że gdy ludzie zaczną kształcić moralną swoją naturę i sumienie swoje, to dopiero na gościniec prawdziwego postępu się wydostaną. Czy obywatele, czy urzędnicy, czy chłopci, czy panowie, dla wszystkich jedno prawo. Jeśli o *królestwo niebieskie* starać się będą, reszta przydana im zostanie. Nadużywano tych świętych wyrazów Ewangelii, utworzono z nich jakąś formułkę ascetycznego wyrzeczenia się i ubóstwa; tymczasem w nich tkwi najpraktyczniejsza, najważniejsza zasada ekonomii społecznej. Poki się ludzie nie zaczną starać o to, co jest dobre, sprawiedliwe i święte, póty im zawsze brakować będzie nawet tego, co jest wygodne, przyjemne i potrzebne. Wiek za wiekiem upływa i doświadczenie za doświadczeniem idzie, a nieomyślność tego proroctwa i mądrość tego przykazania stwierdza się coraz dowodniej.

#### OBYWATEL.

Już-to zaprzeczyć trudno, że moralne udoskonalenie natury ludzkiej jest wspólną koniecznością dla szczęścia wszelkich stanów; ale przy dzisiejszym rzeczy układzie, — dla nas szczególnie, postęp tak zwanych wyłącznie „obywatelskich” stosunków i zasad, jest niewątpliwie głównym teraźniejszości na przyszłość zadaniem. Same okoliczności wskazują. Tu pan już masz gotowy do obrobienia materiał, masz przed sobą czas i przestrzeń, — masz grunt,

ludzi i władzę rozkazywania,—idzie tylko o to, byś miał myśl w głowie, miłość w sercu, i wiedział, co rozkazać.

GOSPODARZ DOMU (*zbliżając się do obywatela*).

Cieężkie czasy! ciężkie czasy! Dobrodzieju. Urodzaje ogromne, żyto tanie, najemnik drogi! Po wieleż pan u siebie płaci?

OBYWATEL.

Po 40 groszy; ale i wódka trzy razy na dzień w przydatku.

GOSPODARZ DOMU.

Mnie rządca pisze, że i za 2 złote nie chcą w naszych stronach wychodzić. Cieężkie czasy! ciężkie czasy. Dobrodzieju! A cóż ta sprawa pana z zarobnemi wsiami, czy już skończona?

OBYWATEL.

Nie bardzo zręcznie mój adwokat mi ją pokierował; teraz pójdzie pod decyzją Senatu.

GOSPODARZ DOMU.

Pod decyzją Senatu? no, to właśnie doskonale się trafia: zapoznam pana z osobą, wielkie tam wpływy mającą. Musisz pan jednak godzinkę czasu wśród nas wiściarzy przepędzić. Wiem, że to będzie wielkiem poświęceniem z jego strony; lecz interes przed szczęściem, mój panie młody.

(*Uśmiecha się znacząco*).

Dam panu miejsce przy jego stoliku, zwykle on punkcik po pół rubelka grywa.

OBYWATEL.

Żal mi czasu, tego się nie zapiéram; ale z wdzięcznością umiem cenić dobre chęci łaskawego pana, i jestem na jego rozkazy.

*(do Adeodata).*

Pan nie z nami?

ADEODAT.

Nie, nie z panami.

*(patrzy się za odchodzącemi i dziwi się).*LITERAT *(przysuwając się do Adeodata).*

Niech się pan nie obraża, jeśli pomimo bardzo niedawnej znajomości naszej; dość osobliwem pana zaczepię pytaniem. Powiedz mi pan, ale to szczerze, nieobłudnie czy pan dużo czasu na czytanie traci?

ADEODAT.

Jeśli mam panu szczerze, nieobłudnie powiedzieć, to czasu mego staram się nigdy i na nic nie tracić; więc téż i przy czytaniu nie tracę go; lecz używam. Zdarza mi się niekiedy długo, po całych dniach, tygodniach i miesiącach czytywać; jednakże wszystkich książek, w stosunku do pana, do innych tutaj zgromadzonych osób, nadzwyczaj mało przeczytałem podobno.

LITERAT.

Co znaczy, że pan kilka prawdziwie dobrych i pożytecznych rozmyślił z przynależną uwagą, z właściwem ducha zebraniem, z korzyścią tak dla serca, jako téż dla umysłu. Oh! ja to zaraz odgadłem. Zbyt żywo pan czujesz, zbyt chętnie, jak mi mówiono, do pracy i do czynów się



garniesz, abyś miał pocziwe chwile swoje; cudzem próżniactwem, a szlachetne wrażenie cudzemi marzeniami zabijać. Literatura dzisiejsza w torpille Śródziemnego morza się zmieniała: kto jej dotknie, to drętwieje.

ADEODAT.

Lecz mnie się zdaje, że pan właśnie takby mówić nie powinien; od niego przecież zależy choć w części uderzenie drętwikowe pioruną iskrą podsyceć.

LITERAT.

Czy dla tego, że mię ludzie autorem i literatem nazywają? Moje próby mniej lub więcej szczęśliwe posłużyły mi do lepszego rozpatrzenia się w tajemnicach rzemiosła; bo autorstwo istotnie *rzemiosłem* się stało. Jest to dziś pewien rodzaj krawieczyzny, garncarstwa, młynarstwa, przedzalni i różnych warsztatowych wyrobów: jest kuglarstwo i zręczność, stowarzyszenie i przedsiębiorczość.

ADEODAT.

*(wskazując na jakiś ustęp leżącej na stole gazety).*

Zbyt rozpaczliwych dobiéra pan wyrażeń; przecież te słowanie są krawieczyzną, nie są warsztatowym wyrobem, te są napisane pocziwie i sumiennie.

LITERAT.

Albo raczej, to są pocziwe i sumienne słowa niepocziwie i niesumiennie napisane. Gdybym panu chciał wszystkie zakulisowe niteczki literackich maryonetek tłómaczyć i objaśniać, końcaby temu nie było; lecz mam wstręt nieprzełamany do Arystofańskiej metody, do wy-

prowadzania imiennych osobistości na scenę. Głosem i drukiem zawsze przeciw *ogółowi* tylko złego powstaje.

#### ADEODAT.

A wielką łaskę tym samym czytelnikom pan świadczysz. Po co im się o człowieka dowiadywać? kiedy ze słów jego zdrowsze mogą mieć wrażenie bez tego przydatku właśnie.

#### LITERAT.

Takie téż to wrażenie, jaki człowiek! Kto dziś do myśli i do serca bierze przeczytane książki? Kto się z nich bogaci jakim moralnym nabytkiem? Kto je rozmyśla, pamięta? Prędko z pod pióra płyną, prędzej jeszcze przez ręce publiczności się prześlizgają; jedno z drugiego koniecznem jest następstwem. W jakim duchu, w jakim usposobieniu autor dzieło swoje tworzy, — mimowolnie bezświadczenie czytelnicy w takim samym stosunku je przyjmują. Jeśli to jest plód talentu grający w pocziwe i sympatyczne słowa, to się zaiste będzie „podołał,” wywoła kilka pochwalnych wykrzykników, zajmie chwil kilka przyjemną rozrywką; lecz na tém się jego wpływ ograniczy. Pod wyższym stopniem temperatury serdecznej ulotni się, — pod niższym zlodowacieje. Czy pan słyszał, żeby w tych czasach książka ta lub owa, jak to niegdyś bywało na opinią zadziałała? żeby historycznemu zrównała wypadkowi? żeby od niej szła data pewnych wyobrażeń, zwyczajów, cnót, choćby pomyłek wreszcie? Może się panu zdaje, że do napisania takiej książki geniuszu potrzeba? Oh! nie; ledwie talentu trochę. „*Emil*” nie jest arcydziełem, a pan *Rousseau* nie był geniuszem; po wyjściu „*Emila*” jednak matki z bogatszych warstw towarzystwa same

zaczęły karmić dzieci swoje. „*O skutecznym rad sposobie*,” ta książka pewnie surowej nie wytrzyma krytyki; gdy się zjawiała przecież, sumienie całego narodu zadrżało u nas gniewem lub niepokojem — oburzeniem lub przykładem. A dzisiaj? czy gorzej piszą? czy nowych poglądów i ważnych tematów braknie? Owszem, owszem; zdolności są zadziwiające, nowości śmiałe i obfite; pomimo niektórych utrudzeń, temata tak ważne, jak spostrzeżenia doktorskie w dzień 13ty przesilenia tyfusowego. I cóż ztąd, kiedy *namaszczenia Bożego*, kiedy *iskry ożywczey* wszędzie i wszystkiemu niedostaje. Literatura z tronu zrzucana; bo literaci błotem się obryzgali. Pan utrzymuje, że tak być nie powinno; według pana wszelkie gruntowne zdanie, wszelka zdrowa zasada powinna własną wartością ostać się między ludźmi i na ich pożytek plonować; jednak plonów nie widzimy. Nad *prawdą wyrazu*, niech człowiek jak chce sofizmuje, zawsze *prawda ducha* górować będzie, nie ten gatunek zboża się przyjmie, który choć z najlepszych spichrzów dla drugich zasiejemy; ale ten który w nas samych się rodzi!

(Z wistowego pokoju orderowy urzędnik przysuwa się do rozmawiających i słucha).

#### ADEODAT.

Musisz pan chyba mieć słuszną. Ja sam tego wytłumaczyć sobie nie umiałem; lecz bardzo często zdarzyło mi się czytać niby po myśli mojej napisaną książkę; czytałem jednak tak chłodnie, tak bez zastósowania do żywych zdarzeń i wniosków, że aż na siebie samego oburzony byłem. Teraz jaśniej widzę tego niesmaku przyczynę. Nie wiem, czy panu znajomém jest naprzykład to dziełko. „*O sztukach pięknych?*”



LITERAT (*wachając się nieco*).

Czy mi jest znajomem? Tak... to jest... znam je, znam je bardzo dobrze...

ADEODAT.

Są prześliczne ustępy; forma zdaje się czysto dydaktyczną, a przeciesz smutne jedynie polemiki zostawia wrażenie; znać, że autor więcej przeciw ludziom, niż za prawdą swego przekonania pisał.

LITERAT.

Więc pan tak je osądził? ha, to pan bardzo niebezpieczny czytelnik.

*(klania i się odchodzi. Adeodat dziwi się coraz więcej).*

URZĘDNIK.

Jeśli się nie mylę, rozmowa naszego zasłużonego w piśmiennictwie autora niekoniecznie w przyjemnem została pana usposobieniu?

ADEODAT.

I owszem, powiedział mi jedną wielką prawdę; tylko ostatnich wyrazów jego zrozumieć nie mogłem.

URZĘDNIK.

*(śmieje się na całe gardło, a potem do ucha Adeodatowi półgłosem szepcze).*

Słyszałem trochę, z boku. Najniewinniej w świecie wbileś pan ostrą śpileczkę za paznokieć naszemu luminarzowi. Toć to jego własne dzieło tak mu pan w oczy skrytkowałeś.

## ADEODAT.

Jego własne dzieło?... jego...

## URZĘDNIK.

I cóż to pana zdumiewa? Jego własne, — napisane z żółcią ukrytą; bo go w tym czasie jeden znakomity artysta obraził. Zawieść i pycha serca, to są dziś bardzo gadatliwe, bardzo wymowne muzy, a ten pan ich wychowankiem. Trudno mu pewnej zdolności odmówić: umie wiele i wiele trafi." Tylko mądrość jego, serc nie rozgrzeje; bo z nią *łaska Boża* nie jest. *Łaska Boża* z nią nie jest; bo jej brak *pokory* i *ofiary*, a pokora i ofiara, oh! to jedyne skrzydła, któremi dusza ludzka unieść może w sferę skutecznej pracy, olbrzymiej siły i cudów dziejowych. Pokora i ofiara, to dwa oblicza miłości najczystszej, najświętszej, miłości prawdziwie Chrystusowej; gdyż *pokora* jest ukochaniem prawa Bożego; *ofiara* jest znienawidzeniem własnych grzechów i własnych skłonności nikczemnych. Przez pokorę człowiek zatapia się w myśli Bożej, ucha nadstawia poszeptom Ducha świętego; nie rozumiem buntowniczym nie fantazją zbląkaną, nie pokusą namiętną; lecz wyższem natchnieniem się rządzi; nie z siebie lecz z nieba czyta i głosi prawdy wiekuiste. Przez ofiarę czyn jego martwy ożywia się dopiero: przez ofiarę jałmużna wspiera; przez ofiarę dobra rada uczy; przez ofiarę tylko ze stosunków naszych z bliźniemi usuwa się wszelka osobistość, wszelki cień samolubstwa, przez ofiarę nasze zaczepne *Ja* ginie zupełnie, a w miejscu jego staje Bóg sam, Bóg celem i przyczyną każdego naszego kroku będący. *Pokory* i więc i *ofiary*! wołam ciągle do młodzieży naszej. Ale głos mój jest głosem wołającego na puszczy. Głowy zbyt pełne, serca zbyt puste u wszystkich. Pozbawione

równowagi, to, co zbyt pełne, nisko upada i w brudzie ziemskim się tarza; to, co zbyt puste, na powietrzu bez żadnej buja sobie podstawy, intelligencya służy zaspokojeniu potrzeb; serce dziwactwom chwilowym! Kto ma bystrzejsze umysłowe zdolności, używa ich na wyrobienie sobie karyery; komu serce uderza, to chyba do jakich rozmierzających utopij. Prawdy życia, zgody między swoim powołaniem a przeznaczeniem ludzkości, między jednostką a ogółem, między ideałem a możliwością, nikt dzisiaj w ustrój praktyczny nie sprzęże; bo nikt w sobie pokory niema, nikt ofiarować się nie umie; ofiarować dla myśli Bożej i dla prawdy, ukochanej ofiarą prawdziwą, ofiarą Abła, Abrahama, ofiarą Izaaka na stosie, Chrystusa na krzyżu.

ADEODAT.

Są jednak ludzie cichej duszy i pokornego serca.. ludzie.

URZĘDNIK.

A ja panu powiadam, że ich niema. Gdyby takie drzewa rosły w naszych ogrodach, czy tam lasach; toć przecie znaćby je było po ich owocach: A gdzież — obejrzyj się pan dokoła — gdzie tu pokory i ofiary owoce? Nędza, ucisk, kłamstwo, zepsucie, martwota: oto są gorzkie jagody rozrastających się po ziemi naszej cierni.

ADEODAT.

Ale bo może ciernie więcej tylko w oczy biją, to je prędzej dojrzeć możemy; owoce zaś pokory, pokorne właśnie, więc niedostrzeżone, — ziarenka ofiar drobne, jak ziarenka żyta naszego, — Chcielibyśmy, żeby każde cedrem zaraz wyrosło, a tymczasem ono kłosem rośnie



i wiele, wiele ich trzeba, nim pole całe okryją; lecz gdy okryją, gdy dojrzeją, to z cedru, może piękna ozdoba, może trumna będzie wspaniała; — z ziarneczek ofiarnych chleb — z chleba siła i życie.

URZĘDNIK.

Ale kiedy ja panu raz jeszcze powtarzam, że niema dziś nawet ziarneczek żyta drobniutkich...

ADEODAT.

Trudno mi potępieniem na świat cały cisnąć...

URZĘDNIK.

Bo pan młody; bo pan także zarozumiały; bo panu się zdaje że jesteś szlachetny, sumienny, do poświęceń gotów. Oh! zaczekaj! zaczekaj! niech przejdzie jedna próba za drugą, — niech ci miejsca spodziewane ubiegną, niech zaśłużonej nie dadzą nagrody, niech się przepchnie naprzód i wyścignie pana łada głupiec nikczemny, dopiero wtedy będziesz mógł pan rozsądzić w sobie, czy pokornym jesteś czy ci łatwą ofiara? Przy pacierzu, w kościele, do którego nas matka zaprowadzi, lub między stosami książek jakiej biblioteki spokojnej, lub jeszcze z resztą na uniwersyteckiej ławie, zdaje nam się, że wszystkiemu wydolamy bez trudności, że tak wiernie Panu Bogu służyć, że tak tkliwie ludzi kochać będziemy! A proszę tylko głowę na świat wychylić, wszędzie intryga, wszędzie zawiść; każdy pnie się po szczeblach fortuny, choćby dziesięciu innych na złamanie karku miał zrzucić. Więc powoli młody zaczyna się bronić; zaczyna trzymać mocniej, żeby nie upadł; w końcu sam łokciami rozpycha: egoizm, jak dżuma niewidzialna, powietrzem zaraża i dotknięciem truje. —

Czy pan widziałeś kiedy człowieka, coby wołał być na ostatniem, niż na pierwszém miejscu? wołał być ubogim, niż bogatym? zapomnianym, niż sławionym? Zapewne pan takiego na żywe oczy nie spotkał nigdy. Jednakże taki tylko, mógłby się od ogólnej choroby ustrzedz. Idź z latarnią go szukaj. — *Pokory i ofiary!* wołam głosem wołającego na puszczy, — *pokory i ofiary!*..

ADEODAT.

Święte słowa pańskie!

MŁODY OBYWATEL (*przychodzi i grzecznie się skłania*).

Teraz na pana kolej znowu: robr już rozegrany.

URZĘDNIK.

A przy kim szczęście.

MŁODY OBYWATEL.

Przy zasłudze, choć to się nie często zdarza; pan górą między nami.

(*Oddalają się; Adeodat zostaje sam, patrzy za nimi i dziwi się ogromnie. Po chwili wysuwa się niepostrzeżony z salonu.*)

ADEODAT (*przez sień idąc*).

Święte słowa! Tak jest, ci ludzie na pamięć wszystkie święte słowa umieją!..

---

## ADEODAT POD STRYCHEM.

ADEODAT.

Byłem w chaosie ludzi bardzo uczonych i bardzo bogatych; tak mi się smutno zrobiło, że do ciebie bracie, na pociechę i wypoczynek zaszedłem.

UBOGI MŁODZIENIEC.

Kółka lub tego jedyne go stolka chętnie ci na wypoczynek ustąpię; ale na pociechę, to ani jednej myśli nie mam w głowie.

ADEODAT.

Masz zawsze przynajmniej pocziwe w sercu uczucie; mnie ono wystarczy.

UBOGI MŁODZIENIEC.

Właśnie zaczynam wątpić, czy się choćby i na pocziwe uczucie zdobędę.

ADEODAT.

Już przywykłem do smutku twojej twarzy, mój bracie lecz słów tak gorzkich nie spodziewałem się usłyszyć od ciebie.



## UBOGI MŁODZIEŃC.

Gorzkie słowa? toć *one* tylko życie mi cukrują. Póki sam siebie oskarżam; póty mi łatwiej od skargi na drugich się wstrzymać. Poki rozmyślam o własnem niedołęztwie, o własnem lenistwie, o własnej nieużyteczności, póty mi jeszcze dość wesoło na świecie; jak tylko przypuszczę, że ja mogę być niekoniecznie najgorszym z ludzi, że są inni gorsi daleko, szkodliwsi daleko, to chciałbym zaraz oknem na bruk wyskoczyć; bo jednak szkaradną byłaby ziemia; na której mnie podobni mogliby się do trochę lepszych liczyć.

## ADEODAT.

Bracie, porzućmy sarkazm i szyderstwo; ty wiesz, jak wstrętne są mojej naturze. Mówmy lepiej otwarcie, szczerze, poważnie. Co jest główną twego zniechęcenia przyczyną? Może ubóstwo?

UBOGI MŁODZIEŃC (*po chwili namysłu*).

Już kilka razy sam sobie zadałem to pytanie; lecz, nie, — sumienie przy najściślejszem badaniu zawsze mówi: *nie*. Kiedy widzę bogatych, widzę téż natychmiast ciążącą na nich odpowiedzialność i otaczające ich pokusy. Większa część ubogich przypatruje się powierzchownie blaskowi zbytku, i myśli sobie, że gdyby w jej ręce skarby się dostały, toby ich lepiej użyć potrafiła. Ja niemam tego złudzenia, wiem, że koło ulubieńców fortuny *zmieniają się wszystkie zewnętrzne losu i zdarzeń warunki*, a tém samém i oni *wewnątrz* zmieniać się muszą. Co do mnie, prawda, że nie chcę być takim, jakim jestem; lecz nie chcę także być takim, jakiemi oni są. W usposobieniu mojem leży łatwość wyrzeczenia się wszelkich wygód

zmysłowych. Na strój, na błyskotki modne, na wierzcho-  
wce i koczyki, na Lukullusowe obiady i wina zagranicz-  
ne, wcale chciwością nie grzeszę. Jedwabne słówka, wy-  
szukane grzeczności, uprzejme nadskakiwania i pochleb-  
stwa nie nęcą mię także; bo „w ten sposób“ próżnym się  
nie uznaję. A ponieważ przy największym majątku, *to*  
jedynie zapewniłbym sobie; więc nieobłudnie, w głębi du-  
cha rozstałem się już ze wszelkiem o bogactwie marze-  
niem. Jest tylko jedna fantasmagorya, która mi często  
jeszcze głowę zawraca: niezależność! Być niezależnym!  
mieć dla siebie każdą dnia godzinę, mieć przed sobą wszy-  
stkie strony świata otwarte, — chodzić, myśleć pracować  
według natchnienia, a nie według zegarka i czyjegoś roz-  
kazu, — oh! bracie, to mię strasznie rozmarza niekiedy!

#### ADEODAT.

Więc już przyczyna złego odkryta: brak ci niezależ-  
ności.

#### UBOGI MŁODZIENIEC.

Mylisz się na nieszczęście, mój drogi. Daj mi dziś nie-  
zależność: — jutro rano, — może trochę dłużej spać będę;  
ale jak się obudzę, już nie będę wiedział, co z nią robić.  
Mówiłem, że chce chodzić, myśleć, pracować według na-  
tchnienia. Chodzić? a gdzie pójść? — czy jest miejsce ja-  
kie lepsze jedno od drugiego? czy mię tam lub owdzie po-  
trzebują? czy ja się zdam na co kędy? — Myśleć, — a po  
co mnie myśleć? — Gdybym mógł tobym sobie mózg z czo-  
ła wyrzucił, żeby nie myśleć właśnie. A praca niezależ-  
na? — Czy ty jej wierzysz, bracie? Ja, to już nie wierzę  
wcale. Dzisiaj pracuję; bo muszę mieć bułkę na śniada-  
nie, i choć co drugi dzień porcyę rosółu ze sztuką mięsa

na obiad; muszę mieć buty i tużurek na plecach, a ten kawałek dachu nad moim tapczanem. Lecz gdyby mię codzienna nędza biczem nie zacinała, pewniebym ręce jak Turek, na piersiach skrzyżował i patrzył w górę na muchy co po suficie chodzą. O ile więc to jest prawdą, że człowiek pracować powinien, o tyle ja ubóstwu mojemu zawdzięczam jedynie spełnienie człowieczej powinności. Im więcej się zastanawiam, tém głębszego nabieram przekonania, że od zepsucia, od szaleństwa, od samobójstwa może, ubóstwo głównie strzegło mię dotychczas. Niezależność strułaby mię prędzej, niż *laudanum*.

ADEODAT.

A zatem, pokazuje się, że nie zewnętrzne okoliczności ciebie drażnią, ale wewnętrzne usposobienie.

UBOGI MŁODZIENIEC.

Sam ci to przecież powiedziałem : ze wszelkiego złego, ja sam sobie najgorszy.

ADEODAT.

Nie nadużywajmy wyrazów. Kiedy się najgorszym przeżywasz, to mi powiedz, czyjej pragnąłeś krzywdy? kogo zamordowałeś, okradłeś, spotwarzyłeś? Co już zrobiłeś lub chciałeś złego uczynić?

UBOGI MŁODZIENIEC.

Wielka mi zasługa, że się jeszcze w drogę do policyjnego więzienia nie wybrałem. Ale mię spytaj, bracie, co ja zrobiłem, lub co ja chcę dobrego zrobić? to dopiero trudna przeprawa. Najpiérw, od póki wiem, że żyję, nie zrobiłem nic. Ani jednemu człowiekowi życia nie urato-



wałem, ani jednej nędzy nie wsparłem, ani jedną skuteczną przysługą pochwalić się nie mogę. Radziłem sumienie, lecz moje rady nieprzydały się nikomu; kiedy chciałem błędzącego na dobrą drogę wprowadzić, to mię wyśmiał; kiedy chciałem smutnego pocieszyć to się później jeszcze gorzej splakał; kiedy chciałem... oh! mój bracie — czegoż by ja nie chciałem! — A wszystko zawiodło. Biłem głową o mury, i głowa się roztlukła, mury nie pękły nawet; kręciłem bicz z piasku, i piasek się rozsypał, — zwyczajnie jako piasek. Teraz już nie chcę niczego. Widzę, że jest jakaś nieprzeparta, historyczna siła nad narodami i nad pojedynczymi ludźmi; choćbym się rzucał, jak wściekły i po mojej klatce rozbijał, to na nic się nie przyda. Jeszcze wierzę w Opatrzność; wierzę w mądrość nieodgadniętą, która z namiętności i występków, z cnót i prac ludzkich, układa całość wiadomego sobie arabeska. Dla tego na osłep w miejscu stoję; dla tego obracam korbą przy maszynie mego życia. Ale czemu obracam? — nie wiem.

#### ADEODAT.

A nie wiesz dla tego tylko, że ci miłość w sercu zastygła.

#### UBOGI MŁODZIEŃC.

Ha, tryumfuj! Pono w sam środek wrzodu ugodziłeś. Tak, mój bracie, za wiele już cierpiałem i traciłem. Po wielkich boleściach, tęsknotach i zawodach miłość w sercu zdrewniała. Nie dość kocham; bo dla ukochania mego nic mi uczynić nie dano. Nie dość kocham; bo w koło mnie sami obojętni i nienawistni. Nie dość kocham; bo się długo i szczerze modliłem, a Bóg mię nie wysłuchał i w sądach swoich przeciw niewinnemu stanął.

## ADEODAT.

Odpuść mu, Panie on nie wie, co mówi! on kocha nawet—tylko się przestał spodziewać!

## UBOGI MŁODZIEŃCZAK.

Oh! ja wiem dobrze, co mówię. Mówię to samo, co mówił Job na śmieczku, co mówił Ezdrasz wśród postów i umartwień.

*(otwiera biblię i czyta).*

Ks. IV Ezdrasz roz. 3 w. 29 do 36.) „Stało się, gdy tu przyszedł i obaczyłem niebożności, którym liczby nie masz: i wiele występnych widziała dusza moja tego trzydziestego roku; i odchodziło odemnie serce moje.

Iżem widział, jako znosisz te grzeszące, i przepuściłeś niebożnie czyniącym, a zatraciłeś lud Twój i zachowałeś nieprzyjaciół Twoje, a nie oznajmiłeś.

Nic nie pamiętam, jakoby ta droga miała być opuszczona; azaż lepsze sprawy czyni Babilon, niż Syon?

Albo Cię który inny naród poznał, oprócz Izraela? albo które pokolenia uwierzyły świadectwom Twoim, jako Jakubowe? których zapłata nie pokazała się ani praca przyniosła pożytku.

Bo przechodząc przeszedłem między narody i widziałem je obfitujące i nie pamiętające na rozkazanie Twoje.

Teraz tedy zważ na wadze nieprawości nasze i onych, którzy mieszkają na świecie, a nie najdzie się imię Twoje, jedno w Izraelu.

Albo kiedy nie grzeszyli przed Tobą ci, którzy mieszkają na ziemi? albo który naród tak strzegł przykazania Twego?

Te jednak najdziesz mianowicie, że zachowywali przykazania Twoje; ale poganów nie najdziesz.

(roz. 4 wie. 1 do 11.) „I odpowiedział mi anioł, który był do mnie posłan, któremu imię Uryel. I rzekł mi: Przechodząc przeszło miarę serce Twoje na tym świecie, i myślisz ogarnąć drogę Najwyższego.

I rzekłem: Tak, Panie mój. I odpowiedział mi rzekł: Posłanem jest, abym ci okazał trzy drogi, a przełożył przed tobą trzy podobieństwa: z których, jeśli mi jedną zgadniesz, i ja tobie okażę drogę; którą pragniesz widzieć, a nauczę cię, z kąd jest serce złośliwe.

I rzekłem: Mów, Panie mój. I rzekł do mnie: Idź, zważ mi wagę ognia, albo pomierz mi wieniec wiatru, albo wróć mi nazad dzień, który przeminął.

I odpowiedziałem i rzekłem: Któż z urodzonych to uczynić może, że mię o to pytasz?

I rzekł do mnie: Gdybym cię pytał mówiąc: jako wiele jest mieszkanka w sercu morza? albo: jako jest źródeł na początku przepaści? albo: jak wiele jest źródeł nad utwierdzeniem? albo: które są wyjścia z raju? — rzekłbyś mi snadź: Nie zstępowałem do przepaści, ani jeszcze do piekła, do niebam też nigdy nie wstępowałem.

A teraz nie pytałem cię jedno o ogniu, o wietrze, a o dniu, przez któreś przeszedł, i od których oddalon być nie możesz; a nie odpowiedziałeś mi o nich.

I rzekł mi: Ty co jest twego, co z tobą zrosło, poznać nie możesz. A jakoż naczynie twoje będzie mogło ogarnąć drogę Najwyższego? i gdyż się świat już zewnątrz zepsował, zrozumieć zepsowanie jasne przed obliczem mojem?”

A cóż, bracie, czy nie to samo prawie, choć innemi słowy mówiłem? zraziła mię niesprawiedliwość tego świata, zraziły zasłużone i niezasłużone cierpienia, — wytłumaczyć je sobie chciałem nadaremnie; więc jako posłuszne



zwierzę przy zaprzęgu stanąłem, i przestałem się troskać, by naczynie moje ogarnąć mogło drogę Najwyższego.

#### ADEODAT.

A w tém grzech twój własnie. Masz księgę świętą w ręku, czytaj. Ezdrasz nie dał się nawet głosem anioła uciszyć: powtórnie modlił się, i płakał i pościł przez dni siedm i wołał wołaniem głośnem, aż mu rzeczono było: (roz. 5, wier. 33, 34.). „Bardzoś się ty myślą wyniósł za Izraelem: izaliś go ty więcej umiłował, niżli który go stworzył?—Nie, Panie, ale *żałując* mówiłem”— odpowiada,— i słowa Pańskie nie zmilkły w jego uchu. — Przewracaj kartę za kartą, ucz się, jaką-to cierpliwością, jakimi trwogami, w jakich prośbach i pokłonach zdobywa się ta łaska Pańska „aby słudze swemu pokazał, przez kogo nawiedza stworzenie swoje.” (w. 55).

*Ubogi Młodzieniec zaczyna karty przewracać, Adeodat wraz z nim pochyla się nad księgą żywota).*

#### UBOGI MŁODZIENIEC.

Gdzie oko padnie, sam się z wykrzykiem własnego bólu dusza spotyka. (roz. 5, w. 35.) „Na cóżem się narodził albo przecz żywot matki nie stał mi się grobem, abym był niewidział utrapienia Jakub, i spracowania narodu Izrael.“

#### ADEODAT.

Przy każdym wylaniu skargi cierpiącego ja znów obietnicę i pociechę Bożą znajduję: (roz. 5, w. 36, 37, 40.) „Obrachuj mi co jeszcze nie było, a zbierz mi krople rozpierzchnione, a uczyni mi z zwiedłych kwiatków zielone, — i otwórz mi zawarte jamy, a wypuść wiatry<sup>3</sup> w nich zamknięte: ukaż mi obraz głosu; a tedy ukażę przyczynę

utrapienia, którą pragniesz widzieć... Jako nie możesz uczynić jednej z rzeczy tych, którem powiedział, tak nie możesz należeć sądów moich, ani miłości na końcu którym obiecał ludowi.“

#### UBOGI MŁODZIENIEC.

(w 41.) „Ale oto, Panie, Tyś bliski jest tym, którzy na końcu będą: a cóż czynić będą, którzy przedemną byli albo my, albo ci, którzy po nas?..“

#### ADEODAT.

(w 48, 49.) „Jam dał macie ziemi; ci, którzy na niej są, posiani za czasem. Bo jako dzieciątko nie rodzi tego co starym należy; takem ja rozrządził świat odemnie stworzony.“

#### UBOGI MŁODZIENIEC.

(roz. 6, w. 7.) „I rzekłem: któreż będzie rozdzielenie czasów?...“ a tu stoi: (w. 10.) „O więcej się nie pytaj, Ezdraszul!“

#### ADEODAT.

(w. 16.) „Albowiem o tych rzeczach mowa drży i trzęsie się, iż wie, że koniec ich musi się odmienić.“ Jednak Pan mówi dalej, Ezdrasz dalej słyszy: (w. 25 do 27).

„I będzie każdy, który pozostanie z tych wszystkich, którem opowiedział, ten zbawion będzie, i ogląda zbawienie moje i koniec wieku waszego.

„I ujrzą ludzie, którzy są przyjęci, którzy nie ukusili śmierci od narodzenia swego, i odmieni się serce mieszkających, a obróci się w inakszy zmysł.

Bo złość będzie złagodzona, a zdrada zagaszona. A za-

kwitnie wiara, a skaza będzie zwyciężona i ukaże się prawda, która przez tak wiele dni była bez pożytku.

#### UBOGI MŁODZIENIEC.

Lecz tymczasem Ezdrasz powtarza: (roz. 6, w. 59). „Jeśli świat jest dla nas stworzon, przecżże nie mamy dziedzictwa ze światem. A pókiż to?”

#### ADEODAT.

(roz. 7 w. 6 do 9). „Jest miasto zbudowane, a w polu położone, a jest wszego dobra pełne. Wejście do niego ciasne. i na przykrém miejscu położone, tak, iż po prawej stronie ogień, a po lewej woda głęboka. A tylko jedna ścieżka leży między niemi, to jest między ogniem a wodą, tak iż nie może się na ścieżce zmieścić, jedno tylko stopa człowiecza.

A jeśli miasto będzie dane człowiekowi w dziedzictwo, jeśliby nigdy przed sobą położonego niebezpieczeństwa nie przeszedł, jakoż weźmie dziedzictwo swoje?..“

#### UBOGI MŁODZIENIEC.

(roz. 6, w. 49, 50.) „A cóż nam za pożytek z tego, iż nam obiecan jest czas nieśmiertelny, a myśmy śmiertelne sprawy czynili, — i że nam opowiedziana jest nadzieja wieczności, a myśmy się złemi i nikczemnymi stali?...“

#### ADEODAT.

(roz. 8, w. 2, 3.) „A przelożyć podobieństwo, Ezdrasz: Jako spytasz ziemi, i rzeczeć, iż doda więcej gliny, z którejby było garncarskie naczynie, a mało prochu, z którego bywa złoto: Tak i sprawa wieku niniejszego. — Wieleć ich wprawdzie stworzonych, ale mało będzie zbawionych.“



## UBOGI MŁODZIEŃC.

Na taką pociechę, to masz, bracie, zaraz następujące słowa: (w. 4, 5). „Połknij tedy, duszo, zmysł, a zjedz coś smakuje. — Boś przyszła słuchać i chcąc prorokować, — boć nie dano czasu, jedno tylko ku życiu.“

## ADEODAT.

Oh! nie — nie — za temi słowami idzie długa, pokorna modlitwa, — długa, bo właśnie po takim buntowniczym jęku głos Boży nie prędko się odezwie: — pokorna, bo musi w łzy i miłość roztopić wszelkie szyderstwo wewnętrzne.

(w. 6.) „O! Panie! jeśli nie dopuścisz śludze Twemu, abyśmy się modlili przed Tobą, a nie dasz nam nasienia sercu, i zmysłowi wyprawy, zkądby poszedł owoc, — zkądże będzie mógł żyć wszelki skażony, który poniesie miejsce człowiecze?“

(w. 15—17.) „O wszelkim człowiecze Ty lepiej wiesz; ale o Twoim ludu, dla którego boleje, — i o dziedzictwie Twojem, dla którego płaczę, — i o Izraelu, dla którego się smucę, — i o Jakubie, dla którego się frasuję:

Dla tego pocznę się modlić przed Tobą za się i za nie; bo widzę upadki nasze, którzy mieszkamy na ziemi...

(w. 26, 27.) „Ani patrz na występki ludu Twego, ale na te, którzy Tobie w prawdzie służą. — Ani poglądaj na niebożne sprawy narodów; ale na te, którzy świadectwa Twoje z boleściami zachowali...

(w. 31, 34.) „Bo my i ojcowie nasi takimi niemocami chorujemy: ale Ty dla nas grzesznych miłosiernym będziesz nazwany...

„Albowiem coś jest człowiek, żebyś się nań miał gniew-

wać: albo naród skazitelny, żebyś miał być tak gorzki przeciw niemu.“

Nakoniec, nakoniec Pan się przebłagać daje, i odpowiada i rzeczę (w. 37 do 39.)

„Dobrześ niektóre rzeczy mówił, a wedle powieści twych, tak się stanie.

„Iż za prawdę nie będę baczył na dzieło tych, którzy grzeszyli, przed śmiercią, przed sądem, przed zginieniem.

„Ale się będę kochał w sprawach ludzi sprawiedliwych, i będę też pamiętał na gościnę, i na zbawienie, i na zapłaty odniesienie.“

Tak ciągle po każdej groźbie nowa, coraz świetniejsza obietnica idzie: (roz. 8, w. 50 do 54.) „Wielkie nędze i politowania godne przypadną na te, którzy mieszkają na świecie czasów ostatecznych: w wielkiej pysze chodzili.

„Ale ty i dla siebie rozumiej, a dla tobie równych szukaj chwały. Boć wam jest raj otworzony, drzewo żywota wsadzone, przyszedł czas zgotowany jest, nagotowana obfitość, zbudowane jest miasto, doświadczone odpoczynienie, dokonana jest dobroć i dokonana mądrość.

„Korzeń złości zapieczętowany jest przed wami, niemoc i mól zakryty jest od was: a skażenie uciekło do piekła na zapamiętanie. Boleści przeminęły, a na końcu okazał się skarb nieśmiertelności...“

Oh! bracie, zrozumiesz wszystko, — tylko — (w. 55). „Nie pytaj więcej o mnóstwo tych, którzy giną,“ — Słuchaj lepiej co mówi Pan do tych, których jako złota w ogniu próbuje, miłemi swojemi nazywa: (roz. 16, w. 75, 76.) Oto blisko są dni utrapienia i z tych was wybawię. Nie bójcie się, ani wątpcie, boć jest Bóg wodzem waszym.“

## UBOGI MŁODZIENIEC

Kiedy czytasz słowa podobne, co ci na myśl przychodzi, Adeodacie?

## ADEODAT.

Kiedy czytam słowa podobne, to mi do serca nadzieja wstępuje, duch silną wiarą się krzepi, i miłość z utęschnienia radosnem zachwyceniem ku przyszłości biegnie.

## UBOGI MŁODZIENIEC.

A ja tylko myślę sobie: że to już z półtrzecia tysiąca lat temu, jak ludzkość ciągle jedną, ciągle tą samą skargą się odzywa, i na tej samej obietnicy poprzestawać musi.

## ADEODAT.

Błogosławieństwo obietnicy takiej! błogosławieństwo prawdzie i słowu, które na lat tysiące wystarcza dla ludzkości całej!

## UBOGI MŁODZIENIEC.

Lecz Izrael w rozproszeniu!..

ADEODAT (*przyciskając do swej piersi głowę młodzieńca*).

Przebacz, Panie, słabemu dziecięciu Twojemu; bo i Rachel, płacząca synów swoich, nie chciała się dać pocieszyć iż ich niéma.

---



## ADEODAT NA ULICY.

CHŁOPCZYK (*w koszuli pod murem*).

Matula chora, jeszcze dziś nic nie jadłem, mój dobry panie, daj mi choć ze dwa grosze, mój dobry, mój kochany panie!

ADEODAT.

Gdzież to jest matula twoja? na co chora? czy nie wiesz?

CHŁOPCZYK.

Matulę do szpitala powieźli.

ADEODAT.

No, to pójdź ty ze mną, dam ci mléka i chleba, sprawię ci sukienki cieplejsze, i zaprowadzę do szkółki, w której się nauczysz Pana Boga chwalić, a na pieniądze własną pracą zarabiać.

CHŁOPCZYK.

Piękny mi dobrodziej!..

*(wyciąga na niego język, i co sił starczy ucieka.  
Adeodat wzdycha boleśnie.)*

## KOBIEȒA W ŁACHMANACH.

Dobrodzieju! łaskawco! Panie mój litościwy! zmiłuj się nademną biedną wdową! oto mi córka umarła, i nié mam jej za co pochować.

## ADEODAT.

Niemasz za co umarłej córki pochować! jakaż-to nędza musi być okropna! Powiedz, gdzie mieszkasz? zaprowadź mię do siebie.

## KOBIEȒA.

Oh! mieszkam bardzo daleko ztąd, na przedmieściu, za rogatkami. Jeśli pan nie wierzy, to jest świadectwo Kommissarza.

*(Podaje mu zabrudzoną karteczkę, Adeodat czyta i dziwi się).*

KOBIEȒA *(placząc coraz głośniej.)*

Wczoraj straciłam ostatnią podpórę mojej starości! co ja teraz pocznę sama jedna sierota na świecie! oh! mój Boże! mój Boże!

## ADEODAT

*(patrzy smutnie i z niedowierzaniem na twarz kobiety)*

Więc, jak powiadasz, wczoraj twoja córka umarła?

## KOBIEȒA.

Wczoraj, wczoraj, onegdajszego dnia, miły panie! tak mi się już z wielkiego żalu w głowie pomąciło.

## ADEODAT.

Na tej kartce jeszcze dawniejsza, niż dzień onegdajszy, data.

## KOBIEŃA.

To i cóż, że dawniejsza, a trup leży na barłogu. Niech pan sam przyjdzie zobaczyć.

## ADEODAT.

Tak jest, pójdźmy. Chcę mieć w tej sprawie spokojne sumienie.

## KOBIEŃA.

Właśnie téż! pójdźmy! Czy ja mam czas do tracenia! czy ja wiem, co mi pan da, jak pójdzie, a tymczasem mogę sobie z kilka złotych uzbierać.

*(Odchodzi mówiąc półgłosem.)*

Bodajbyś przepadł, sknero obrzydliwy!

ADEODAT *(zatrzymując ją nagle).*

Nie przeklinaj, kobieto. Wszakże ja chciałem dobry względem ciebie spełnić uczynek, a ty mi właśnie wiele złego wyrządziłaś. Słowa przekleństwa na twoją głowę zwróciłyby się mogły.

## KOBIEŃA.

Daj mi pan pokój! co ja panu wyrządziłam złego? czy okradłam pana? czy zabiłam? czy co?

## ADEODAT.

Gorzej, niż gdybyś była okradła; bo mię zgorszyłaś kłamstwem twojem. Wszak sama widziałaś, że na pierwszą wzmiankę o twojem nieszczęściu gotów byłem z najchętniejszą pomocą śpieszyć. Teraz gdy się przekonałem że to na wyłudzenie tylko jałmużny niegodnie zmyślona bajka, czuję pomimowolnie do każdej nędzy zbudzoną



nieufność. Gdyby w tej chwili przyszła do mnie jaka matka naprawdę tak biedna, jak ty mi się biedną przedstawiałaś; jużbym jej nie uwierzył, odwróciłbym się ze wstrętem; bo zaraz twoje oszustwo na pamięćby mi stało. Zgrzeszyłbym ciężko może; ale zgrzeszyłbym z twego powodu, i ona z twego powodu bez wsparcia odejśćby musiała. Za mój grzech, za jej nędzę opuszczoną, ciebieby wtenczas kara Boża dotknęła. Czy wątpisz o tém? Patrz na swoje łachmany, przelicz wszystkie wyludzone zyski; wspomnij sobie o każdej obeldze, o każdym potraceniu, które już znieść musiałaś, i powiedz mi dopiéro, czy szczęśliwa jesteś? A nie dość na tém, kobieto: przyszłość jeszcze groźniejsza, z chorobą i śmiercią nicopłakaną przez nikogo, cię czeka! Oh! Bóg się prędko dopomni u ciebie i u podobnych tobie, krzywdy swojej własnej. Bo wy nieszczęśliwi, obłąkani, wy nie bogatszych, wy Boga samego krzywdzicie... Poniżyliście najzaszczytniejszy stan chrześcijanina — ubóstwo; — wydaliście na wzgardę i podejrzliwość największą świętość ludzką — cierpienie. W cóż się obróci ta ziemia, jeśli na niej biedy nawet i nędzy uszanować nie będzie można? A ten Chrystus, co powiedział, że nagi przyjdzie żądać odzienia, głodny chleba kawałka, spragniony szklanki wody, smutny słowami pociechy; — ten Chrystus gdy go odepchną i powiedzą „kłamiesz: tak wszyscy żebracy kłamią,“ — czyż On twardości serc niełitościwych i na was poszukiwać nie będzie? czyż On i do was nie zwróci zagniewanej twarzy, i czyż pytać was nie będzie! „Czemuście przedrzeźniali ubóstwo moje? Czemuście bluźnili strapieniu mojemu? Czemuście znieważyli obraz mój najpodobniejszy?“ Oh! wierz mi kobieto, przyjdzie na wszystkich straszliwa chwila surowych z Bogiem rachunków. Biała ci, jeśli za swoje

życie, pełne i tak kłopotów, zmartwień, niepokoików, — za życie, którém właśnie najprędzej byś zbawienie sobie kupić mogła, ty ino potępienia wieczność całą kupisz.

KOBIETA (*trochę zmięszana*).

Łatwo to panom gadać; ale kiedy raz i drugi człowiek uczciwie na chleb zarobić nie może, to się stara różnym sposobem. Przecież żyć trzeba, kiedy Bóg stworzył.

ADEODAT.

Gdyby ci powiedziano jednak, że jutro umrzesz, jakżebyś dzisiaj żyła?

KOBIETA.

Juścić, gdyby mi powiedziano... tobym poszła do kościoła, i w kosciele cały dzień pacierze mówiła.

ADEODAT.

Więc ja ci powiadam, mniej czasu masz przed sobą, niż go za sobą już roztrwonilaś; lecz jakkolwiek tego czasu nie wiele, po kościołach, na pacierzach całego spędzać nie możesz. Weź się i do pracy także na odpokutowanie długiego próżniactwa: ja ci się o pocziwy zarobek wystaram...

KOBIETA (*po chwili namysłu*).

Ej, proszę pana, kiedy bo to ja zawsze więcej sobie żebraninę zbiorę.

(*Oddala się, Adeodat załamuje ręce.*)

## ADEODAT W CHAŁUPIE.

ADEODAT (*wchodząc*).

Niechaj będzie Chrystus pochwalony!

GOSPODARZ.

Na wieki wieków.

ADEODAT.

Wybrałem się piechotą dla zwiedzenia tutejszych okolic, że mi jednak przed nieszporem w sąsiednim miasteczku stanąć trzeba, chciałbym u was, dobrzy ludzie, furmanki jakiej z konikiem do najęcia dostać.

GOSPODARZ.

Bogać tam z konikiem, miły panie, a dyć zdechł mi jeszcze przed gody, i niema za co drugiego kupić.

ADEODAT.

No, to przynajmniej poszukajcie mi u waszych sąsiadów, bo wy się znacie między sobą, wiecie gdzie zasztukać, a ja bym musiał od chałupy do chałupy się przepytwać. Tymczasem na waszej ławie odpocznę troszeczkę.



Jeśli mi prócz tego szklanę mleka ofiarujecie, to ją za wasze zdrowie duszkiem i z wielką wdzięcznością wychylę.

*(Podaje chłopu kilka groszy; chłop ich nie bierze i w głowę się skrobie.)*

GOSPODARZ.

Bogać-tam mleka! na jarmarku zeszłego tygodnia ostatnią jałowicę sprzedałem.

ADEODAT.

Coś, jak widzę, nie bardzo u was dostatnio w chałupie.

GOSPODARZ.

Juścić, jak się bięda raz uczepiła, tak i puścić nie chce. Najpierw ja sam chorowałem i zadłużyłem się w robociznie; potem kobieta mi zaniemogła od pół roku blisko: co wstanie, to się znów położy. Niema komu dojrzyć ani ogrodu, ani dobytku, ani dzieciaków drobniejszych; starsze to już w służbie, proszę pana. Więc wszystko warność idzie.

ADEODAT

*(sposstrzegając chorą na łóżku zbliża się do niej.)*

Mój Boże, prawda, nie dowiedziałem od razu. I cóż to wam jest, moja matko?

GOSPODYNIA *(słabym głosem).*

Ot, tak, — cała niemogę; — po kościach suche bole mię łamią, w głowie szum okropny i ustawiczniebym ino piła a piła.

ADEODOT.

Czyście już próbowali jakich leków?

GOSPODYNI.

Ano Bóg wie nie jakich,—co kto poradził, to robiłam; bo mi strasznie kuczno tak leżeć.

GOSPODARZ.

Toć niemało się człowiek wyciągnął i na te jej lekarstwa różne. Póki jeszcze była szkapa w domu, raz o 5 mil jechałem dla niej po jedną babę, która umie sławnie febry zamawiać; lecz jak widać, nie febra to, ale gwoździec chyba.

ADEODAT.

Czy wam-téż kiedy jakich ziół do picia nie poradzono?

GOSPODYNI.

Bywało-to i zioła pijałam; już nie pamiętam co za jedne. — Ale teraz ludzie mówią, że chyba do Pana Boga się uciec.

ADEODAT.

Najlepsza to rada; nietylko wtenczas, gdy inne środki nie pomagają, ale zawsze na każdą chwilę i na każdą biedę naszą.

GOSPODYNI.

Ja téż dałam w wigilię święta Matki Boskiej prawie zupełnie nową koszulę do powieszenia na krzyżu, a jak się mój z robotą w polu obrządzi, to już mi przyrzekł, że na moją intencję piechotę do krzaczków pójdzie.

ADEODAT.

Gdzie pójdzie?

GOSPODYNI.

O parę mil ztąd, do krzaczków, co to się w nich cudowna Najświętsza Panna objawiła.

GOSPODARZ.

Ej, nie gadalibyśta o takich rzeczach z panem. Pano-  
wie im nie wierzą i śmieją się tylko.

ADEODAT.

Nie słusznie pod tym względem do panów mię zaliczacie.

GOSPODARZ.

Kiedy bo to o krzaczkach sam proboszcz mówił z am-  
bony, że tam nic cudownego się nie stało, ino zwyczajnie  
jak na moczarach światło jakieś lata. Ale pastuch tamtej-  
szy wyraźnie w nocy Najświętszą Pannę widział, i pełno  
już ludzi łask jej doznało.

ADEODAT.

Ja też mocno wierzę w cuda łaski i w skuteczność  
wszelkiej szczerze pobożnej intencji. Sam na sobie do-  
świadczyłem nie raz, że miłosierdzie Boże prośbą, ofiarą,  
dobrym uczynkiem zjednać sobie można. Słuchajcie no,  
poradzę wam coś jeszcze nieomylniejszego, jak pielgrzym-  
kę, choćby do Częstochowy. Wszak nie wątpicie o tém  
że zdrowie i choroba, pociecha i smutek, szczęście i nie-  
szczęście, słowem wszystko, co nas spotyka, jest zawsze  
z rozporządzenia Bożego i z woli Bożej na nas zesłane?

GOSPODARZ.

A już cię.



ADEODAT.

Wszak o tém nie wątpicie, że Bóg jest dobry, miłosier-  
ny, że chce zbawienia duszy naszej.

GOSPODYN.

A juścić.

ADEODAT.

No, widzicie, moi kochani, Bóg jest dobry; więc też ni-  
gdy żadnego utrapienia na nas nie zsyła dla tego tylko,  
by nam przykrość zrobić; ale dla tego, by nas w jakim  
grzechu upomnieć; by za jakie przestąpienie praw Jego  
świętych ukarać, lub nakoniec, by do jakiej wyższej eno-  
ty nas usposobić. O ile tej woli Bożej nie pojmujemy,  
o tyle cięży na nas dopuszczenie złego; o ile staramy się  
jej zadość uczynić, o tyle rozjaśnia się nasze życie, i ser-  
ce nasze rozwesela. Ja, na przykład, w każdym zmartwie-  
niu mojem, zaraz sobie zaczynam rozpamiętywać, czém to  
mogłem Stwórcę i najlepszego Ojca mojego obrazić? Pil-  
nie sobie uważam, jaka zła skłonność bierze nademną gó-  
rę, lub oglądam się w koło, czybym któremu z bliźnich  
moich przysługi jakiej wyświadczyć nie mógł? Kiedy już  
tak wszystko rozmyślę sobie, idę do kościoła, modłę się,  
a potem wnet biorę się do pracy, czy nad sobą, czy dla  
drugich, według tego, jak ślubowałem na wiadomą Bogu  
intencję, — i Bóg też nigdy jeszcze bez wsparcia, bez po-  
ciechy i ratunku w żadnem nie zostawił mnie nieszczęściu.

GOSPODARZ.

Dobre to dla panów takie korowody; ale my biedni lu-  
dziska, to my tam tego nie umiama.

## ADEODAT.

Ja was też chciałbym łatwego nauczyć sposobu. Popró-  
bujcie tylko, choć przez czas niedługi. Wracając z mia-  
steczka znowu do was wstąpię, przywiozę wam ziół bar-  
dzo pomocnych na gwoźdźcowe bole. Jednak wierzcie mi  
te zioła bez łaski Bożej, jak wszelkie ludzkie pomoce i za-  
biegi na nic się może nie zdadzą; trzeba na nie łaskę Bo-  
żą skruszonym sercem i pokutną ofiarą sprowadzić. Otóż,  
jako spełnienie pokutnej ofiary, trzeba żebyście się na  
czas jakiś, stosownie do oznaczenia waszego, czy to miesiąc,  
czy kwartał, czy rok, jak tam powiecie sobie, — ale trzeba że-  
byście się wstrzymali od wódki, od klątwy wszelkiej i wszel-  
kiego słowa obelgi; — ebyście żyli w ciągłej zgodzie z są-  
siadami; — jeśli macie do którego z nich zadrę w sercu,  
to idźcie i pogódźcie się, jak przed wielkanocną spowie-  
dzą; — nie pomstujcie na nikim; — nie wymyślajcie na za-  
dne z waszych dzieci; ale téż niepozwalajcie żadnemu  
przez cały ten czas na próżniaetwo lub nieprzyzwoitą za-  
bawę; — co dzień zrana i wieczorem wszyscy razem od-  
mówcie głośno pacierze; — niech spokój, cichość, zgoda  
i chwała Boża zamieszkają pod dachem waszym. No, zo-  
baczemy potém; — Bóg nadzieja mocna, — a kto w Bogu  
ufa, choćby i umarł, żyw będzie. — Zastanówcie się oboje  
nad radami mojami. W powrocie ja tu was nie ominę.  
Bądźcie pewni, dobrzy ludziska, ziół i co będzie dla cho-  
rej potrzebniem, wszystko z sobą przywiozę, a teraz ostaj-  
cie z Bogiem i niech On z wami ostaje w każdej chwili.

*(Wychodzi; Gospodarz za nim).*

## GOSPODARZ.

Niech-no pan pozwoli przecię, — ja panu muszę dobrej  
furmanki się wystarać...

*(Po trzech dniach Adeodat znów wstępuje do chatupy).*

ADEODAT.

Niech będzie pochwalony!

GOSPODYNI (*z łóżka stękając*).

Na wieki wieków.

ADEODAT.

I cóż? jakże wam dzisiaj?

GOSPODYNI.

Jakże ma być? Jeśli nie gorzej, to tak samo.

ADEODAT.

A gdzież wasz mąż, czy niema go w domu?

GOSPODYNI.

Proszę pana,—bo to u nas były owo zmówiny starszej naszej dziewuchy, jak pan pojechał. W nocy mię zaraz okruteczna gorączka rozebrała i tak mię łamało, że w niebogłosy krzyczałam aż do rana. — Już mi niepodobna było dłużej czekać,—prosiłam mojego, i dziś poszedł do krzaczków...

---



## ADNOTACJA NA CMENTARZU.

Kiedy z puszczy wychodziłem, to się przygotowałem na wielkie cierpienia, na szyderstwo, nienawiść, — na kamienie potwarców i krzyże prześladowców. Dotychczas nikt mnie jeszcze nie ukrzyżował; nie spotwarzył, nie zaczepił, — nie wyśmiał urągliwie, a jednak smutnym i utrudzonym się czuję; bo mnie wszędzie obojętność lodowatym opasała murem, i wszędzie mi poznać dano, że się na nie braciom moim nieprzydam. — Boże! wesprzyj mnie w tym ucisku! nie wwódź mnie na to pokuszenie. Zaiste, nie mam prawa zrażać się, i przy pługu ustawiać. Są już w ludzkości wszystkie do jej zbawienia potrzebne warunki; są władze potężne, które tylko w odpowiednie sobie użycie nie weszły; skarby, któremi tylko zagospodarzyć trzeba. Jest rozum, co doścignął wysokości słowa Twojego, Panie! — jest nawet serce niejedno, co ukochało Twą świętość! — nędza tak ciężka, że litość Twoją wzruszyć może; siła wierzenia tak niezachwiana, że nią by góry przenosić się dały; — jest wszystko, chociaż wszystko, niestety, w chaosie i rozstrojeniu. Gdzie wiedza, co *najlepsze*, tam nicze-

go, co *dobre* spełnić nie umieją; — gdzie pragną tego, co *sprawiedliwe*, tam przeciw temu, co *zdrożne* wytrwalej cierpliwości nie stawiają; — gdzie ponoszą, co *najdotkliwsze*, tam do tego, co *uszlachetnia*, nie tęsknią; — gdzie wierzą, w co *nadmysłowe*, tam jeszcze temu, co *jawne* nie ufają. Słowom ludzkim brak wiary i miłości. Miłości ludzkiej brak spokoju i nadziei; — cierpieniom ludzkim brak uświęcenia i godności. — Wierze ludzkiej brak słowa prawdy Twojej. — Ale Ty, Panie! nad błądzącemi zachowałeś sobie aż do skończenia czasów pełną tajemnic i grozy opiekę. — Ty masz w ręku swoim — śmierć. Grób zwolna chłonie wszystkie grzechy i boleści, — a wieczność zwolna prostuje wszelkie zboczenia, zacięra wszelkie skazy. W obec grobu i śmierci, któżby śmiał zwątpić o duchu człowieczym? któżby wrogowi swemu nie przebaczył? któżby nad nieszczęśliwym się nie rozweselił? Grób oczyszcza, grób usprawiedliwia, grób pociesza i łagodzi. — Widzisz zbytek szalejący zuchwalstwem? — Poczekaj chwilę — śmierć go ze złota i dyamentów obedrze. — Widzisz miecz obosieczny w szalonego dłoni? — Poczekaj chwilę — śmierć go wytrąci i skruszy. — Widzisz łzy na zmienionej twarzy, krew na ranach świeżych? — Poczekaj chwilę, — śmierć zamknie płaczące oczy i boleść ranom odejmie. — Słyszysz jęki rozpaczy, skargi uciemiężonych, bluźnierstwa nikczemnych? — Poczekaj chwilę, — śmierć wszystko uciszy: — ku śmierci każdy biegnie, — i śmierć idzie ku każdemu. — Śmierć z sądem, — z zapomnieniem, — z odpoczynkiem, — z zagładą, — a jednak... śmierć z nadzieją poprawy i z wiecznością udoskonalenia! To, co mię jętrzy, co mię oburza, co mię dręczy i zniewieca, — to jest chwila przemienne tylko. — Czyż ja dla tej chwili jednej mam ludziom złorzeczyć i sam w drodze się cofnąć?... Nie, nie,

bracia moi bracia obojętni i oporni! — *kochać* was będę  
 wszystkich, was eo umrzeć zepsuciu, odżyć wyrokom  
 Najwyższego musicie . . . . .

Ach jak łatwą jest miłość bliźniego  
 na *puszczy* i na *ementarzu*!....

---



books and papers deposited in the library of the  
 University of Toronto and a number of other persons

have been made.

A list of the books and papers deposited

in the library of the University of Toronto

**KWESTYA PODRZĘDNA.**

WESTLY BOOKEDAY



# KWESTYA PODRZĘDNA,

PRZY KOMINKOWYM OGNIU ROZBIERANA.

---

## I.

I był to znowu kominek, w dużym pokoju, z sutym ogniem, z magnetycznym pociągiem; ale nie taki jak tamten kominek. I byli to znowu ludzie serdeczni, poczciwi, rozumni; ale nie tacy jak tamci ludzie. I były twarze niektóre te same; ale nie takie same jak wówczas bywały. I było wszystko podobne; ale wszystko, wszystko inne: mieszkanie, znajomi, ich osobiste usposobienia, szczególnie inna data chronologiczna na wiekowym zegarze, data o lat dziesiątek późniejsza!... Ach mój Boże!... westchnęłam, cóż to znaczy? żal za przeszłością? Ja myślę że zwyczaj tylko, nałóg mimowolny, a jeśli trochę smutku się wmieszało, to chyba smutek pokutny, nie tęskniący z rozrzewnieniem. Czyż to życie dość piękne, dość święte, żeby na jakieś moralne przedłużenie żalem je zatrzymywać, odtwarzać i powtarzać? O! nie, dni życia, to ołowiane paciorki krwawą nitką przewleczzonego różańca; im więcej

się ich przesunie, im więcej zsunie raczej t $\acute{e}$ m l $\acute{e}$ żej r $\acute{e}$ ce ocie $\acute{z$ załej, t $\acute{e}$ m bli $\acute{z$ ej ko $\acute{n}$ ca przecie $\acute{z$ , ha! i nowego, lepszego pocz $\acute{a}$ tku. Od efemerydalnej m $\acute{ł$ odo $\acute{s}$ ci, od kilku grob $\acute{o}$ w mo $\acute{i}$ ch; od ka $\acute{z$ dego wczoraj mojego, wo $\acute{l}$ ę ka $\acute{z$ de jutro, na kt $\acute{o$ re zawsze bez znu $\acute{z}$ enia, uparcie, niecierpliwie, z wi $\acute{a$ r $\acute{a}$  w sercu czekam; od wspomnie $\acute{n}$  najmniej gorz-  
kich wo $\acute{l}$ ę t $\acute{e}$  mo $\acute{j}$ ę ostatni $\acute{a}$ , naj $\acute{s}$ wietniejsz $\acute{a}$ , jedyn $\acute{a}$  na-  
dzieje; od wszystkiego co ju $\acute{z}$  by $\acute{l}$ o, wo $\acute{l}$ ę cie $\acute{n}$  chocia $\acute{z}$  tego co kiedy $\acute{s}$  by $\acute{c}$  musi. Nie, nie, ja nie  $\acute{z}$ alu $\acute{j}$ ę, nie t $\acute{e}$ skn $\acute{i}$ ę, nie rozrzewniam si $\acute{e}$  bynajmniej, o bracia wsp $\acute{o}$ lce $\acute{s}$ ni! o siostry r $\acute{o$ wiennice moje! Trze $\acute{z$ w $\acute{e}$ m okiem patrz $\acute{e}$  na to, co si $\acute{e}$  przecierpia $\acute{l}$ o, nieprzekupnem sumieniem s $\acute{a}$ dz $\acute{e}$  to, czego si $\acute{e}$  nie sp $\acute{e}$ lni $\acute{l}$ o, surow $\acute{a}$  wzgard $\acute{e}$  ciskam t $\acute{e}$ mu, co si $\acute{e}$  zepsu $\acute{l}$ o i upad $\acute{l}$ o. Wiem, i wy tak $\acute{z$ e wiecie,  $\acute{z}$ e $\acute{s}$ my  $\acute{z}$ a-  
dnej gwiazdeczki z nieba nie  $\acute{s}$ ci $\acute{a}$ gn $\acute{e}$ li na ziemi $\acute{e}$ ; biednej planety naszej „nowemi nie pchn $\acute{e}$ li $\acute{s}$ my tory,“ nikt z nas nie zdoby $\acute{l}$  sobie ani szcz $\acute{e}$ scia, ani s $\acute{l$ awy, ani prawdy na-  
wet... bo prawda, to nie samo oderwane po $\acute{e}$ cie, to nie przyzwolenie laskawe na jakie $\acute{s}$  zdania, wed $\acute{l}$ ug prawide $\acute{l}$  syntaksy i logiki u $\acute{l}$ o $\acute{z}$ one, prawda, to duch z cia $\acute{l}$ em, idea $\acute{l}$  z rzeczywisto $\acute{s}$ ci $\acute{a}$ , to wzrost i krzepko $\acute{s}$ ć od siejby do p $\acute{l$ o-  
nu. Kto z nas o $\acute{s}$ mieli si $\acute{e}$  cho $\acute{c}$  atomem tej prawdy po-  
chwali $\acute{c}$ ? Uzbierali $\acute{s}$ my cierni i g $\acute{l$ ogu, skorup i kamieni, mamy r $\acute{e}$ ce podrapane, odwag $\acute{e}$  zachwian $\acute{a}$ , si $\acute{l$ y wyczer-  
pni $\acute{e}$ te, i nam $\acute{z}$ e to si $\acute{e}$  godzi przesz $\acute{l}$ o $\acute{s}$ ci  $\acute{z}$ alowa $\acute{c}$ ? Poka $\acute{z}$ -  
cie mi zdobycze wasze, poka $\acute{z}$ cie lupy  $\acute{z}$ lociste, dyamenty, per $\acute{l}$ y, makaty, albo wie $\acute{z$ e zamk $\acute{o}$ w obronnych, albo po-  
mniki dzie $\acute{l}$  nie $\acute{s}$ miertelnych, albo  $\acute{s}$ pi $\acute{z}$ owe wielkich ludzi pos $\acute{a}$ gi, albo jakich  $\acute{s}$ lepc $\acute{o}$ w w $\acute{e}$ drownych, co epos naszej generacyi po sio $\acute{l$ ach  $\acute{s}$ piewaj $\acute{a}$ , albo chocia $\acute{z}$  poka $\acute{z}$ cie je-  
dn $\acute{e}$  bielutk $\acute{a}$ , nie $\acute{z}$ b $\acute{l}$ ocon $\acute{a}$  duszyczk $\acute{e}$ -go $\acute{l}$ abka, cich $\acute{a}$  bez nikczemno $\acute{s}$ ci, spokojn $\acute{a}$  bez g $\acute{l$ upoty, szcz $\acute{e}$ śliw $\acute{a}$  bez cu-

dziej krzywdy? Pokażcie, to wam przyznam, że można przeszłości żałować. Spłaczę się nad nią płaczem nieutulonym, w liryzm uderzę trzynasto-zgłoskowym wierszem, ale wy biedni cóż mi pokażecie? Kto się zuchwale rozeprze na wygodnym fotelu i powie: „Mnie dobrze teraz,” to ja mu powiem: „Kłamiesz egoisto! nie dobrze ci z na-  
bytkiem świata całego, boś swoją duszę utracił.” Kto mi się w idylizmie domowych uciech przedstawi, to ja mu serce do najtajniejszych uderzeń zbadam, i cisnę mu przed oczy jego dawne, szlachetne, ludzkie wymagania, jego pierwotnej wiary dogmata; zawstydzę go herezyą, upokorzę niedostatkiem, przerażę nietrwałością. A kto przyjdzie swoim rozumem się pysznić, kto się zacznie przedemną swoim udoskonaleniem lubować, swoją cnotą popisywać, o! temu śmiech niemiłosierny, temu ironia najpiłunniejsza, bo co mi to za rozum co się nauczył „nie umieć,” co mi to za udoskonalenie, co bodaj w najwyższości swojej, wyrzeczenia się dosięgnęło, co mi za cnota co chlebem błogosławionym ni pięciu, ni czterech tysięcy bliźnich nie nakarmi, tylko sama nie nie jeść i być głodną potrafi. Wierście mi, dawni moi, nie warto się za niczem z pozoszłości naszej oglądać. Dobry byt nasz, ukochanie nasze, mądrość nasza, prawda i świętość nasza nie z tego co minęło, ale z tego ku czemu dążymy; tam, przed nami, dalekoli, czy blisko? Pan wie, ale zawsze, zawsze przed nami. O ileśmy wyteżonego wzroku piaskiem sobie nie zapruszyli, o ile zostało nam siły do pragnienia i spodziewania się, o ile dobrej woli do tego, by sobie zaproponować, by otrzymać i zreczywistnić, o ile krótko mówiąc „przyszłości” nam zostało, o tyle przeszłość z potępienia okupiona, a dusza ku zbawieniu idzie. Nie, nie, ja nie żałuję niczego, ja, co z rozbicia tę wzniosłą, tę wiekuistą



uratowałam nadzieję. Ani mi tęskno za wami, lata moje wiosenne, ani za wami, zmienni czy niezmienni przyjaciele moi, ani za wami także, coście się rozsypali po cmentarnych błoniach, z sercem nienasyconem, z wywróconą ku niewschodzącemu słońcu powieką, nawet za wami nie tęskno; im wy dalej, tém bliżej właśnie. Ku wam to idę, gdy idę ku światłu i nieskończoności. Was to straconych odnajdę, gdy się dojmę nakoniec tej prawdy, w którą wyście uwierzyli, gdy się rozkocham miłością tego coście wy ukochali, gdy się rozraduję szczęściem takim, jakiegoście wy pragnęli. Spadajcie w otchłań wszystkie chwile rozdziału! tocz się po drodze swojej rydwanie Jaggernauty indyjskiej, rozgniatą na miazgę wspomnienia, upodobania złości czy niedołęztwa, przyjemnostki czy cierpienia, grzechy czy zasługi; rozgniatą na miazgę kołami swojemi i głowy, którebyśmy w pieszczącym tulili uścisku, i ręce któreby się do nas z chętną wyciągnęły pomocą, i serca jadu pełne, i kłamstwem opryszczone języki; rozgniatą kołami swemi, a tocz się prędzej rydwanie, aby bliżej, aby bliżej!

To wszystko, co mi z pod pióra uciekło, nie ma najmniejszego związku z tém co napisać do jednego z dzienników polskich zamierzyłam. Najściślej się ograniczając pierwotnem założeniem, po prostu chciałam, i obowiązkiem to moim było powiedzieć redakcyi, lub téż łaskawym czytelnikom, jeżeli... ma się rozumieć, jeżeli czytelników mieć będę, powiedzieć im; że nas kilka osób siedziało przy kominku, ale nie przy tym kominku, który to niegdyś słuchacze Benjamina i czytanej „Książki Pamiętek” obsiadali, tylko przy zupełnie innym. Okoliczność potrzebna może dla ścisłości opisowej, lecz sama przez się mało znacząca, i nie wiem czemu taki długi

wstę z głowy mi wyciągnęła, taki długi, że gdyby przed chwilą jakiś hałas nie przerwał, tobym jeszcze snuła, snuła różne rzeczy, wcale „nie do rzeczy” należące. A tym czasem to miało znaczyć jedynie, żeśmy siedzieli przy kominku i zajmowali się kwestyą, jak to już na tytule wyraziłam, niestety! kwestyą... wstyd powiedzieć, podrzędną. Teraz, gdy jest tyle pierwszorzędnych kwestyi, gdy można sobie słowo po słowie rozjaśniać w sumieniu, zakorzeniać w żelaznej woli i znieśmiertelnić w chrześcijańskim uczuciu, bardzo to nieladnie żeśmy podrzędnych dotknęli przedmiotów, ale na usprawiedliwienie odwołam się do zwyczajnego: „Kto jest bez grzechu, niech kamieniem ciśnie” kto nigdy dwóch godzin jednym ciągiem nie rozmawiał o pogodzie, o modach, o wieczorku tańczącym, lub o śmiesznościach sąsiedzkich, ten ma prawo podpisać wyrok skazujący nas, choćby na półroczne milczenie. Już ja wiem, że surowi purytanie wzruszą ramionami i potępią ten mój argument obronny; cudze plamy naszych własnych plam nie osłonią, cudze grzechy to wcale nieprzydatne mydelko na obmycie naszych własnych grzechów... A więc z innego punktu sprawę naszą przedstawię. Istotnie, zajmowaliśmy się kwestyą „podrzedną,” wszelako muszę oświadczyć, że ją podrzedną nazwałam dla tego jedynie, bo są inne, pilniejsze do roztrząśnienia; mogłabym ją sprawiedliwiej może kwestyą „przedwczesną” nazwać. Niezawodnie musi ona kiedyś na wierzch wypłynąć. Wyobrażam sobie nawet, że za jakie lat 666 (liczba apokaliptyczna), może za 1,000 (liczba apostolska, ma oznaczać dzień jeden przed obliczem Pańskim), może z resztą za lat dwa tysiące, dajmy na to, zbierze się w jakim państwie europejskiem wiec poważny, z senatem i kołem rycerskiem, albo ze starszyzną po prostu i z młodzieżą przez

młodzież wybraną, a pan marszałek wniesie na posiedzeniu, według porządku dziennego, to, o czemeśmy przy kominiku, w gronie poufnych znajomych radzili. Przypuściwszy, że już wszystkie interesa wszystkich stowarzyszeń, i kolei żelaznych, i powietrznych balonów, i elektrycznych telegrafów załatwiono, że pozawierano traktaty, zwinięto armije, zasiano odłogi, urządzono górnictwo, wyeksploatowano lądy i oceany; przypuściwszy, że już nagadano się o wszystkim, o czém jeszcze gadać nie zaczęto, a zrobiono wszystko, o czém gadają dopiero; przypuściwszy Utopią, Ikaryą (byle nie z ulą pszczolnego fotografowany falanster, bo mam trochę wstrętu do owadów), przypuściwszy różne jeszcze niepodobniejsze przypuszczenia, dlaczegożby się na koniec o rozwinięciu czysto uczuciowych stosunków społeczeństwa naradzać nie miano? Już dzisiaj dla niektórych jest to kwestya życia lub śmierci, cóż dziwnego gdyby za lat... dać blankiet na wpisanie, cyfry... stała się państwa jakiego kwestyą żywotną. Prócz tego, muszę wyznać pokornie, że gdyby w gromadzie naszej rozbierano ważniejszy, lub, jak tam zechce się kto wyrazić, poważniejszy przedmiot, nie śmiałabym, nie mogłabym w charakterze sprawozdawcy, ani opowiadacza przed żadną „Ilustracyę“ wystąpić, brak mi ku temu środków właściwych, (proszę przeczytać „zdolności“).

Na moje więc autorskie szczęście, wywiązała się kwestya tylko podrzędna. Nie pamiętam kto z nas wśród potocznej rozmowy rzucił nagle te słowa:

— A czy wiecie państwo, że w tym tygodniu był ślub Heliodora. Dla tych, którzy chcą wszystko zaraz kategorycznie widzieć, dołącza się osobny przypisek. <sup>1)</sup>

Heliodor pochodzi z dość majątnej cobywatełskiej rodziny. Przyszedł na świat i był ochrzczony, Heliodorem, ma się rozumieć,



— Ślub Heliodora! powtórzyło parę głosów z przyjaznym akcentem.

— Szczęść mu Boże, dorzucił solo jakiś głos kobiecy.

— A toż się na koniec z panną Józefą ożenił, rzekł jeden z tych panów, w przejeździe tylko od czasu do czasu nawidzający Warszawę.

— Cóż znowu, z panną Józefą? odezwał się inny stały tutejszy mieszkaniec. Heliodor się z tą piękną, z tą zachwycającą Marynią C\* ożenił.

— Przecież słyszałem zawsze, że się o pannę Józefę stara.

— Że się stara.... to historia bardzo stara, musiałeś ją słyszeć co najpóźniej przeszłego roku przynajmniej.

— Tak jest, przeszłego roku słyszałem z pewnością.

— Dzień do dnia niepodobny, wtrąciła pani Karolina.

— A jakże ma być serce przeszłoroczne do tegorocznego serca podobnym, przydała z uśmiechem trochę melancholicznym panna Wiktorya.

Lecz nim dalszy ciąg rozmowy przeprowadzę, możeby się należało choć najlżejszym konturem odkreślić różne osobistości, które w niej udział brały. Jest to wprawdzie maleńkie nadużycie, bo mię żadna z nich do tego nie upoważniła, ale ponieważ to się trochę przyda do lepszego zrozumienia różnych ustępów naszej gawędki, więc na bok wszelkie odsuwam skrupuły; i autorowie mają czasem

w Poznańskiem; później z rodzicami i trzema braćmi do królestwa się przesiedlił. Kończył szkoły w Warszawie, został urzędnikiem, ma teraz lat 28, prześliczne niebieskie oczy, twarz ścągłą, cerę świeżą, nos kształtny, usta dość wydatne, serce bardzo poczciwe, zdolności umysłowe wcale bystre, talent do muzyki znakomity, choć nierozwinięty, głos tenorowy przyjemny, ma nadto cztery tysiące pensyi, no... i żonę, według tego, co się już powyżej wzmiankowało.

swoje „racye stanu.“ W każdym razie przekonam wymienione tu pseudonimy, że umiem być „dyskretną,“ to jest umiem powiedzieć co można, a zamilczyć, co jest do toku sprawy niepotrzebne.

Było nas wszystkich razem siedmioro: cztery kobiety trzech mężczyzn. Z kobiet, ta co się najpierwej odezwała, pani Karolina, rozsądna i obowiązkowa, panna Wiktorya łagodna, wyrozumiała, czasem o marzycielstwo niesłusznie pomawiana, Olesia ładna, trochę złośliwa, trochę; jak się wyrażają przez grzeczność, nie dziwaczka, tylko ekscentryczna, pisząca to... trudno to swój własny portret z najwybitniejszym charakterem fizyognomii odznaczyć, przynajmniej powiem jaką byłam tego wieczoru... byłam sumienną i w dobrej wierze badającą. Co zaś do panów, to był ten który ze wsi przyjechał, pan Hilary, nadzwyczaj prawy i uczuciowy, czyli według zdania żartobliwych kolegów, choć to nigdy mojem nie stało się zdaniem, miękkiego serca człowiek; pan Jerzy z zimną krwią a ostrym dowiecipem, smutny w głębi duszy, a w towarzystwie sofistycznie, paradoksalnie wesół; pan Adolf nakoniec... lecz cóżby tu o panu Adolfie „szczególnego“ powiedzieć? Jest to głos z chóru, niech inni dobrze nótę trzymają, on pewnie nie sfalszuje. W takiej tedy galeryjce obrazków dalszą wiodło się rozmowę.

— Co słyszę, moja droga? zawołałam na ostatnią lekko niby przyganiającą uwagę panny Wiktoryi, jeśli się nie mylę, masz coś gorzkiego w sercu przeciw naszemu Heliodorowi; toć ja pamiętam, że uniewinniałaś daleko większych od niego zbrodniarzy.

— I pana Heliodora nie potępiam wcale; znam go jeszcze bardzo mało, z sądów ludzkich same korzystne dochodziły mi o nim wyroki; że się miał żenić, i z kim się





## II.

— Ja znam tę pannę Józefę, odezwał się pan Adolf, z wielką o ile mogłam miarkować przyjemnością, nie ze względu na pannę Józefę, ale ze względu na towarzystwo nasze, które właśnie panny Józefy nie znało.

Czytałam kiedyś bardzo zręcznie ułożony regestr drobnych, a niesłusznie lekceważonych pociech tego życia. Była tam wzmianka o butach, które w odciski nie urażają, o głowniach na kominku, które się po kilku nieudatnych próbach według swego życzenia ułoży ostatecznie, było o nudnej wizycie, która nas żegnać zaczyna, było o dziecku wrzeszczącym, które za drzwi wynoszą, — ale nie przypominam sobie, czy było o tej przyjemności, której doznają czasem ludzie, gdy wśród zajętych jaką ze słuchu powtarzaną historią, tak jak pan Adolf odezwać się mogą: „ja znam, ja widziałem, ja tam byłem.“ Zaraz na pana Adolfa ogólniejsza zwróciła się uwaga i kilka pytających wykrzykników spadło.

— Aa! pan zna pannę Józefę? Doprawdy pan zna pannę Józefę? No proszę, więc pan zna pannę Józefę?

— Tak jest, znam ją bardzo dobrze, choć nieczęsto się widzujemy. Zapewna paniom wiadomo iż panna Józefa nie ma rodziców i tylko w domu wujostwa swoich bawi... lub właściwiej mówiąc, w domu wujostwa się nudzi, bo tam nudy okropne. Pan wuj ciągle się skarży na złe czasy, a pani wujenka na służące; jak łatwo się domysłić, nieczęstym bywam gościem.

— Jak łatwo się domyślcć, powtórzyła półgłosem Olesia.

— Czy pani do mnie co mówi? zapytał pan Adolf.

— Nie panie, ja mówiłam sama do siebie, jak to łatwo się domyślcć, że pan nie często bywasz w domu gdzie są tylko nudy okropne i siostrzenica bez posagu, ale ja tego nie mówiłam do pana. I cóż dalej? no, cóż dalej o pannie Józefie, nagliła Olesia, a pan Adolf milczał i czerwienił się i uśmiechał, i nie wiedział co właśnie mówić dalej; bo pan Adolf był istnym św. Sebastianem Olesi: najostrejsze jęć groty w jego bezbronną pierś uderzały zawsze, a on męczeństwo swoje z zadziwiającą znosił cierpliwością. Nie wiem co go zupełnie ujarzmiło, czy usta nielitośne, ale świeżutkim odrysowane karminem, czy ząbki ostre bardzo, lecz jak perelki równiutkie i białe, czy nakoniec zaczepne i odporne spojrzenia dwóch turkusowych niezapominajek, w czarną emalią oprawnych.

— Kiedyż się pan po raz ostatni z panną Józefą widział? zapytała panna Wiktorya, nie przez ciekawość, ręczę za nią, ale przez miłosierdzie, żeby pana Adolfa z kłopotu wyprowadzić.

— Jestem pewna że niezbyt dawno, uprzedziła odpowiadającego zawzięta Olesia.

— I zgadła pani pośpieszył z niezachwianą dobroduszością pan Adolf, byłem tam w przeszły czwartek.

— Na kilka dni przed ślubem Heliodora, dopowiedziała złośliwie piękna okrutnica. Ach! jak żałuję, że pana nie namówiłam, abys z nami do cyrku Renza poszedł, my w ten sam czwartek z całym domem na konne sztuki się wybrali.

— Czemuż nie wiedziałem...

— Przy sposobności wynagrodzisz to sobie, przerwał

pan Jerzy swoim powolnym, a gdyby można było olówek z dźwiękiem porównać, tobym rzekła swoim prawdziwie hogartowskim głosem. Teraz nie trać czasu Adolfie i co prędzej opowiedz jak wyglądała panna Józefa, co mówiła? jakiego koloru suknię miała na sobie? Im więcej udzielisz szczegółów, tém wdzięczniejsze będą ci wszystkie te panie, wszystkie, nie wyłączając panny Aleksandry, która się łatwo bardzo pocieszy, że się z nią razem cyrkowym akrobatom nie przypatrywałaś.

Pan Adolf uśmiechnął się znacząco.

— Aha! rozumiem! Istotnie zdawało mu się że rozumiał, szeroko łokcie na stole rozparł i zaczął opowiadać.

— Panna Józefa ma zwykle bladą i chorobliwą cerę, nie mogę więc osądzić, czy zmizerniała, czy nie, ale to jest pewnem przynajmniej, że głębokiego smutku nie znać po niej. Kiedy wszedłem do pokoju, przypinała właśnie kokardki niebieskie do białej świeżo uszytej tiulowej pelerynki. Miała w kraty sukienkę i szafirowe wstążki na głowie; przyjęła mnie bardzo uprzejmie. Jakże się pan miewa? czy panu katar nie dokucza? bo to pora szkaradna, wszyscy nasi znajomi zakatarzeni, a wujaszka musiałyśmy obie z wujenką przymusowo nieledwie w domu zatrzymać. I o katarze rozmawialiśmy dość długo, a potem o teatrze. Panna Józefa zachwyciała się grą pani Ristori, gdy zaś jej ostatnie wystąpienie Żółkowskiego w Zachodzie Słońca przypomniałem, śmiała się jak pensyonarka.

— Czy śmiała się bardzo głośno? zagadnął pan Jerzy.

— Tak głośno i tak serdecznie, że aż trzymaną w ręku herbatę rozlała.

— Zły symptomat!

— Dla czego?

— Bo kto się zbyt głośno śmieje, a ma jakikolwiek powód do smutku, ten sobie nerwy rozstraja.



— Ona ich pewnie sobie nie rozstroi. Powiadam państwu, że jest bardzo spokojna: Raz nawet sama z siebie o Heliodorze wspomniała, i to w ustępie zupełnie potocznej gawędki, coś, jak mi się zdaje, że Heliodor obiecał ze wsi od swoich rodziców dobrej dziewczyny służącej dla pani wujenki się wystarać; a kiedy umyślnie, tak dla próby, rzuciłem kilka słówek o pięknej pannie Maryannie, zaczęła mnie nią prześladować i żartowała sobie, że powinienem białą tasiemką chociaż lewą kieszonkę u czarnej kamizelki obszyć. Słowem, ja tam w pannie Józefie żadnego smutku nie dostrzegłem.

— Czego pan Adolf nie dostrzegł, zdradliwie poparła go Olesia, to już najniezawodniej nie istnieje wcale. Pan Adolf ma wzrok zadziwiająco przenikliwy. Ja to bez żartu, z przekonania mówię, tylko muszę się poprawić, bo niewłaściwego użyłam wyrażenia. Pan Adolf ma wzrok nie przenikliwy, ale wszystko obejmujący, mikroskopowy raczej. Nikt z nas nie dorówna mu w spostrzeganiu drobnośtek, pyłków, atomów, jętek niewidzialnych. Pamiętam jakżeśmy byli razem w Saskim ogrodzie tego lata, przeszła koło nas pani Antoniowa; ja widziałam tylko ogólnie hurtownie że przeszła pani Antoniowa; pan Adolf natychmiast dostrzegł, że miała batystową chustkę do nosa, brabanckimi koronkami obszytą, że nosi zbyt ciasne rękawiczki, bo chociaż zupełnie nowe i z paryżkiej skórki, już jej się jedna na prawej ręce koło dłoni rozdarła, że między białe stokrotki podpięcia kapeluszu, muszka się tak zaplątała, jakby umyślnie przylepiona. Ztąd mnóstwo dowcipnych pomysłów, jakby to było pięknie i moralnie gdyby się kobiety w muchy na głowie stroiły, a mniej w nosie ich miały i t. d., reszta do spostrzeżeń nie należała. Jednak niech sam pan Jerzy przyzna, czy

taki człowiek, który jednym spojrzeniem objął chustkę, gatunek koronki, rękę, rękawiczkę rozprutą i muszkę małeńką; czy taki człowiek nie dopatrzyłby wielkiego smutku, zwłaszcza téż gdy z intencją dopatrzenia go poszedł? Co do mnie jestem pewną, że owa panna Józefa była przeszłego czwartku bardzo a bardzo wesołą...

— Cóż ja winien, że się przy mnie nie rozplakała? zdobył się wreszcie na odparcie srogich pocisków pan Adolf. Kłamać nie mogę, opowiadam wszystko jak było.

— Szkoda, szkoda, wtrącił znowu pan Jerzy, koniecznie było trzeba coś ciekawszego zanotować. Może jej w jakiej chwili nożyczki na ziemię upadły, może wstążkę przy kokardzie krzywo obciął....

— Ale nie, wszystko jej szło bardzo zręcznie. No kiedy państwo chcecie, to się raz igłą ukluła.

— Igłą ukluła? powtórzył z doktorskim namysłem pan Jerzy. O czemże właśnie była mowa wtedy?

— Pani wujenka dowodziła mężowi swemu, że koniecznie powinien na noc łojem nos wysmarować...

— Ha prawda, trudno uklucie z wujowskim nosem połączyć, ciągnął dalej w konsyliarskiej powadze pan Jerzy: ale przypomnij sobie inne szczególiki. Gdybyś mógł zacytować aby jedno łzawe spojrzenie, aby jeden ruch desperacji, panna Aleksandra słuchałaby cię... z prawdziwą przyjemnością.

— Mylisz się, panie Jerzy, nie słuchałabym z przyjemnością o cierpieniach nawet zupełnie mi obojętnej i nieznaney osoby, lecz z przyjemnością może powiedziałabym wam wtedy, co sobie o was myślę moi panowie, jak tu jesteście wszyscy, obecni i nieobecni, przytomni i nieprzytomni.

— Jeżeli panią tylko mniemana wesołość panny Józefy

wstrzymuje, odrzekł na to pan Jerzy, no to niech się pani zadowoli. Nie później jak wczoraj dowiedziałem się, że jest bardzo niebezpiecznie chora. A teraz koledzy, głowy na dół! oczy w ziemię! słuchajmy pokornie przekleństw i złorzeczeń panny Aleksandry.

— Tak jest, słuchajcie panowie! Każdy z was egoista bez serca, bez sumienia; najpocziwszego jeszcze nie warto pocziwie i całą duszą ukochać. Bogdajby żaden z was nigdy w żadnej kobiecie prawdziwego nie wzbudził uczucia! Spotykajcie na drodze waszego życia same gąski, które od was pokarmu tylko, łączki do spaceru i byle jakiej kałuży do pluskania się zażądają; albo spotykajcie same srocзки przebiegłe, które was z czasu, rozumu i świecidełek okradną, albo takie kobiety, co mają więcej mózgu pod czaszką niż krwi gorącej w sercu, co nie uwierzą waszym słówkom jedwabnym, nie rozczulą się waszemi rozpaczami, nie zaciekawia żadną szaradą w waszej indywidualności i nie raczą zastanawiać się nawet, czy to co do nich mówicie jest uchybieniem, czy grzecznością, tak zwaną „impertynencją“, lub tak zwanym „komplimentem.“

Domawiając tych słów, Olesia jakieś dziwne fajerwerkowe spojrzenie w twarzy pana Jerzego utkwiała. Panu Jerzemu w najzłośliwszy jego uśmiech końce warg już się podniosły gdy panna Wiktorya głosem rozjemnym utarczkę przerwała.

— A jak się pokazuje; słuszne miałam przeczucie, że nam przeszloroczna panna Józefa zamąci tegoroczną ze ślubu Heliodora pociechę; jednakże kłótwie Olesi ja nie rzeknę „amen.“ Gdyby się spełniła to właśnie najlepsze kobiety, najgorzejby wyszły na tém; gąsce, sroczce, kókiecie, zdarzyłoby się przecież kiedykolwiek ze szczerem przywiązaniem mężkiem spotkać, a same kochające i zdol-



ne do udziału w surowej pracy życia kobiety musiałyby chyba staremi pannami zostawać. Lepiej podobno niech się jedna i druga zawiedzie, byle wszystkie mogły przynajmniej wierzyć, oczekiwać i wymagać. Przyznam się prócz tego, że choroba panny Józefy bardzo mi, niesprawiedliwie może, ale łaskawie na stronę Heliodora usposobiła. Jużć on musi także wiedzieć o niej, wyobrażam sobie jak mu to jest bolesnem.

— Nie pochwałę się bym miała tak wiele współczucia na zmarnowanie, krótkim, przyciętym głosem rzuciła pani Karolina.

— Ja także wolę panny Józefy niż Heliodora żałować, przeświadczył jej pan Hilary.

— Ja się w sympatyj z panną Wiktoryą łączę wtrącił pan Jerzy. Z dwojga złego zawszebym wolał zupełne cierpienie niż czemkolwim zatrutą radość.

Olesia nie pozwoliła rozwinąć tej myśli i patetycznie zadeklamowała wiersze Walterscott'a:

„Were shal the traitor rest,  
He the deceiver,  
Who could win maidens's brest  
Ruin and leave har.  
In the lost battle,  
Born down by the flying  
Where mingles was's rattle  
Whith grooms of the dying  
Ther shall he be lying.  
Har wing shall the eagle flap,  
O'er the false hearted,  
His warm blood the wolf shall lap  
Ear life be parted,  
Shame and dishonour sit,  
By his grave ever,  
Blessing shall hallow it  
Newer! o never!  
Newer! o newer.  
(Marmion Canto III)

Gdzie znajdzie zdrajca chwilę wytchnienia  
On uwodzić!... co bez zadrżenia,  
Serce dziewczęcia zwiódł mową swą,  
A potem niecnie opuścił ją.  
W szybkiej ucieczce z bitwy przegranej,  
Od swych współbiegów nędznie  
(zdeptany).  
Tam gdzie się wrzawy bojowej ton  
Miesza z jękami co wieszczą zgon  
Tam legnie on.  
Pastwić się będzie orlica dzika.  
Pastwić nad sercem złem obłudnika,  
Nim siła życia ujdzie mu z żył.  
Ciepła krew jego wilk będzie pił.  
Hańba, sromota, wstyd będą kryty  
Nieznane miejsce jego mogiły  
I błogie nad nią nie błysną dnie,  
O nigdy, nie!  
O nigdy, nie! (1)

1) Przekład Władysława Sabowskiego.

— Więc państwo znaczną większością głosów potępiacie biednego Heliodora? odezwałam się też nakoniec.

— Bardzo przepraszam, nie tak znaczną większością; panna Wiktorya ma uwzględnienie, ja się z imieniem i nazwiskiem na „approbatur“ podpisuję, pani może czarnej galki nie rzuci, Adolf...

— Oh! ja rzucam bieluteńką, co prędzej głos pochwycił, przyznaję się, że sambym wolał Marynię od panny Józefy.

— Tak, tak,... zawtórowała ironicznie Olesia, to jest głównie usprawiedliwiająca Heliodora okolicznością, że pan Adolf... i nie wątpię, pan Jerzy, tak samo jak on by zrobili.

— Może nie tak samo, poprawił pan Jerzy, ale że przy zdarzonej sposobności to samo, to trudno zaprzeczyć.

— Lecz trudno też zaprzeczyć, że pan byś sobie w takim razie nieuczciwie postąpił. „Nieuczciwie.“ powtórzyła z dobitniejszym naciskiem pani Karolina, trzeba koniecznie rzeczom właściwe im nazwiska i określniki dodawać, teraz zwłaszcza, gdy w zdarzeniach, położeniu u świata, we wrażeniu jakie na ludziach czynią, tak mała częstokroć zachodzi różnica. Człowiek który skłamię, zawiedzie, nie dotrzyma danego słowa, jest ze wszelkich powierzchownych względów zupełnie do najsumienniejszego człowieka podobny: nie traci przez to na majątku, nie idzie do więzienia; wszyscy mu się, jak tego grzeczność wymaga, kłaniają; rozmawia, chodzi, śmieje się, jé, śpi, słowem nie a nie go nie wyróżnia. Jedynie tylko po nazwaniu czasem domyśleć się można charakteru, jak po nazwisku przypomnieć sobie osobę. Mówi się: ten Piotr, albo ten łotr, i koniec. O panu Heliodorze powie się, ten zmiennik i tak-

że koniec będzie; wszakże go to nie uderzy, ani go z piękną jego żoną nie rozwiedzie.

— Co do mnie, tobym nie chciał najpiękniejszej w świecie Maryni, jedną godziną niespokojnego sumienia opłacać, rzekł pan Hilary, z pełnością prawdy i uczucia w głosie.

— Kiedy tak, to mi powiedzcie państwo, co téż według waszego zdania Heliodor powinien był zrobić? zapytałam stanowczo, bo mi rozjaśnienie tego interesu bardzo było potrzebne.

— Powinien był pierwszego zobowiązania dotrzymać, odpowiedział pan Hilary.

— Chociażby go nawet trochę szczęścia kosztować mogło, dorzuciła pani Karolina.

— I chociaż ani pan Jerzy, ani pan Adolf, takby nie postąpili, zapieczętowała surowy wyrok Olesia.

— Mnie się zdaje, wniosła trochę nieśmiało panna Wiktorya, niech państwo cierpliwie tylko posłuchają. Mówię: mnie się zdaje, o niczem nie przesądzam, ale, według mego przekonania, pan Heliodor daleko ciężiej by zgrzeszył, gdyby się był z panną Józefą ożenił, inną kochając kobietę.

— I wielką, wielką masz słuszność, poparłam zatrzymującą się na ogólniku pannę Wiktoryę: wszyscy tutaj od fantazyi potępiamy lub usprawiedliwiamy Heliodora, każdy, niby o nim mówiąc, sam o sobie mówi: „jabym tak zrobił, a jabym tak nie zrobił, jabym to przebaczyła, a jabym nie przebaczyła nigdy.” Mniejsza o to wasze indywidualne usposobienia; ja żądam od was miary dokładnie oznaczonej, miary zasadniczej, do którejbym ten fakt przyłożyć mogła. Jest naprzykład funt, łokieć, garniec na rzeczy fizyczne, niechże będzie jakaś prawda na rze-



czy umysłowe, żebym według tej prawdy o postępku Heliodora wiedziała czego się trzymać: czy go za ciężkim czy za lekkim uznać, czy na polecenie w rządzie innych postawić, czy za okno wyrzucić.

— Kiedy chcesz miary zasadniczej, odrzekła mi na to pani Karolina, weź miarę od pierwszego uderzenia serca, aż do grobu; innego łokcia na mierzenie miłości być nie powinno. Czyż zaprzeczysz temu?..

— Innego łokcia może nie będzie kiedyś, kiedyś, jak się wyrobi nieomylniejsza w człowieczeństwie natura. Już dziś go czasem nie bywa dla fenomenalnej, prawdziwej miłości. Ale fenomenalna miłość, nie z naszej ery uczuciem; właśnie dla tego by na nią któraś późniejsza generacja się zdobyła, musimy warunki poprawy przyjmować i uznawać. Jeszcze się dzisiaj człowiek z wrodzonym ukochaniem wyższej piękności i wyższego dobra nie rodzi, jeszcze ciągiem duchowej gimnastyki musi rozwijać w sobie silniejsze władze, kształcić smak wytworniejszy, musi coraz bystrzejsze na jaw wyciągać, a do działania wprowadzać zdolności, coraz sprawiedliwszy sąd o wszystkim i o wszystkich wyrabiać sobie. Otóż nie na tém jego obecna poczciwość zależy, by nigdy przedmiotów ukochania swego nie zmieniał, ale na tém, by zawsze coś lepszego, i zawsze lepiej, zawsze święciej kochał. Serca jak rzeki w biegu nie zatrzymać, serce płynie, rzeka płynie, zmieniają się twarze, imiona; mniejsza o to, byle rzeka do morza zapłynęła, byle serce w nieskończoność zbawienia dopłynęło.

## III.

— Nie spodziewałem się że pani tak rozsądnie wyrozumiała, przyświadczył mi zdradziecko pan Jerzy. Zupełnie co do słowa zgadzam się na pani systemat: płynmy jak rzeka, wśród coraz innych krajobrazów, innych twarzy, innych imion..!

— Oh! ja wiem że pan się jednak co do słowa nie zgodzi, przerwałam pośpiesznie złośliwą parodią. Płynmy jak rzeka, ale płynmy ku morzu, płynmy czystą, nie rozsączoną po bagniskach, nie zatrutą błotnemi moczarami wodą.

— A jak się nam źródłana woda sprzykrzy, to ją wylejemy i nowej nasączmy: jak się serce jedną twarzą i jednym znudzi imieniem, to wyprzątnijmy, wymiećmy je co prędzej i wstawmy inną inną inaczej nazwaną twarzyczkę zamiast Józefy, Maryanne, kiedyś bezwątpienia zamiast Maryanny, Hermenegildę; a zamiast Hermenegildy, Kunegundę, i tak dalej, coraz dalej, aż w nieskończoność zbawienia. Dawniej się to niestałością, don żuanizmem, czemś gorszem nazywało jeszcze, dziś ma się gimnastyką duchową nazywać; a Karolina powiada, że już się rzeczy tylko nazwiskami między sobą różnią. Gdzież znowu i nazwiska mieszają się chaotycznie, rzeczownik z rzeczownikiem, przymiotniki z przymiotnikami, czarne, pstre, białe, tasują się jak karty przy wiście; jednemu ten, drugiemu ów padnie, zupełnie przypadkowo, nie ma na to żadnej w grammatyce reguły.

— Olesiu, Olesiu! upomniałam rozdąsaną moję przyjaciółeczkę, nie lubisz trawestowanej Eneidy, a czemu trawestujesz pocziwe słowa, w dobrej wierze wymówione? Odwołuję się do twoich własnych wspomnień. Wszakże w dzieciństwie tak podobno kochałaś swoją niankę, żeś się rozchorowała gdy cię z nią na kilka rozdzielono tygodni kochałaś ją więcej niż matkę i ojca. Później jednak, gdy się instykt wydoskonalił i pierwsze pojęcia zbudziły, daleko więcej, daleko już lepiej rodziców od nianki kochać zaczęłaś. Potem wspominałaś mi o pierwszej przyjaciółce swojej, dziewczynce, która się wybornie umiała z tobą w jedenastym roku twego życia bawić, ale która po siedemnastu latach zupełnie inną poszła drogą. Wszakże już dziś jej nie kochasz? dziś kochasz Eleonorę, a ja ci mogę śmiało, bez ubliżenia twej godności, powiedzieć, że jutro będziesz znowu kogoś lepiej od Eleonory kochała. Są to niby innogatunkowe uczucia z pozoru mniemaćbyś mogła, że się nie dadzą do sprawy Heliodora zastosować; wszystko to jedno przecież, i w takiej miłości nieudolne serce ludzkie pewnego wykształcenia potrzebuje. Rzadko bardzo komu jest danem od razu, przy pierwszym, jak mówi Karolina, serca uderzenia, spotkać owę swoją przeznaczoną, owę swoją jedyną, z którą aż do grobu zejść będzie można spokojnie. Zwykle, jeśli serce już doszło swej pełnoletności, jeśli z wymaganiami swemi się odezwało, to mu braknie godnego na odpowiedź serca: szuka więc, myli się, odrzuca i chwyta z kolei, aż póki tego co mu się przynależy nie znajdzie na świecie. Czasem znowu znajdzie bardzo, dajmy na to, drogocenny przedmiot, znajdzie drugie i zacne kochające serce, lecz znajdzie w chwili jakiegoś przejścia anormalnego, w chwili kiedy nie jest sobą jeszcze, nie zna się, nie rozumie, nie



wyciągnęło z siebie, do życia i ruchu nie przywołało wszystkich swoich składowych pierwiastków, nie przejrzało się i nie odgadło we wszystkich przypuszczalnych możliwościach, w chwili swej „małoletniej,” jednym słowem tę rzecz określając. Jakże chcesz Olesiu, jakże śmiesz wymagać moja Karolino i ty panie Hilary, żeby takie nieświadome siebie serce od pierwszego uderzenia żelaznymi skowało się łańcuchami, lub Jozuego głosem krzyknęło: „Sta soll“ Nie, to nie jest w naturze ludzkiej i to być nie może w przepisach najsurowszej moralności. Wiem że pan Jerzy bardzo łatwo tę prawdę na sofizmat przekreśli, ale wiem też że jego sofizmat prędko się rozbije w jego własnem sumieniu. Bo ja nie mówię o tych naturach koślawych, samopas, bez ideału, bez dążności szlachetnej żyjących, które zmieniają uczucia jak kolory, dla zmiany jedynie, które nie potrzebują kochać czegoś lepszego i lepiej kochać, ale owszem spadają coraz mniej coraz niedołężniej aż ich zmienności wreszcie żadnym nawet synonimem uczucia orzekać się nie godzi. Ja mówię tylko o ludziach co szczerze, w prostocie ducha idą swoją drogą, co nigdyby nie złego popełnić nie chcieli, a ku dobremu różnemi wspierają się sposobami. O takich ludzi jestem spokojna nie lękam się ich zmiany o ich przyszłość się nie kłopotę.

— Jednakże ja wcale nie z tego punktu usprawiedliwiałam małżeństwa Heliadora, przerwała mi panna Wiktorya. Czy miał prawo, czy nie miał prawa zakochać się w Maryni, gdy pierwiej Józefę kochał? to mi na myśl nie przyszło...

— Zdaje się jednak, że od tego właśnie zacząć należało.

— Ja przyjąłam fakt dokonany i dla tego powiedziałam

że Heliodor mniej zgrzeszył nie żeniąc się z Józefą, bo moją znów miarą zasadniczą jest głównie miłość w małżeństwie. Mój Boże! toż to przypatrzeć się tylko jak ludziom z ludźmi trudno żyć na świecie! Ani komary nad wodą, ani muchy w sierpniu tyle nie dokuczają, co człowiek człowiekowi dokuczy. Próżno stwarzać najprzyjaźniejsze okoliczności, próżno układać w kodeksach najmądrzejsze artykuły: gdzie niema wzajemnego ukochania, tam zawsze cichsze tylko lub głośniejsze piekło. Osadźcie państwo w dobrym bycie, w niezależnem położeniu, we wszystkich jakich tylko można sobie życzyć stosunkach, rodzinę sprowadzoną do pierwotnych swoich zawiązków: męża, żonę i dziecię; niech im tylko miłości zabraknie, wnet się przekonacie, co to za ciężkie, swarne, chrapowate życie im się usciele; a dajcie miłość choć ubogim, choć zapracowanym po same łokcie ludziskom, jeszcze to jakoś z większą chwałą pana Boga pójdzie. Nie jestem tak romansowa, bym się koniecznie gwałtownych uniesień namiętności w przedślubiu dopominała; wiem że i bez namiętności, z szacunku zawarte małżeństwa bardzo szczęśliwe bywają niekiedy; lecz bywają szczęśliwe dla tego właśnie, iż dobiorą takie natury, co nie mają w sobie materiału na rozwinięcie wyższych potrzeb lub zateśnienie ku promienniejszej piękności. Wcale rzecz się ma inaczej, kiedy kto do wspólki rodzinnej przynosi w żalach swoich obraz utraconego ideału, kiedy z uczuć ledwo wystarczających na przedźwiganie dni powszednich najżywsze jeszcze odwraca uczucia, by walczyć z samym sobą lub ku przeszłości niepowrotnej uciekać. Proszę tylko wyobrazić sobie taki dramacik domowy: ile to z jednej strony niecierpliwości, kwasów, uchybień, w najlepszym razie ile zniechęcenia, smutku i koniecznego kłamstwa;

a z drugiej strony ile zawsze podejrzeń, nieufności, ile upokorzeń okrutnych, ile chwil to oburzenia, to znów bałwochwalstwa, to buntu szalonego, to nikiemnej uległości! Oh! jestem pewna, że nigdy żadna kobieta nie przyjąłaby świadomie takiego losu, i pan Heliodor dobrze zrobił, że go pannie Józefie nie narzucił, przez źle zrozumianą wspaniałość.

— To co dotychczas powiedziałaś, kochana panno Wiktoryo, wcale się nie sprzeciwia temu co ja mówiłam, owszem, jedno z drugiego wypływa. Ja się dopominałam, żeby wolno było człowiekowi wyrastać ze zbyt ciasnych stosunków, jak się z sukienek zbyt ciasnych wyrasta, uwzględniłem zmianę przedmiotu, byle się prawdy uczucia doczekać; ty zaś utrzymujesz, że bez tej prawdy nieszczęścia tylko i zgorszenia się rozsiewają. Po prostu przyczyrna i skutek: o ile skłamiesz uczuciu, o tyle skłamać musisz wszystkim następnym, z uczucia wysnutym życia obowiązkom.

Ale dajmy już pokój temu. Czy się kto zgodzi zemną czy się nie zgodzi, ja słów moich nie cofnę. Przypuśćmy więc żeśmy się na nie wszyscy zgodzili, nadzwyczaj lubię hipotezy.

— Przypuśćmy tylko, zastrzegła Olesia.

— Mnie nawet przypuścić trudno, odpowiedział pan Hilary.

— Na jeden wieczór, to pana do niczego nie zobowiązuje, prosiłam go bardzo pokornie.

— Niechże i tak będzie, zgodził się szanowny ziemianin.

— Ja tylko przez ciekawość ze stanowczem weto nie wystąpiłam, rzekła jeszcze pani Karolina. Istotnie, zgadnąć nie mogę, co z tej ostatniej hipotezy zrobisz.



— Przypuśćmy więc, mówiłam dalej, wszyscy jedno-myślnie przypuśćmy, że jest prawo zupełnie uniewinniające tych, którzy przedmiot uczucia zmieniają. Dla mnie ten artykuł przekonania żadną a żadną wątpliwością nie jest zamacony; lecz mam wątpliwość inną, mam raczej inną do zaspokojenia ciekawość. Chciałabym wiedzieć, jak to sobie zależy postąpić z kobietą, która nas kocha jeszcze, gdyśmy już ją kochać przestali?

Z minutę może ogólnie panowało milczenie, aż pan Adolf pierwszy się wyrwał.

— Uciec od niej daleko i zapomnieć jak najprędzej. Co z głowy, to z myśli.

— A takie osoby jak pani Karolina, nazwą to nikiemością, podłością, i wszystko się już rozstrzygnie, dokończył pan Hilary.

— Ale inne powiedzą, że środek radykalny, zaprzeczyła niby panu Hilaremu Olesia. Jednak chciałabym wiedzieć, czy pan Adolf się kiedy o tej możliwości z panem Jerzym naradzał.

— Przepraszam panią, ja to sam z siebie mówię.

— A ja zaświadczam, że zupełnie sam z siebie, rzekł pan Jerzy. Uciec i zapomnieć, trudniej to niż się komu zdawać może. Uciec, gdzie? chyba, że człowiek ani urzędem ani majątkiem do miejsca nie jest przywiązany, to niech do Ameryki emigruje; bo tak z ulicy na ulicę, z gubernii nawet do gubernii, nie warto, ciągle się bywa na niebezpieczeństwo spotkania narażonym. A zapomnieć... pamięta się daty historyczne, imiona miast, rzek, krajów azjatyckich; doskonale zapomnienie od woli naszej nie zależy. Prócz tego, jabym nie był tak okrutnym ani dla porzuconej kochanki, ani dla samego siebie. Adolf może się kłopotce zbytciem uzbieranych wspomnień, ciężką na

jego mózgu, radby się z nich otrząsnął; ja biedny nie taki bogacz, jeśli się cokolwiek przez życie do skarbonki ściągnęło, to pod kłódką trzymam, nie chcę tracić ani szelągka; tyle mojego przecież, co wspomnę czasem, wieczorem przy fajce i przy szklance herbaty, jeśli kto z gości nie nadejdzie. Od uśmiechu pewnej ślicznej kuzynki, której podczas szóstoklassowych wakacyj najwyborniejsze z lasu przynosiłem orzechy, do kryształowej lezki pewnej jeszcze śliczniejszej osoby, z którą się raz przy świetle księżyca żegnałem, niczego, niczego nie chcę zapominać. Nie taki ze mnie magnat, jak z Adolfa.

— Lecz pan Adolf, rzekłam trochę zniecierpliwiona, pan Adolf przynajmniej kategorycznie na moje pytanie odpowiedział, a pan Jerzy za majakami puścił wyobrażenie, i nie wiem czy go teraz o rzetelne, sumienne, rozsądne zdanie uproszę.

— Ach! pani dobrodziejko, niech pani każe tylko, zawsze jestem gotowy.

— Co dowodzi że pan nieraz już przemyślał nad tém zagadnieniem, przycięła mu Olesia.

— Nigdy, broń Boże! nigdy nie przemyślałem; zawsze się to jakoś samo z siebie, bez planu ułożyło. Gdy jednak o plan pytają, więc z natchnienia zaimprovizuję.

— Panie Jerzy, nie z natchnienia, ale z zasady jakiej gruntownej, przełożyłam poważnie.

— Więc dobrze, jestem posłuszny, biorę najpierw, gruntowną zasadę. Oh! spodziewam się że gruntowną, biorę naturę kobiecego serca. — Według moich spostrzeżeń kobiety zawsze, ciągle, bezprzestannie kochać potrzebują: kochają lalkę, kanarkę, przyjaciółkę, wielbiciela, dzieci, wnuki, a jak tego nie stać, to kochają mopsy, szpice, papugi, kotki, słowem zawsze kochają. W takich oko-

licznościach jakie pani przedstawiła, zmienność ulubionego najsroższy cios zadaje z tej przyczyny właśnie, że niby ciąg życia rozrywa, na czas jakiś opróżnia serce. Łatwiej słońce w maju ból gardła przetrzyma, łatwiej kwiaty bez słońca się obejdą, łatwiej szuler ostatniego dukata przegra, niż kobieta zniesie tę myśl okropną: „już nie mam kochać kogo.“ Otóż widzi pani, na zasadzie znajomości kobiecego serca, jabym się starał myśl podobną uprzedzić. Wszak bawimy się w przypuszczenia, pani na to pozwoliła. Ja więc, przypuszczam, jestem Heliodorem, panna Aleksandra jest panną Józefą, a pan Adolf... i mówiący zająknął się trochę.

— Już ci nie możesz przypuścić, że jestem Marynią, wtrącił tenże bardzo dowcipnie.

— A pan Adolf, ciągnął dalej, nie zważając na przerwę pan Jerzy, pan Adolf, jest panem Adolfem, tylko niby niezupełnie takim samym panem Adolfem; musiałbym go dosztukować wyższemi obcasami, włosów mu przyciemnić, czoła rozjaśnić, oczu powiększyć. Ależ to wszystko już niech państwo sobie własną fantazyą uzupełnią; wracam do mego przypuszczenia. Ja Heliodor, spostrzegam się nagle, że już od pewnego czasu daleko mi częściej droga się zawraca tam, gdzie mieszka Marynia, a nie tam gdzie Józia. Przy Józi koło dziewiątej już zegarek z kieszeni wydobywam i patrzę która godzina; przy Maryni siedzę do północy i wydziwić się nie mogę, dla czego jej ciotka, matka lub inna jakaś opiekunka usta chustką zasłania i ziewa raz po raz. Badam inne symptomata: wszystkie też samą zapowiadają chorobę. Stało się, kocham Marynię, nie Józję. Skoro tylko nabyłem tej pewności, idę do wspólnie nam znajomego pana Adolfa, biorę go pod rękę i prowadzę z sobą do Józi: potem, wracając,



chwale pannę Aleksandrę.... nie, omyliłem się, chwale Józie, jak na to zasługuje, wynoszę ją pod niebiosy. „Czy przypatrzyłeś się jej oczom błękitnym? takie jasne kolorem, a takie ciemne, głębokie, niezgruntowane spojrzeniem. A rzęsy, jak długi cień prawie na pół twarzy rzucają! Chociaż mnie się zdaje że z całej twarzy, to jej usta najlepiej kocham. Nie, nie, najlepiej kocham spadek policzków, co tak ślicznie siatką żyłkową przebija i tak wymownie rumieńcem lekko różowym: lub śnieżną bladością się mieni. Wszak prawda, że im dłużej się wpatrywać, tém coraz więcej tajemniczych piękności w jej obliczu się odsłania? Na pierwsze spojrzenie nawet niktby się nie domyslił; ale gdy się umie każdy szczegół, każdy przelotny wyraz pojmować... to aż dziwno człowiekowi, że mógł kiedyś mniej cenić, że mógł niedowidzieć; bo téż blask tego wdzięku nie lśni dyamentem po wierzchu; ale promienną iskrą z wnętrza duszy płonie“... I takbym dłużej jeszcze mówił o.... Józi, a pan Adolf zwolnaby mi coraz harmonijniej wtórował. Uwielbienie jest do pewnego stopnia zaraźliwą chorobą. Czasem wszyscy przechodzą koło jakiej skromniutkiej na wieczorku panienki, nikt ani się spostrzeże czy blondynka, czy brunetka. Niechże kto powie głośno: ach! ładna! wnet jak owieczki wszyscy chórem powtórzą: ach! ładna! Więc jabym korzystał z tego usposobienia, i panu Adolfowi odstępujące mojej duszy zaszczepiałbym ekstazę. Po kilku takich wizytach miałbym prawo trochę zazdrości okazywać. Zazdrość jest najsztubtelniejszym pochlebstwem; o szczerości pochwał można jeszcze wątpić; ale kto zazdrość wzbudził pięknoscia, szczęściem czy rozumem, tém już nieomylnie jest w posiadaniu piękności, szczęścia i rozumu zatwierdzony. Pochwała prócz tego do odpłaty, do pewnego zwrotu obo-

wiązuje; zazdrość wzbudzona daje nam blankiet na wszelkie drobniutkie, eleganckie zdrady, podstępny, wybiegi, zazdrość rozwiązuje nam ręce, podbija w górę animusz, wieńczy skronie tryumfu laurami, a dłoń najniebezpieczniejszą bronią, palmą męczeństwa, uzbraja. Skorobym tedy wymiarkował że pan Adolf już się o laur stara, jabym mu z wszelką bezinteresownością palmy męczeńskiej dostarczył. Byłbym dla niego, a zawsze w obec panny Józefy, najprzykrzejszym fantastykiem, najniesprawiedliwszym sędzią, najdokuczliwszym kolegą, prześladowałbym go, aż do wzbudzenia litości. No, u tej mety stanąwszy, gdybym jedno serce uwielbieniem i próżnością, a drugie rzewnem politowaniem, chęcią wynagrodzenia zniesionej krzywdy skusił, to jużbym mógł z bardzo spokojnem sumieniem coraz częściej i dłużej Marynię odwiedzać, dla panny Józefy przecie dostawiłbym zastępcę.

---

## IV.

— Niezły pomysł, rzekłam wśród ogólnego śmiechu, nad którym czysty sopranik Olesi dziwnie przenikliwą nótą górował, wcale niezły pomysł; dalby się w jaką francuzką komedyjkę oprawić, lecz nie wiem, czy do rzeczywistości zastosowany miałby równe powodzenie. Słusznie powiedział pan Jerzy, że kobiety muszą zawsze coś kochać; jeszcze słuszniej mógł się wyrazić, że wszyscy ludzie cośkolwiek, lub kogokolwiek kochać muszą. Dla czego tak zupełnie mężczyzn na boku pod tym względem zostawił, trudno mi pojąć. Nie wyobrażam sobie żadnego człowieka człowiekiem, bez miłości. Mniejsza o to jednak niech sam pan Jerzy za niedokładność wyrażenia odpowiada; ja biorę je w domyślném znaczeniu i całej płci naszej imieniem dziękuję panu, żeś tak łaskawie wyższość w najwyższej zdolności ludzkiej nam przyznał. Oh! gdyby prawdą były słowa pana, gdyby to się dało snuć życie swoje z ciągle nowych, a ciągle żywszych i piękniejszych wrażeń; gdyby co się złamie odrzucać, co zgorzknienie wypływać, co przeszkodzi omijać, co zamierzechnie rozjaśniać: a rąk nie strudzić, smaku nie omdlać, nóg nie zmęczyć światła, ciepła, siły nie wyczerpnąć! Gdyby, oh! gdyby... to nie jednemu pewnie i do skończenia świata umierałby się nie chciało. Lecz tu na naszej zastygłej planecie, między dwoma lodowatemi biegunami, fatalnie jakoś prędko uczuciowe ekspensują się zasoby. Na miłości, jeszcze jako



tako stać lekkomyślników; na miłość prawdziwą kiedy się kto zdobędzie, to osobliwość rzadka, a im na prawdziwszą się zdobędzie właśnie, tém zupełnie całą istność w niej utopi i gdy mu wyłożony kapitał przepadnie, do ostatniego bankructwa przychodzi. Ach! panie Jerzy, chciałeś wyśmiać kobiety, które z miłości do miłości, jak królowe z pałacu do pałacu przechodzą; jabym przed nimi nader pokornie głowy uchylała. Chciej bo pan tylko zastanowić się chwileczkę, co to za najjaśniejszą panią, co to za wrózką Urgelą być trzeba, żeby sobie stratę jednego uczucia, drugim wynagrodzić. Zmiana uczucia jest zupełnie inną rzeczą, ale strata!... Ot, niech pan sobie wyobrazi: za wszystkie skarby ducha ucztą wyprawiona, tysiące świec jarzących goreje, muzyka samą najczystsza płynie melodyą, skrzą się dyamenty, rubiny, szmaragdy, serce wierzy niezłomnie, myśl ulata wysoko, dłoń, tą drugą dłonią podparta, w potęgę cudów silnieje aż tu nagle piorun uderza, i wszystko, wszystko... popiołem. Kto z popiołów nowy zamek wzniesić potrafi, kto drugi równie suty bal dać może, temu chyba dwa życia, dwie dusze, dwa działy skarbów dziedzicznych ojciec co jest w niebiosach przez łaskę wydzielił... Ja tak uprzywilejowanej nie spotkałam istoty. Natura ludzka biedną jest aż do nędzy; jej trudno raz szczerze kochać, a chcesz pan, żeby zaraz, powtórnie, kogoś innego na twoje miejsce ukochała? Plan strategiczny w głównym punkcie wadliwy, improwizacya z natchnienia zupełnie „fiasco“ zrobiła... w mojem przekonaniu.

— Gardzi pani improwizacyą? mogę ten przedmiot wziąć ze strony czysto naukowej, historycznej na przykład. I tak, o ile wiem, w Hiszpanii królowie do klasztoru pakowali wszystkie kochanki, które im się sprzykrzyły.

— Teraz trudno byłoby ich naśladować, przymus wyszedł z użycia, odezwał się pan Adolf.

— A ty nie wiesz czem można przymus zastąpić? zwrócił się ku niemu pan Jerzy. Nieoceniony! rzadki człowieku! pozwól niech cię w twoje arkadyjską głowę ucałuję. I z najspokojniejszą miną przechyliwszy w swoją stronę czoło wyrywającego się pana Adolfa, w sam środek je pocałował. Moi państwo, rzekł potem do nas, nie wszyscy są tacy jak nasz Adolf. Mam innego jeszcze przyjaciela, przyjaciela nie od serca, ale od gawędki. Nadzwyczaj miły w towarzystwie, między kobietami świecznik, między młodzieżą wzór, powagom wszelkich stanów ulubieniec; od niego właśnie nauczyłem się jak to można ze skutkiem i korzyścią hiszpańską metodę do dni naszych zastosować. Był on w takim właśnie, o jakim mówimy kłopotcie; koniecznie chciał się pozbyć miłości już nie kochanej kobiety. Rozwinął tedy plan kampanii daleko. oh daleko genialniejszy od moich strategicznych przebiegów. Najpierw sobie samemu przypiął skrzydła szerokie i uleciał w obłoki. Eter piersi mu wypełnił, gwiazdy dyamentowe deszczem kapąły na jego kamizelkę, zaskrzyło słońce tysiące, zawarczały komety! Co rozmowa, to jakiś wyższy podlot co projeceik, to jakiś świętszy zamiar. Wśród sfer niebieskich rozlegało się echo najpiękniejszych wyrażeń: „opuścić wszystko dla Boga i wszystko znaleźć w Bogu, wypalić serce swoje ofiarą nieustanną, cierpieć, zrzekać się, rozstawać z ziemią coraz bardziej, a nakoniec pchnąć ją w przepaść zniszczenia obcasem swego bóćnika i rozplynać się w blaskach w harmoniach, w nektarach zaświatowych“... Łatwo się państwo domyślicie, że rozkochana kobieta nie mogła tak daleko od siebie w samotności pułstelniczkiej, choć empirejskiej, ulubionego zostawiać; jej tak-

że białe pióra u ramion wytrysły, frunęła w górę... i los się rozstrzygnął. Pobożny kochanek wnet aureolą cherubinową zwieńczył przywabioną w nadziemskie okolice: „Tyś wybrana pańska, twoje stopy nie powinny dotykać pyłu ziemskiej drogi. Ach! jak ty lekko bujasz w nieskończonościach! ach! jak ty jasno świecisz w twoich zachwytach! ach! jaka z ciebie lilia między cierniami! Ja nie śmiem cię kochać, ja nie powinienem cię kochać, ja cię nie kocham, ja cię wielbię tylko!“ I tak stopniowo, stopniowo dociągnął aż do chwili w której przekonał swoją zanieloną, że dla większej chwały pana Boga, ona się musi życiu klasztornemu, on brudnym troskom tego świata poświęcić. I tak się stało: ona poszła do klasztoru, on się z młodszą, piękniejszą i bogatszą przez poświęcenie ożenił.

— A czy pan myśli, że to było z jego strony tak bardzo grzesznym podstępem? odezwiała się panna Wiktorya. Może względnie do jego własnego sumienia Bóg go surowiej osadzi; ale względnie do kobiety którą purzuchał, wszystkie mu winy odpuszczone być mogą, gdy tylko zapobiegł ostatecznej ruinie jej życia, gdy uprzedził te bluźniercze słowa przez pana Jerzego wspomniane; te słowa które w najgorszych, w najcięższych do przybycia chwilach mimowolnie z ust wypadają, a są prawdziwie potępiającym wieczność naszą wyrokiem; te słowa szkaradne, głuche, jak chaos przed stworzeniem świata milczący, puste, jak nicość pustą po świata rozbiciu będzie; te słowa, które szatan musiał, lub kiedyś jeszcze musi, wyrzec z piekielną boleścią: „Już nie mam kochać kogo!...“ Wierz mi panie Jerzy, nie pytam o intencją, nie śledzę i nie podejrzewam celów pobocznych. Każdemu kto od tych słów wargi czyje ustrzeże, wdzięczność niech ustrzeżeni świecą... a ja błogosławię.



— Vivat! bravo! ellien! przyjacielowi pana Jerzego wykrzyknęła Olesia. Co za koncept szczero-złoty, na dewocyi osadzać zdradzone kochanki!... Ale jeszcze złóżmy radę, panno Wiktoryo, gdzie lepiej, czy u Wizytek, czy u Felicyanek?

— Nie sprzecajmy się między sobą, przestrzegła pani Karolina, ztąd tylko dla tych panów naszym kosztem zabawa. Alboż nie widzicie jak pan Adolf złośliwie się uśmiecha? alboście to nie poznały, że pan Jerzy dowcipne tylko i ciągle „z natchnienia” improwizuje anegdotki.

— Ostatnia jest monograficznym ustępom bieżącej historii, proszę mi wierzyć, bronił się oskarżony.

— Niemniej przeto jako bardzo „sztuczną” anegdotkę, jeśli nie pana, to owego przyjaciela uważać ją trzeba; znamy zaś wszyscy przysłowie, że sztuka na raz tylko się udaje. O klasztornejm życiu pełno, jak widzę, między ludźmi utrzymuje się przesądów. Panna Wiktorya nawet mniema, jak się zdaje, że tam wiele, wiele kobiet z sercowych zawodów wstępuje, a Olesia, to aż się zlekła takiej przyszłości i śmiechem oburzenia zaprotestowała. Tymczasem ja mam dwie siostry zakonnicami, i mogę wam z największą pewnością ręczyć, że białe i czarne welony żadnych światowych żalów i wspomnień nie osłaniają. Zakonnica dzisiaj zostaje się z powołania jedynie. Wy profani, może nie rozumiecie, może nie słyszeliście nigdy co znaczy ten wyraz „powołanie.” A wiecie co jest talent, co głos do śpiewu; o to powołanie jest talentem ducha, jest głosem do śpiewu; modlitwy. Kto nie ma powołania ten nowicyatu nie przetrwa, zarówno jak nie mający talentu, do orkiestry przyjętym nie zostanie, pozbawiony dźwięcznego głosu i trafnego ucha, w operze nie wystąpi. Wiolonczelistą, tenorem, Felicyanką, Wizytką trzeba się

urodzić koniecznie. Jeśli czasem, w chwili rozpacz, rzuci się kto za kratę klasztorną, to wiem że go tam wtedy starają się uspokoić, pocieszyć, ale nadewszystko coprędzej na świat wypuścić. Moje siostry wiele mi takich opowiadały zdarzeń.

— Więc cóż? rzekłam, zwracając się do pana Jerzego słusznie i rozsądnie mówi pani Karolina. Klasztor pono nie wyciągnie z kłopotu różnych Heliodorów; o inny pomysł prosimy. Czy pan go ma na pogotowiu?

— Pomysłu nie mam, pani przecież zakazała w tak ważnej kwestyi pomysłami się bawić, ale mam inne, historyczne wzory. Henryk VIII ścinał głowy swoim żonom, gdy je kochać przestawał.

— No proszę, pocziwy Tudor! westchnęła Olesia. Że też to ludzie zawsze niesprawiedliwi; okrutnikiem, tyranem go zowią, a jak się kto bez uprzedzenia zastanowi, to musi przyznać że był litościwszym, miłosierniejszym od massy dziś po ulicach przechodzących najpospolitszych tużurków i fraków. Ja głosuję za systematem Tudora.

— Nie byłabym od tego, rzekłam, na lepsze skupienie myśli bardzo mocno palec do czoła przyciskając. Jest racya, jest obustronna korzyść; ale mi jedna tylko trudność na zawadzie staje: kodeks karny. Przecież i hrabia Choiseul Praslin nie był gorszym od Henryka VIII, a sąd przysięgłych byłby go na rusztowanie skazał, gdyby trucizna spieszniej od sądowych inkwizycyj nie działała.

— Co mi tam do kodeksu, pogardliwie moje uwagę odparła Olesia. Kodeks niech się w prawy zakochanych nie miesza. Jeśli komu jest przyjemniej być zabitym niż opuszczonym, to do kodeksu nic a nic nie należy; jeśli zaś kodeks przywłaszczył sobie zbyt daleko sięgającą władzę, to do ludzi walka z uzurpatorem należy. Mężczyzna

zwłaszcza w każdym kroku swego życia odważnym i śmiałym być powinien: wypadło mu z konieczności moralnego podstęp, jak Gabryela utrzymuje, czyjeś serce rozdeptać, niechże się potem nerwowo nie lęka z tego serca krwi trochę upuścić czerwonej. Zamordować biedną duszę młodą, osamotnieniem, bezwładnością, niewiarą na długie lata pierś ofiary przydusić, a bać się jej na szyi wązką kréseczkę nożykiem zakroić, bać się dla tego, że kodeks niewyrozumiały, że jakieś episyery ukarać nas mogą!... Fe! brzydzę się takim tchórzostwem. Panu Jerzemu wszystkie jego dzisiejsze usterki odpuszczam za to wspomnienie Henryka VIII; jest nadzieja, że przy zdarzonej sposobności potrafiś pan arcy-wzór dziejowy naśladować i uznasz w sumieniu swoim, że lepiej zawsze życie, niż szczęście odebrać.

— Najpokorniej przepraszam pannę Aleksandrę, lecz się tego nie podejmuję; wolę być w zgodzie z kodeksem, jak....

— Jak z sumieniem, przerwała mu niecierpliwie.

— Jak z panną Aleksandrą i Henrykiem VIII.

Panna Wiktorya znów się między poważnionych wdała:

— Dziwi mię to, rzekła, dlaczego dotychczas nikomu tutaj na myśl nie przyszedł najprostszy i najpocząciwszy sposób rozwiązania rzuconej przez Gabryelę kwestyi. W lepiej dobraném jednak od wielu innych znajdujemy się towarzystwie, ci panowie szczególnie, których to solidarniej obchodzić powinno, jakiegokolwiek są w ich charakterze i zdolnościach różnice, mają wszyscy reputacyą nader zacnych i prawych ludzi. Każdy z nich mógłby skarbiec klejnotów koronnych pod swoją strażą bez rejestru trzymać; tymczasem, gdy się spytano: jak sobie postąpić z kochającą jeszcze, a nie kochaną już kobietą?...



ten radzi by ją zapomnieć, tamten by oszukać, jest mowa o wtrąceniu do klasztoru, o morderstwie nawet, tylko o tém mowy nie było, że się godzi najpierw przed nią samą ze zmiany swych uczuć wypowiedzieć. O ile znam naturę kobiecą, o tyle ręczyć pod przysięgą mogę, że niema takiej Medeji, któraby wtedy najgrzeszniejszemu Jazonowi nie przebaczyła. Cóż bo w podobnych zdarzeniach jest górującą, sroższą nad inne boleścią? Wiercie mi państwo nie to, co złe namiętności rozbudza, ale to, co w nas władzę dobrego zabija. Gorzką bezwątpienia jest myśl rozdziału, upokarzającym złożenie berła i korony na rzecz szczęśliwszej piękności; rozpaczliwem częstokroć wyrzeczenie się tego słowa „najwięcej.“ Ależ od wszystkich żalów, zazdrostek, upokorzeń, daleko okropniejszą jest wiara nasza zachwiana, świętość nasza zblocona. Burza gwałtownych a ujemnych namiętności z biegiem czasu koniecznie przycichnąć musi: im silniejsze będzie nasze miotanie w zawieruchach tém prędzej członki znuży i snem sklepi powieki. „Wróci spokojność, wróci,“ ale przytępiona ducha naszego potęga nie wróci, ufność odleci, cześć ideałów przepadnie na wieki. Trzeba będzie do grobu, jak kulę galernika, wlec za sobą podejrzliwość, zwątpienie szyderstwo. A czemu? bo ten, który nas opuszcza, staje się zwykle w stosunku z nami dziwakiem niesprawiedliwym, kłamcą nikczemnym, grubianinem nawet bezlitośnym. Widziałam ja tego przykłady, podsłuchałam niejednokrotnie wyrażenie, co niby w kleszcze żelazne zboliałe serce ujęło, niby łomem marmuru westchnienia, łkania i skargi przygniotło. A doprawdy trzeba widzieć, trzeba słyszeć, żeby się przekonać, do jakiego stopnia na tej drodze przekłętej ludzie, z innych względów bardzo ucywilizowani, po afrykańsku dziczeją. Co to za chęć oszukania! jakie

przebiegi zręczne i niezręczne! jakie zimne okrucieństwo, które się dostrzeżonem cierpieniem nudzi i niecierpliwi! A te wykrzykniki szatańskie, te spostrzeżenia krytyczne: „Zrobiłaś się niezdolnie wymagającą. No, czegoż chcesz? przyszedłem a ty się jeszcze mazgaisz; istotnie, lży ci w chroniczną chorobę przechodzą. Dziwną też sobie kokardę przypięłaś do włosów. Spotrzegam się, że ty wielu wyrazów czysto nie domawiasz, seplenisz, moja droga. Nie graj tak huczno, nie śpiewaj tak ślamazarnie” i tym podobnie. A wszystko to nietylko obelgą na poczucie naszej godności osobistej pada, wszystko jeszcze do protokołu w obec sądów rozumu się zapisuje i wyrokiem ostatecznym najstraszliwsze udręczenie nam znaczy: pogarda dla tego, co był czei naszej przedmiotem. Utrata szczęścia, osierocenie przyszłości, niczém jest w porównaniu z tą jedną przecierpianą torturą. Człowiek żyje nie pewnością obecnej chwili, jutra każdego zawsze trochę się lęka; więc co mu dzisiaj z rąk się wysunie, czego na jutro mieć już nie może, to w naturalny bieg przeznaczenia mu się układa. Żal rozbudzony zmiennością ukochanego, równa się żałobnemu za umarłym żalowi; lecz pogarda gorsza od śmierci, pogarda wydziera nam jedyną, zupełną własność naszą, wydziera nam przeszłość całą, że nie mamy, że mieć już nie będziemy... Smutnem to jest! oj smutnem! Ale powiedzieć sobie że nie mieliśmy nigdy, że co było, nie było, że uzbierane klejuoty wspomnień prochem tylko i zgnilizną, że powołane do życia i ruchu wszystkie siły, uczucia, zdolności istoty naszej, to pomyłka pierwszo-kwiecniowa, że cośmy kochali, tegośmy nie kochali właśnie, bo miłość przylega do prawdy, uświęca się prawdą, rozwija się wprawdzie jedynie, a tam był fałsz, tam była próżnia, tam było zaprzeczenie; — powiedzieć to sobie, stracić wiarę we

własny instynkt dobrego, zwątpić o gruncie własnej duszy, czuć się niejako współwinną za upadek, za nikczemność, za gatunkową podłość wybranej ukochaniem naszym natury... no, przyznajcie państwo, czy sobie wyobrażacie, większe, gorsze i brudniejsze nieszczęście? A jednak tego to nieszczęścia łatwo bardzo kochającej kobiecie zaoszczędzić można: stanąć przed nią z wyznaniem nieobłudnem, odwołać się do jej szlachetności, zostawić szacunek, gdy się wyłączność uczucie odbiera, blask tego co minęło bez skazy uchować, miłość na przyjaźń zamienić. Ja myślę że każda, lub prawie każda kobieta z wdzięcznością na to przystanie, a może... może przystanie bez bóleści, radośnie... Szalone czasem są te kobiece serca, ani danem jest przewidzieć komu na jakie heroizmy się zdobędą, jak zupełnie potrafią w cudzem życiu, w cudzych losach osobistość swoją zatracić, i cieszyć się radością ukochanego; i pragnąć jego pragnieniem, i dążyć ku jego celowi.

— Pani się dziwiła, że nikt o tak prostym nie pomyślał sposobie, przemówił wtedy pan Hilary. Owszem, ja zaraz od początku rozmowy o tém myślałem; ale nie wierzę by istnieć mogły takie kobiety, o jakich pani na końcu wspomniała. Nie jest to wcale z mej strony uchybieniem: zdaje mi się że w interesie własnej godności nawet, żadna z pań życzyłyby sobie nie powinna tak wysoko posuniętej, lub raczej zepchniętej tak nisko zdolności poświęcenia. W tym jednostkowym kierunku nosiłaby ona raczej charakter niewolnictwa lub cerografowego poddaństwa, a nie charakter miłości kobiecej. Toć to istnieje jak gdyby się dobra dusza djabłu zapisała. Nie, ja na podobne heroizmy nie liczę; dla tego też, kiedy pomyślałem że najprostszą byłoby drogą, pójść i bez ogródki do wszystkiego się przyznać, zaraz mi w oczach stanęła zalawiona



twarz tej biednej, choćby najłagodniejszej, najcichszej Medei. Mówcie panie sobie co chcecie, nazwijcie mię tchórzem nikczemnym; ja wiem że nie lękałbym się lufy pistoletowej i bagnetu w piersi godzącego; lecz przeciw łzom i boleści, której sam byłbym powodem, nie czuję w sobie odwagi. Im więcejbym kochał drugą kobietę, tém lepiej we wszystkich odcieniach pojmowałbym, co się dzieje w sercu wydziedziczoném z miłości. Napróżnoby swój smutek ukryć chciała przed moim wzrokiem; niechby wspaniałomyślnie twarz do uśmiechu zmusiła niechby głos drżący do najweselszego diapazonu dociągnęła, wszystkobyem zawsze i dojrzał, i odgadł, i rozumiał. Jej łzy tajone każdą chwilę późniejszego uniesienia by mi zatruiły. Według już stanowczo przez panie ogłoszonego wyroku, z kobietą nie kochaną, zwłaszcza téż inną kochając, że- nić się nie godzi. Bardzo uznaję słuszość tego prawa; ale przecież... gdy jedno z drugim podsumuję, to mi się zdaje, że wołałbym chyba tak kochanej jak niekochanej się wyrzec i... nie ożeniłbym się wcale.

— Co według statystyki, zauważałam półgłosem, w miejsce jednego, przyczyniłoby społeczeństwa aż trzy nieszczęśliwe, złamane, bez sensu przez życie wlokące się indywidua.

— Więc cóż zrobić z taką kobietą? zawołał pan Hilary.

— Jak téż to trudno, ciągnęłam dalej spokojnym tonem naukowych spostrzeżeń, jak trudno jeszcze w 1859 lat po narodzeniu Jezusa Chrystusa, zle od dobrego, nadużycie od ustawy, fałsz od prawdy, to co się godzi od tego co się nie godzi rozróżnić. W naszej oto małej, siedmiogłowej gromadce zdobyć się nie możemy na zgodne osądzenie moralnej doniosłości bardzo pospolitego zdarzenia, i nie możemy wydać jednomyślnej uchwały

względem bardzo często przytrafiających się powikłań. Cóżby to było gdyby...

Wtém nowi goście weszli do pokoju; rozmowa ku innym zwróciła się przedmiotom. Tylko pan Hilary na uboczu raz mię jeszcze zapytał:

— Więc cóż robić z taką kobietą? Niech mi pani powie?

— Ha, cóż robić? powtórzyłam, nad każdą prawie za-trzymując się sylłabą. Uciec od niej, to brzydko, zapomnieć, to nie od ludzkiej woli zależy, do klasztoru wtrąci-ć, trudno, zabić, niewolno, zdać się na jej łaskę i nie-łaskę, zbyt przykro. Więc co zrobić?

I namyslałam się przez chwilę głęboko, a po chwili rzekłam:

— Co zrobić z taką kobietą, która was kocha jeszcze, gdyście wy już kochać przestali?... Doprawdy, panie Hilary, ja nie wiem.

V.

CIRCULUS VITIOSUS.

(Krakowiak na dwa głosy.)

---

ON.

Wezmę świecę i latarnię i głównię z komina,  
Pójdę szukać czy jest w świecie poczciwa dziewczyna.

ONA.

Wezmę księżyc, wezmę gwiazdy, wezmę jasne słońce,  
Może znajdę w którym chłopcu serce kochające

ON.

Toć szukałem i patrzyłem i wiem teraz o tém,  
Że nie znajdzie najpoczciwszój, kto nie brzęknie złotem.

ONA.

Toć patrzyłam i świeciłam i dojrzałam tego,  
Że z nich każdy czule kocha, lecz siebie samego.

ON.

Już znalazłem najpoczciwszą, znalazłem kochaną,  
Piękną, cichą, ale w sklepie.... lalkę malowaną.

ONA.

Już znalazłam choć jednego, już znalazłam przecie,  
Piękny, dzielny, wojak młody.... na starym portrecie.



ON.

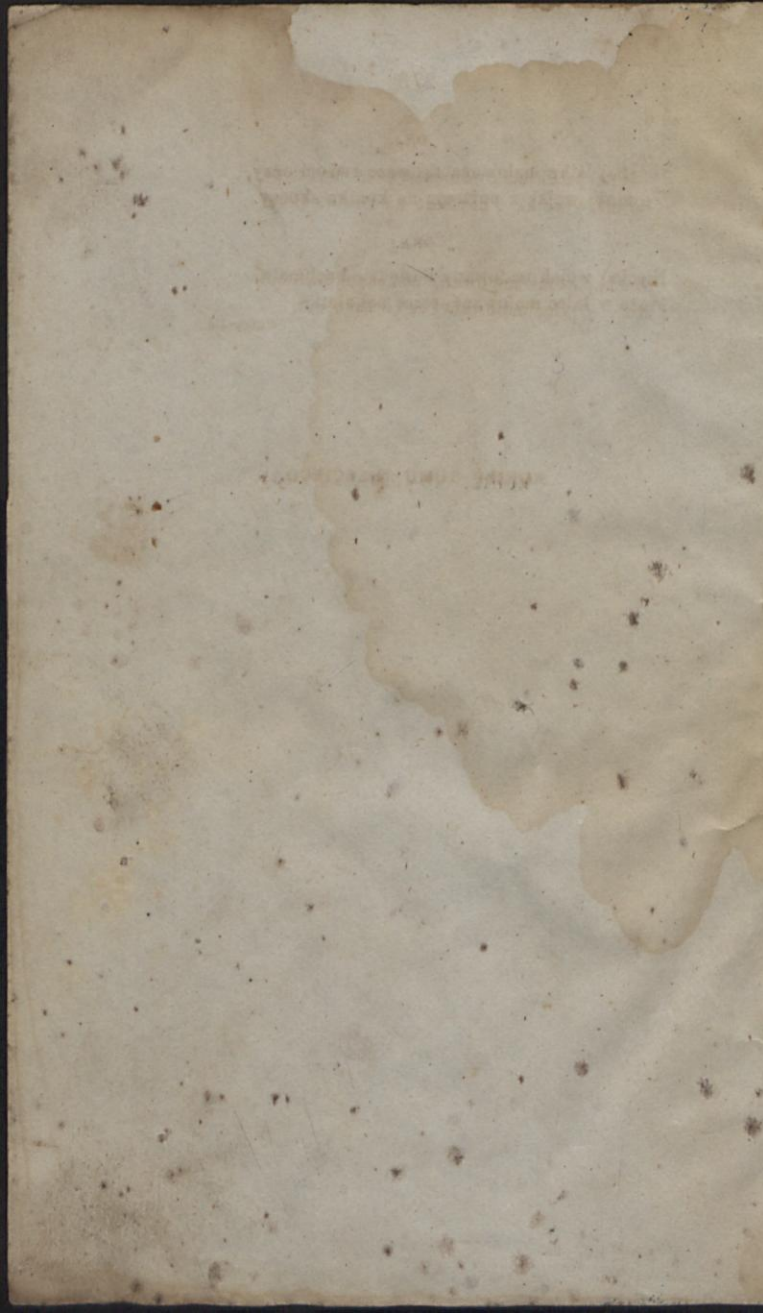
Niechaj lalka malowana tkliwsze zwróci oczy,  
To może wojak z portretu na konika skoczy.

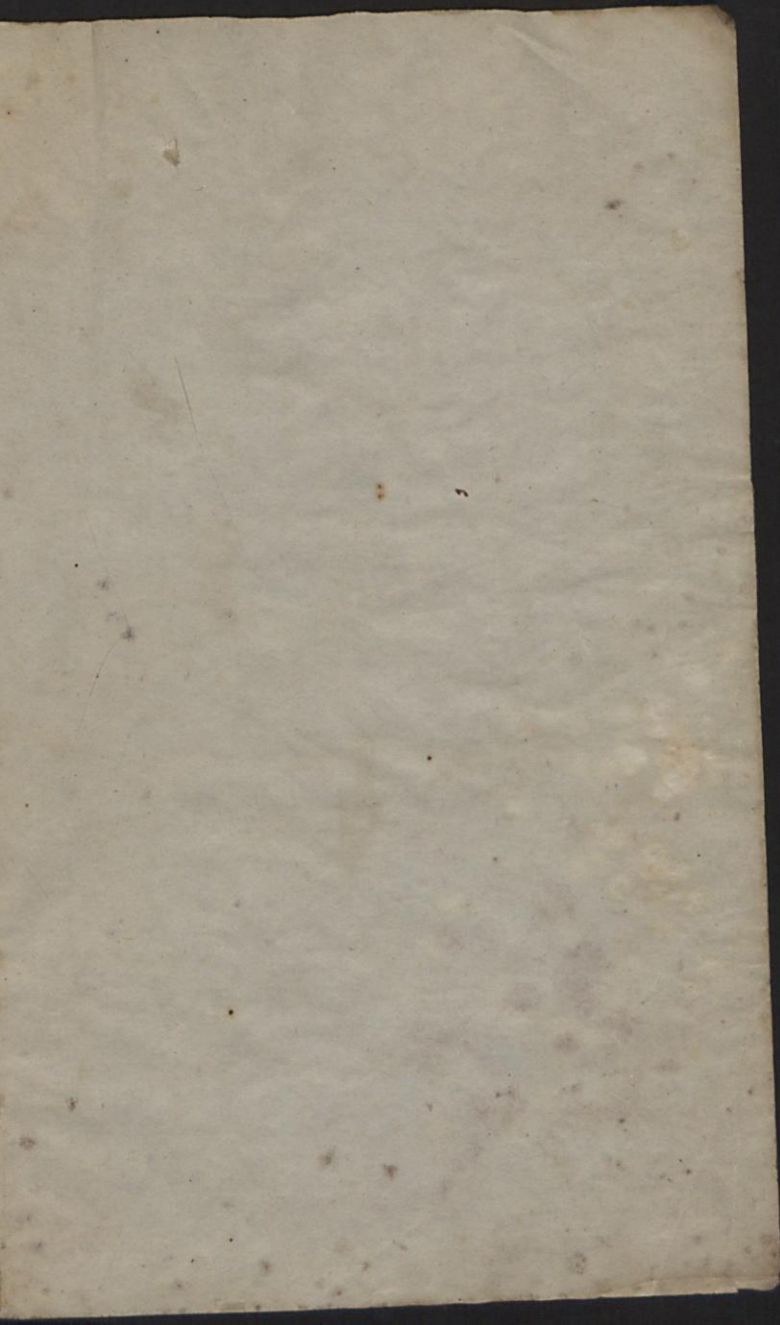
ONA.

Niechaj wojak malowany dosiędzie bachmata,  
Może w lalce malowanej serce zakołata.

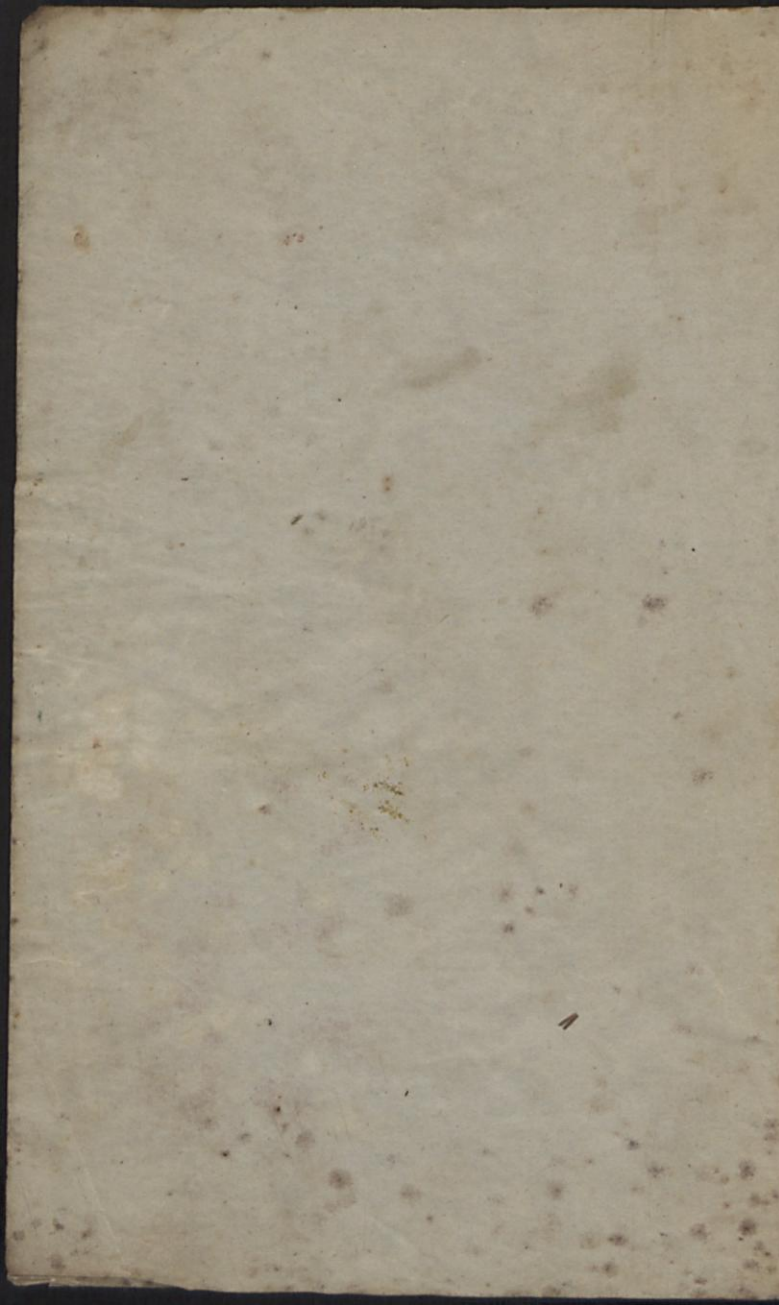
*Gabryella.*

KONIEC TOMU TRZECIEGO.









**Książnica Zamojska**



**10236262**

**ul. Kamienna 20**

**22 - 400 Zamość**

